ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Nr 11/542 1992

• « La Culture » • Revue mensuelle •

**PROTOKÓŁ Z KONFERENCJI AKTYWU MBP Z LISTOPADA 1954**

T. KOSINOWA: **W OCZACH WSCHODU**

R. KACZMAREK: **W STRONĘ PRZYSZŁEGO STULECIA**

K. WOLICKI: **O ZŁYM UŻYTKU Z WOLNOŚCI**

B. OSADCZUK: **UKRAIŃSKA JESIEŃ**

# SPIS RZECZY


| | | |
|---|---|---|
| — | *Protokół z konferencji Najwyższego Aktywu MBP z listopada 1954 r.* ..... | 3 |
| Tatiana Kosinowa (opr. Piotr Mitzner): | *W oczach Wschodu* ..... | 36 |
| Zbigniew Florczak (PELIKAN): | *Strach* ..... | 51 |
| | WIERSZE | |
| Jarosław Kajdański: | *** ..... | 61 |
| Anna Kapler: | *Obraz* ..... | 61 |
| Adam Lizakowski: | *Prezes* ..... | 62 |
| Maciej Niemiec: | *Kalka z Roberta Lowella* ..... | 64 |
| | ARCHIWUM POLITYCZNE | |
| Robert Kaczmarek: | *W stronę przyszłego stulecia* ..... | 65 |
| Janusz Mondry: | *Sprawa Wysp Kurylskich* ..... | 72 |
| | WYWIADY „KULTURY" | |
| Natalia Gorbaniewska: | *Pożegnanie „Kontynentu" Maksimowa* . | 79 |
| | KRAJ | |
| Krzysztof Wolicki: | *O złym użytku z wolności* ..... | 87 |
| Jerzy Sołtan: | *O warszawskim Pałacu Kultury* ..... | 94 |
| Smecz: | *Z ukosa* ..... | 98 |
| | SĄSIEDZI | |
| Berlińczyk: | *List z Berlina* ..... | 107 |
| Bohdan Osadczuk: | *Ukraińska jesień* ..... | 111 |
| Adam Kruczek: | *Notatki rosyjskie* ..... | 114 |
| Bogusław Bakuła: | *Z prasy ukraińskiej* ..... | 119 |
| | KRONIKA KULTURALNA | |
| Marek Adamiec: | *Słowa kończące się na -acja, czyli coś się dzieje w państwie polskim* ..... | 123 |
| Marek Nowakowski: | *Nawijaj, nawijaj!* ..... | 128 |
| | CI, CO ODESZLI | |
| Andrzej Dobosz: | *O Bohdanie Korzeniewskim (1905–1992)* | 135 |
| | KSIĄŻKI | |
| Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska: | *Cenne opracowanie* ..... | 141 |
| Leszek Szaruga: | *Brak zmysłu formy* ..... | 144 |
| — | *Nadesłane nowości wydawnicze* ..... | 148 |
| | • | |
| — | *Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki kanadyjska i norweska* ..... | 150 |
| — | *Stypendia im. Stanisława Lama oraz Jana i Susanne Brzękowskich* ..... | 156 |
| | • | |
| A. Żuławski: | *List do Redakcji* ..... | 157 |
| — | *Odpowiedzi Redakcji* ..... | 159 |


Varsovie W006

# KULTURA

***Szkice • Opowiadania • Sprawozdania***

PARYŻ Listopad/Novembre 1992

**INSTYTUT LITERACKI**

## DO PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW «KULTURY»

**Nie podwyższaliśmy prenumerat KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH na rok 1992, mimo że ceny drukarni, papieru, poczty, podatków itp. wzrastają co roku o więcej niż 10%. Ponadto katastrofalny spadek dolara spowodował, że prenumeraty w krajach dolarowych w przeliczeniu na franki po prostu nie pokrywają kosztów własnych. W związku z tym wszystkim jesteśmy zmuszeni do niewielkiej podwyżki prenumerat na rok 1993. A mianowicie:**

| | |
|---|---|
| roczna prenumerata KULTURY będzie wynosiła ..... | F. 600,00 |
| półroczna ..... | F. 320,00 |
| cena egzemplarza pojedynczego ..... | F. 55,00 |
| cena egzemplarza podwójnego ..... | F. 90,00 |
| prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH ..... (dla prenumeratorów KULTURY F. 330,00) | F. 360,00 |

**dopłaty lotnicze pozostały bez zmian: F. 30,00 (USA, Kanada); F. 45,00 (Ameryka Południowa, Afryka i Azja); F. 85,00 (Oceania i Australia).**

**Wierzymy, że nasi Czytelnicy zrozumieją konieczność tej podwyżki i w dalszym ciągu będą nas darzyli zaufaniem i przyjaźnią.**

***Redakcja KULTURY***

## WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

| | |
|---|---|
| Zygmunt Albert, Schiffdorf (Niemcy) ..... | F. 1.698,90 |
| Dla uczczenia pamięci Andrzeja Semkowa, niezwykłego człowieka i serdecznego przyjaciela — Maria i Wojciech Topperman, Toronto, ON ..... | F. 225,00 |
| Czesław Lebelt, Jouy-en-Josas (Francja) ..... | F. 150,00 |
| Ilse Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz 29-ty ..... | F. 420,06 |
| Zbigniew Okołowicz, Millerton, NY (USA), po raz 6-ty — dol. US 57,00 ..... | F. 285,00 |
| Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego w Dzień Zaduszny — Żona ..... | F. 100,00 |
| Stanisław Radwański, Paryż, po raz 16-ty ..... | F. 650,00 |
| Maria Rakowska, Zurich — z okazji przypadającego w dniu 18 listopada br. 90-lecia urodzin Męża, Janusza Rakowskiego | F. 2.000,00 |
| W bolesną rocznicę śmierci Fryderyka Topolskiego — Żona, Córka, Zięć i Wnuki z Toronto ..... | F. 225,00 |
| W pierwszą rocznicę śmierci przedwcześnie zmarłego Andrzeja Wasunga — Siostra — Frs 100,00 ..... | F. 380,00 |

**DZIĘKUJEMY!**

# Protokół z konferencji Najwyższego Aktywu MBP* z listopada 1954 r.

*Przed kilku tygodniami otrzymaliśmy od najzupełniej miarodajnej osoby, której nazwiska nie możemy ujawnić, dokument który — chociaż odnosi się do odległej przeszłości — niesłychanie pasuje do dzisiejszej sytuacji w Polsce.*

*Drukujemy go poniżej wraz z komentarzem i uwagami osoby, która go nadesłała.*

*REDAKCJA*

## KOMENTARZ

Konferencja najwyższego aktywu MBP z listopada 1954 r. była jednym z najważniejszych wydarzeń „epoki stalinowskiej" w Polsce. Niestety nie ma urzędowego protokołu z tego zebrania. Nie znajdziemy go w żadnych archiwach państwowych. Konferencja miała charakter informacyjny, a nie roboczy i jej celem było ustosunkowanie się do komunikatu Biura Politycznego o dezercji Józefa Światły. Zgodnie z uchwałą Biura Politycznego postanowiono zawiesić w czynnościach: gen. Romkowskiego oraz pułkowników Fejgina i Różańskiego, jako odpowiedzialnych — razem z Józefem Światło — za wszystkie nadużycia, jakie miały miejsce w departamencie X i Śledczym.

W konferencji uczestniczyli byli członkowie KPP i PPR z czasów konspiracji, wyżsi oficerowie wywiadu i kontrwywiadu, dowódcy i ich zastępcy: Wojsk Pogranicza, Wojsk Wewnętrznych, Informacji W.P. z szefem i jego zastępcą (Galinowski), szef

---

* Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

II Oddziału Sztabu Generalnego oraz główny komendant M.O. i jego zastępca.

Kierownictwo Ministerstwa (gen. Radkiewicz, gen. Mietkowski, gen. Świetlik, wicemin. Ptaszyński) sądziło, że będzie to tradycyjne zebranie z krytyką i samokrytyką i że dalej wszystko potoczy się po staremu. Już treść pierwszych przemówień daleko odbiegała od przewidywanej spokojnej atmosfery konferencji. Próbowano zatrzymać falę gruntownej, analitycznej krytyki, ale było już za późno. Przerwano protokołowanie zebrania na rozkaz gen. Radkiewicza. Polecono spalić dotychczas sporządzone notatki i nie stenografować treści żadnych dalszych wystąpień.

Ppłk Drzewiecki prawdopodobnie nie spalił spisanych już notatek, jednak dalszego przebiegu konferencji nie stenografowano. Mimo tego protokół powstał z nagrań najciekawszych przemówień (z ukrytego magnetofonu) a częściowo z osobistych notatek odtworzonych po konferencji.

W rezultacie tej konferencji min. Radkiewicz podał się do dymisji a nie — jak publikowano — został zdymisjonowany.

Gruntownej rewizji metod pracy jednak nie przeprowadzono.

## PROTOKÓŁ

*Głos zabiera tow. Minister Radkiewicz:*

Wczoraj obradowało Biuro Polityczne naszej Partii, na sesji poświęconej sytuacji po ujawnieniu się prowokatora ppłk. Światło. Jestem zdania, że ten aktyw, który dzisiaj bierze udział w naradzie, który ma za sobą wiele lat walki w szeregach KPP i pracy w naszych organach od momentu ich powstania — jest najbardziej powołany do dokonania analizy błędów i wypaczeń, by w przyszłości nie mogły się one więcej powtórzyć. Zachęcam wszystkich do udziału w dyskusji. Nie oszczędzajcie również i mnie, gdyż jako działacz polityczny i komunista, moralnie niemałą ponoszę winę. Na usprawiedliwienie mogę podać tylko nawał pracy i ciągłą walkę z trudnościami, jakie piętrzyły się na naszej drodze. Biuro Polityczne postanowiło zwolnić, z dniem dzisiejszym, Podsekretarza Stanu w MSW gen. Romkowskiego, jako bezpośredniego przełożonego prowokatora Światło i odpowiedzialnego za pracę Departamentu Śledczego i Departamentu X, gdzie miały miejsce największe wypaczenia.

Płk Różański i płk Fejgin zostali dyscyplinarnie zwolnieni z MSW, jako odpowiedzialni za pracę tych pionów.



Postanowiono również przeprowadzić rewizję procesów i naprawić krzywdy niewinnie aresztowanym towarzyszom.

Jutro zostanie podany komunikat o zwolnieniu z aresztu architekta Fielda, obywatela amerykańskiego, który przebywał u nas od trzech lat w więzieniu, na podstawie podsuniętych nam — przez zagraniczne ośrodki dywersji politycznej — fałszywych materiałów.

Biuro Polityczne, pomimo naszych dotychczasowych błędów i wypaczeń, oceniło pozytywnie dorobek organów bezpieczeństwa i ich walkę z bandami reakcyjnymi, dywersją i sabotażem w przemyśle i osiągnięcia w dziedzinie wywiadu wojskowego i politycznego. Poleciło wyrazić wam, tu obecnym, słowa uznania i podziękowania.

Przechodząc do spraw czysto operacyjnych, wydaje mi się, że należy zrewidować nasz system agenturalny, przebudować go na innych zasadach, wyeliminować niepotrzebną, bierną sieć agentów, którzy liczą się już w milionach. Ten dotychczasowy stan rzeczy może do reszty wypaczyć charakter kontrwywiadowczej pracy aparatu.

Proponuję również omówić dzisiaj strukturę i zakres pracy MBP. Moim zdaniem należy skomasować wszystkie departamenty gospodarcze w jeden departament ekonomiczny. W zupełności wystarczy jedna jednostka zamiast obecnych odpowiedników ministerstw resortów przemysłowych.

Mam również wątpliwości, czy potrzebny jest specjalny Departament Kadr, Departament Szkolenia, Departament d/s Funkcjonariuszy i ich odpowiedniki w terenie. Moim zdaniem te trzy jednostki należałoby połączyć w całość.

Należałoby również połączyć: technikę operacyjną, ewidencję operacyjną, Biuro „B", Biuro „K" i inne samodzielne jednostki techniczne — w jeden departament.

To byłyby moje pierwsze propozycje organizacyjne i przed przystąpieniem do dyskusji prosiłbym o ewentualne pytania na kartkach lub bezpośrednio z miejsc.

*Tow. Winiawski* stawia następujące pytania:

1) Dlaczego nie jest obecny na dzisiejszej naradzie gen. Romkowski, by mógł odpowiedzieć na nasze pytania i wyjaśnić przyczyny, jakie spowodowały nadużycia w podległych mu jednostkach?

2) Jakie konsekwencje zostały wyciągnięte w stosunku do doradców, którzy kierowali tymi departamentami?

*Odpowiedź tow. Radkiewicza:*

W sprawie Romkowskiego taka była decyzja Biura Politycznego, by z dniem jego zwolnienia nie dopuścić go do żadnych

wystąpień. To samo dotyczy Różańskiego i Fejgina. Będą wyjaśniać te sprawy przed specjalną komisją partyjno-rządową.

W sprawie doradców zwróciłem się z polecenia tow. „Tomasza" pismem do Komitetu d/s Bezpieczeństwa ZSSR z prośbą o odwołanie tych doradców i przysłanie na ich miejsce bardziej doświadczonych. Wytoczenie im postępowania karnego lub dyscyplinarnego nie leży w jurysdykcji PRL.

*Tow. Ciastoń*, V-Dyrektor Departamentu IV, zapytuje: dlaczego na naszą tak ważną naradę nie przyszedł nikt z Biura Politycznego, zwłaszcza odpowiedzialny za resort bezpieczeństwa tow. Berman?

*Odpowiedź*: Tow. Bierut planował być obecny na naszej konferencji osobiście, jednak w ostatniej chwili musiał z tego zrezygnować, gdyż wyjechał na spotkanie międzynarodowe do Moskwy i polecił, bym ja przekazał Wam uchwały Biura Politycznego. Berman obecnie nie odpowiada za resort bezpieczeństwa, a KC reprezentuje tow. Pawlakowa.

*Tow. Radkiewicz* zarządza godzinną przerwę na obiad i prosi o zapisanie się do głosu na kartkach, by odpowiednio można było zaplanować czas na poszczególne wystąpienia. .

Po przerwie pierwszy zabiera głos *płk Siedlecki*, dyrektor Departamentu d/s Funkcjonariuszy:

Przykro dzisiaj o tym mówić, że w naszym resorcie mógł przez tyle lat grasować agent obcego wywiadu, jakim okazał się prowokator Światło. Dzisiaj dopiero wyszło na jaw, że w młodości należał do syjonistycznej organizacji młodzieżowej „Haszomer", a nie do KZMP. Tylko brak elementarnych zasad czujności rewolucyjnej, mówię to samokrytycznie i pod własnym adresem, mógł doprowadzić do tego, że osiągnął tak wysoki stopień w hierarchii naszego aparatu, że jemu właśnie partia powierzyła pion ochrony ruchu robotniczego. Niemałą odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponoszą jego najbliżsi przyjaciele. Mam na myśli tow. płk. Andrzejewskiego i płk. Konara. Do nich prowokator Światło mówił w stołówce dyrekcyjnej (po powrocie z Czechosłowacji, gdzie przebywał z grupą pracowników dla wyciągnięcia wniosków z procesu Slansky'ego i jego grupy antypartyjnej), że był wstrząśnięty rozmiarami prowokacji, jakiej dopuścili się Czesi w stosunku do aresztowanych i że proces nosił wyraźny charakter antyżydowski. Już wówczas przemawiał przez niego nacjonalizm żydowski. Jednakże ani Konar ani Andrzejewski nie uważali za wskazane zameldować o tym ministrowi lub dyrektorowi Departamentu d/s Funkcjonariuszy. Niestety dowiedzieliśmy się o tym za późno od przyjaciół radzieckich, którzy drogą pośrednią otrzymali tę informację.



Uważam, że taka postawa jest karygodna, nielicująca z godnością pracownika aparatu.

*Głos z sali*: A może w stosunku do Was należałoby wyciągnąć konsekwencje dyscyplinarne, że przez tyle lat nie wykryliście prowokatora w aparacie?

*Płk Siedlecki*: My od kilku lat nie pracujemy z agenturą, bo minister zabronił nam werbować informatorów spośród pracowników kadrowych i nie możecie mieć do mnie pretensji, że nie znaliśmy ich prawdziwej działalności. To ja mogę mieć pretensję do Departamentu VII (wywiad) i Departamentu I (kontrwywiad), że nie pomogli nam w rozpracowaniu prowokatora Światło. Uważam, że za mało korzystaliśmy z doświadczeń naszych doradców radzieckich, gdyż u nich takich wypadków nie było.

*Płk Hakman*, zast. dowódcy Wojsk Ochrony Pogranicza:

Jestem od 15-tu lat w wojsku i niewiele znam się na waszej pracy operacyjnej. Jednak jako przedwojenny działacz KPP i funkcjonariusz Centralnego Komitetu czuję się odpowiedzialny za to wszystko co się u nas dzieje, tak w naszym resorcie jak i poza resortem. Chcę poświęcić parę słów sytuacji jaka zaistniała i którą przedstawił nam tow. minister.

Nie sądzę, by błędy i wypaczenia były dziełem jednego człowieka lub jednego pionu. Moim zdaniem kryje się za tym błędna koncepcja co do roli i znaczenia organów bezpieczeństwa. Zakres kompetencji organów jest tak rozległy — mówił zresztą o tym tow. Radkiewicz wymieniając resorty ekonomiczne — i to daje nam dokładny obraz jak idee socjalizmu zostają wypaczane; bo zamiast transmisji do tych organizacji naszej ideologii budujemy sieć agenturalną i przy jej pomocy chcemy rządzić. To musi prowadzić do wypaczeń, bo opiera się nie na ideowych przesłankach, a na przymusie. To było konieczne w pierwszych latach po wojnie, kiedy grasowały bandy. Dziś jest to przeżytkiem, kiedy kraj i ekonomika są ustabilizowane.

Dotychczas było tak, że my wszyscy, odpowiedzialni działacze partyjni na różnych stanowiskach, działaliśmy na podstawie przemówień działaczy partyjnych i rządowych, a nie przepisów prawnych.

Nie może być takiej sytuacji, by za polecenia i uchwały rządu odpowiadali ci najniżsi. Mam na myśli np. referentów z Gryfic, których pociągnięto do odpowiedzialności za przeprowadzenie przymusowych dostaw kontyngentów lub też innych akcji.

Przywódcy powinni wziąć na siebie odpowiedzialność za te akcje, a nie spychać je na wykonawców poleceń. To jest niemoralne.

*Oświadczenie tow. Konara*:

Nie wiem skąd tow. Siedlecki wziął te rewelacyjne informacje o moich rozmowach z prowokatorem Światło. Dowiaduję się o tym po raz pierwszy. Owszem, słyszałem że były takie rozmowy, ale nie w mojej obecności. Nie przywiązywałem do tego uwagi i nie jest w moim zwyczaju zajmować się donosami na funkcjonariuszy aparatu. Gdybym znał taki fakt, mówiłbym o tym otwarcie na naradzie lub zebraniu partyjnym. Jednakże uważam, że nasza organizacja partyjna mało zrobiła po linii ideowego wychowania kadry operacyjnej i tym można tłumaczyć zatracenie poczucia odpowiedzialności za to, co się stało. Jako członek Komitetu Zakładowego samokrytycznie przyznaję się, że niemało w tym i mojej winy.

*Tow. Pawlak-Finderowa*:

Z listy zapisanych do głosu widzę tylko dyrektorów departamentów, a muszę się przyznać, że jestem rozczarowana pierwszym wystąpieniem w dyskusji. Chcielibyśmy usłyszeć, co o tym wszystkim myślą aktywiści partyjni niższych szczebli, tj. naczelnicy wydziałów, którzy praktycznie realizują politykę operacyjną i represyjną w resorcie.

Znam trochę zwyczaje jakie u Was panują. Często naczelnicy wydziałów i kierownicy sekcji muszą uzgadniać swoje wystąpienia z przełożonymi. Zgodnie z zachęceniami tow. Ministra apeluję do obecnych, by odstąpili od tej zasady i mówili o wszystkich bolączkach otwarcie i szczerze, bo tylko w ten sposób możemy naprawić zło, jakie się nagromadziło.

Minister Radkiewicz przerwał pierwszy dzień konferencji, aby dać możliwość towarzyszom do lepszego przygotowania się w dniu następnym.

## DRUGI DZIEŃ OBRAD

Głos zabiera *ppłk Winiawski — naczelnik Wydziału Departamentu VII (wywiad)*:

Ja i wielu tutaj obecnych, starych komunistów, nie z własnej woli wstąpiło w szeregi MBP. Zmuszono nas do tego dyscypliną partyjną zgodnie z tezą, że MBP jest politycznym organem partii, przy pomocy którego realizuje się plany walki z przeciwnikami socjalizmu. Chcę pokazać na konkretnych przykładach, że to co nam narzucono nie miało nic wspólnego z socjalizmem. Najlepszym tego dowodem jest stosowanie polityki represyjnej, a wyłonione rażące wypaczenia miały miejsce nie tylko w Departamencie X i Śledczym — ale w całym resorcie MBP. Znam wszystkie zawiłe problemy naszej pracy operacyjno-agenturalnej, gdyż pracuję w aparacie od początku jego powstania, w tzw. aktywie roboczym.



1) Parę słów chcę poświęcić doradcom. Miałem trzy konflikty z kolejnymi doradcami: Żukowem, Dunajewem i Jegurnowem. Mało brakowało, a każdy z tych konfliktów skończyłby się wydaleniem mnie z aparatu i aresztowaniem, gdyby nie był mnie bronił tak tu potępiany tow. Romkowski.

Siedziałem z nim w latach 1937/39 w jednej celi w Rawiczu i nie mogę uwierzyć, by nadużycia, jakie miały miejsce w aparacie, były dziełem jego samowoli. Uważam, że usunięcie go z aparatu jest jednak słuszne, bo są granice których przekroczyć nie wolno bez osobistej odpowiedzialności. Jest to jego osobista tragedia, która po kolei może każdego z nas spotkać.

Wiadomo wszystkim, tylko o tym się nie mówi, że faktycznymi kierownikami polityki represyjnej i agenturalno-operacyjnej są doradcy radzieccy, bo bez ich aprobaty nikt z przełożonych nie zatwierdzi żadnej sprawy.

Wszyscy przecież wiemy, że Departament X nie został utworzony przez Fejgina i prowokatora Światło i nie za własne pieniądze zbudowali oni specjalne podziemne więzienie z własną załogą departamentalną, gdzie przetrzymywało się działaczy partyjnych. Zapytuję, czy o tym nie wiedzieli Towarzysze z Biura Politycznego i Rządu?

2) Trzeba dzisiaj otwarcie postawić sprawę, że wszystkie wypaczenia, błędy i niedociągnięcia mogły mieć miejsce tylko dlatego, że w naszym aparacie — od góry do dołu — panował terror moralny i fizyczny. Za najmniejszy sprzeciw w wykonaniu niedorzecznych poleceń lub przestarzałych koncepcji karano dyscyplinarnie, wyrzucano z Partii, zwalniano z aparatu, stawiano pod pręgierz opinii publicznej, a celował w tym szczególnie v-minister Świetlik. Niech posłużą fakty, a nie gołosłowne deklaracje.

Parę tygodni temu mój bezpośredni przełożony, tow. płk Czaplicki, polecił mi zreferować gen. Świetlikowi sprawę Bogdańskiej. Była to moim zdaniem beznadziejna sprawa kandydatki na werbunek, która kosztowała nas wyrzuconych w błoto 10.000 $. Forsował ją doradca radziecki, gdyż matka kandydatki zamieszkiwała we Lwowie.

Zaniechałem tę sprawę, gdyż zajmowała ona przez kilka miesięcy cały wydział i nic absolutnie nie dała. Doradca żądał ode mnie codziennie szczegółowego sprawozdania w tej sprawie,

co doprowadzało mnie do rozstroju nerwowego. Przekazałem mu materiały i pięciu ludzi, by sam nimi kierował. To było powodem, że odwołał się do gen. Świetlika, choć nasz Departament podlegał gen. Mietkowskiemu.

Przed udaniem się do tow. Świetlika zawołał mnie dyr. Czaplicki i oświadczył: „Świetlik chce, byś osobiście zreferował mu sprawę Bogdańskiej. Wiedz o tym, że jest to człowiek ograniczony. Jeśli będziesz upierał się przy swoim zdaniu, to tak Cię objedzie, że nie będziesz wiedział którędy wyjść. Najlepiej przytakuj mu i odpowiadaj: 'tak jest, tow. generale' — a potem zrobisz to, czego będą wymagały okoliczności operacyjne. Uprzedzam Cię o tym, bo nie znasz go na tyle co ja i nie chciałbym narazić Cię na przykrości".

Ten przykład przytoczyłem dlatego, że on dobitnie charakteryzuje atmosferę i zakłamanie, jakie przeżarło nawet tak odważnych i samodzielnie myślących działaczy jak tow. Czaplicki. Dziwię się, że aktyw dyrektorski, zahartowany w boju tak przed wojną jak i w czasie okupacji, nie odważył się otwarcie zaprotestować przed władzami partyjnymi KC przeciwko antypartyjnej postawie gen. Świetlika i innych wyższych funkcjonariuszy MSW, którzy rozkładali aparat.

Jestem daleki od tego, by swoją osobistą krzywdę moralną, jaką wyrządził mi tow. Świetlik (podczas słynnych wypadków strajkowych w Zagłębiu Dąbrowskim w latach 1950/51) wymienić na drobne. Nie chciałem wówczas zgodzić się z ogólną tezą, że należy zrobić proces O.K. WRN, by w ten sposób potwierdzić koncepcję, że strajki na poszczególnych kopalniach nie były dziełem rozpaczy górników wobec niesłychanych warunków pracy i płacy, a dziełem zorganizowanych ośrodków dywersyjnych. Nie będę tej sprawy więcej omawiał, gdyż przedstawiłem Towarzyszom i Ministrowi dokładną analizę tych wydarzeń, opracowaną zespołowo przez większość członków sztabu operacyjnego, gdzie byłem jego szefem do momentu dyscyplinarnego odwołania mnie.

*Sieć agenturalna*

Następna sprawa, którą chcę poruszyć, to sieć agenturalna. Jest to taki labirynt, że trudno nawet pracownikowi operacyjnemu przeprowadzić właściwą klasyfikację i określić przeznaczenie poszczególnych kategorii.

Na podstawie ogólnych założeń, agentura jest „lekarstwem" na wszystkie choroby społeczne, ekonomiczne, młodzieżowe itd. Nasilenie werbunków wzrasta lub maleje w zależności od sytuacji ekonomicznej, politycznej jak np. wybory, referendum — lub nawet w zależności od wykonania lub niewykonania planu produkcyjnego. Całe nasze życie oplatane jest siecią agenturalną,



która właściwie nic nie daje i całkowicie wypacza charakter kontrwywiadu. Werbunki przyjmują tak masowy charakter, że setki tysięcy ludzi trafia do naszych kartotek agenturalnych, nikt nie jest w stanie tej masy obsłużyć, powstaje powszechna demoralizacja, co z kolei powoduje masowe eliminacje sieci.

Nie zgadzam się z tezą, że masowe werbunki agentury w pewnych rejonach Kraju i w pewnych okresach są konieczną formą terroru dyktatury proletariatu przeciwko „wrogo nastawionemu społeczeństwu". Ta teza jest politycznie niemoralna i nieetyczna.

*Sieć ogólnoinformacyjna*

Werbowana w ogóle przez wszystkie jednostki i piony dla dopływu informacji o wrogiej działalności. Jest ona masowa, budowana na szlakach działalności grup bandyckich, obiektach przemysłowych, kolejowych, państwowych, wiejskich, leśnych etc. Ta sieć jest co pewien czas eliminowana jako bezwartościowa, gdyż opiera się na błędnych koncepcjach werbunkowych tj. jak najwięcej ludzi w kartotekach agenturalnych i kolekcja zobowiązań o współpracy z MBP.

*Sieć antydywersyjna*

Budowana na liniach wysokiego napięcia, ważnych agregatach w przemyśle górniczym, hutniczym, elektrotechnicznym i maszynowym. Jest ona w zasadzie bliźniaczo podobna do sieci ogólno-informacyjnej; ma tylko inną nazwę dla odróżnienia lokalizacji.

*Agentura*

Budowana w organizacjach społecznych, młodzieżowych, sojuszniczych partiach politycznych, organizacjach klerykalnych i innych — dla przeprowadzenia polityki inspiracyjnej naszej Partii i Rządu PRL.

Dam konkretny przykład: na kopalni „Generał Zawadzki" od dwóch lat nie wykonano planu wydobycia. Rejestrowano miesięcznie około 90-100 awarii na trasie transportu. Przyczyna była prosta — zużyty transporter, który należało wymienić. Ponieważ nie było dewiz na import takowego, kierownictwo resortu górniczego wolało zrzucić odpowiedzialność za to na WUBP twierdząc, że awarie noszą charakter sabotażowo-dywersyjny i dlatego kopalnia nie wykonuje planu. Na trasie transportu pracowało 180 ludzi. Doradca Dunajew polecił werbować co piątego robotnika transportu sądząc, że w ten sposób wykryje się i zahamuje awarie zwłaszcza, że kopalnia dostarczała węgiel do ZSRR. Gdy to nie pomogło, polecono werbować co czwartego, a wreszcie po trzech miesiącach byli już zwerbowani

wszyscy pracownicy na transporcie. Pas jednak zrywał się nadal i nadal miały miejsce przestoje.

Widzę w tym nie tylko głupotę ale system, który może doprowadzić do zastoju całej naszej ekonomiki, jeśli chce się zastąpić konieczne inwestycje — werbunkiem agentury. Trzeba raz na zawsze zdjąć odpowiedzialność z MBP za ekonomikę, którą powinno zajmować się właściwe ministerstwo resortowe. Nie jest to wyjęte z bajek Kryłowa, a możecie to znaleźć w słynnym rozpracowaniu agenturalnym w Katowicach, pod kryptonimem „Manko".

Drugi przykład: w Łaziskach Dolnych na Śląsku nastąpiła awaria elektrowni, co pociągnęło za sobą postój w produkcji na kilku kopalniach i hutach. Awaria nastąpiła na silosie, tj. agregacie, który jest pod opieką specjalnej brygady na czele z inżynierem specjalistą w tej dziedzinie. Według orzeczenia komisji ekspertów należało agregat zastąpić nowym, gdyż był już zużyty i mógł pracować jeszcze najwyżej około 6-ciu tygodni. Szybką wymianę agregatu komplikował brak środków dewizowych na importy nowego z NRF. Awaria nastąpiła jednak nie w terminie przewidzianym przez ekspertów, a w tydzień po dokonanej ekspertyzie.

Zamiast obiektywnej analizy przyczyn awarii i podjęcia środków zaradczych, przyjechało kilku ministrów resortowych na czele z tow. Szyrem, a po linii MBP tow. Świetlik z ekipą dyrektorów departamentów. Po prowizorycznym uruchomieniu elektrowni, zwołano odprawę aktywu partyjno-zawodowego województwa i głównym winowajcą awarii uznano szefa PUBP w Pszczynie tow. Syposza, gdyż elektrownia znajdowała się na podległym mu terenie. Minister Świetlik przypisał mu winę w tym, że nie potrafił zbudować takiej sieci agenturalnej, która by zapobiegła tej awarii. Po całonocnym „maglowaniu" zmuszono Syposza do złożenia na zebraniu, w obecności I sekretarza KW Partii, Przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej tow. Jaszczuka i wszystkich szefów PUBP — oświadczenia następującej treści: (cytuję z pamięci) „Jestem synem górnika. Dopuściłem się karygodnego czynu. Przeze mnie gospodarka narodowa mogła ponieść niepowetowane straty. Zaręczam, że w przyszłości podobne akty dywersji i sabotażu na obiektach przemysłowych, w podległym mi powiecie pszczyńskim, nie będą miały miejsca".

Oświadczenie Syposza było gołosłowne i wymuszone. Nie miało żadnego pokrycia, bo nie mógł w niczym zabezpieczyć zakładu przed awariami, gdyż to nie leżało w jego możliwościach, ani też nie mógł gwarantować, że coś podobnego się nie powtórzy. Elektrownia była odległa od Pszczyny o 20 km, operacyjnie zabezpieczał ją młodszy referent o wykształceniu podstawowym, który dojeżdżał tam dwa razy w tygodniu. Człowiek



ten nie miał pojęcia o skomplikowanych mechanizmach wytwarzających prąd elektryczny i trudno było od niego wymagać większej wiedzy technicznej niż od sztabu inżynierów odpowiedzialnych za ten obiekt.

Pomimo tego, po zakończeniu przemówienia Syposza i złożeniu gołosłownego oświadczenia, generał Świetlik zwrócił się do niego z tymi słowami: „pamiętajcie, że to oświadczenie złożyliście w obecności I Sekretarza Partii i członka Biura Politycznego. Jeśli taki wypadek się powtórzy, to nie tylko legitymację ale i głowę stracicie".

Prezydium, w którym zasiadali: Szyr, Olszewski, Jaszczuk, Nieszporek i inni, przyjęło oświadczenie Świetlika z pełną aprobatą.

Przytoczyłem ten przykład jako szczególnie charakterystyczny, by pokazać kto jest winien za łamanie praworządności, bo jeżeli żąda się od pracownika rzeczy niemożliwych — to w następstwie będzie robił wszystko, imał się wszystkich zbrodniczych środków (jak to robili funkcjonariusze Departamentu Śledczego i X-go i być może Syposz), by po raz drugi nie stanąć pod pręgierzem v-ministra Świetlika i innych przedstawicieli Władzy i Partii.

To nazywam terroryzmem moralnym stosowanym od góry do dołu i to mogło zmienić w zbrodnię naszą moralność socjalistyczną. Za to odpowiada przede wszystkim kierownictwo partyjne i zawodowe, a nie aparat dołowy, który wykonywał tylko polecenia i instrukcje odgórne.

*Min. Radkiewicz*:

W związku z wystąpieniem tow. Winiawskiego wpłynęły do prezydium dwie prośby o udzielenie głosu poza kolejnością dla złożenia oświadczenia. O głos proszą: płk Czaplicki i gen. Świetlik.

Udzielam głosu gen. Świetlikowi — przygotowuje się płk Czaplicki.

*V-minister gen. Świetlik*:

Boję się, że nasza dzisiejsza narada może być zwekslowana na fałszywe tory. Robimy dzisiaj rozrachunek w takiej formie, jakby wróg klasowy został całkowicie zlikwidowany, nie zagrażał naszej ludowej ojczyźnie. W ostatnich 6-ciu tygodniach zarejestrowano w Kraju około 2.000 awarii o charakterze sabotażowo-dywersyjnym, na najważniejszych obiektach przemysłowych. Niestety, nie wykryto sprawców, ani też nie założono ani jednej agenturalnej sprawy. Ten stan rzeczy jest niepokojący i nie ma się czemu dziwić, jeśli tacy doświadczeni pracownicy jak Winiawski i inni zamiast mobilizować aktyw do naprawiania

błędów — sieją niewiarę i rozkład. Na pewno w moim postępowaniu w przeszłości były pewne wypaczenia, ale kierowałem się w głównej mierze tym, by utrzymać dyscyplinę i nie dopuścić do osłabienia naszej czujności rewolucyjnej. Jeśli tu i ówdzie były jakieś nietakty z mojej strony, to to jednak nie mogło mieć wpływu na ogólne morale i stan naszej kadry. Postaram się w przyszłości wyciągnąć nauki z krytycznych uwag, bo tak nas uczono w Partii, ale dotychczas nikt nie wysunął pod moim adresem żadnych uwag. Z Winiawskim nie mam zamiaru polemizować. Sądzę, że na jego insynuacje odpowie mu jego przełożony płk Czaplicki.

*Płk Czaplicki V-dyrektor Departamentu VII*:

Muszę z przykrością przyznać, że to wszystko co Winiawski powiedział o mnie jest prawdą. Tak mu mówiłem, takie mu dałem „pouczenia", kiedy zawezwał go do siebie gen. Świetlik, by mu zreferował sprawę Bogdańskiej. Dając mu tego rodzaju „nauki" naraziłem się na to, że następnego dnia ppłk Winiawski lub inny podległy mi naczelnik mógł do mnie posłać swojego podwładnego i dać mu podobne „pouczenie": „przytakuj, nie mędrkuj, nie wypowiadaj swego zdania, a jak przyjdziesz do wydziału, to zrobimy tak, jak wymagają tego okoliczności operacyjne".

Na pewno moje postępowanie nie należy do rzędu pryncypialnych zasad członka Partii, ale wypływało z mojego długoletniego doświadczenia we współpracy z gen. Świetlikiem i znajomości jego często nieludzkiego, niepartyjnego stosunku do swoich podwładnych.

Zacznę od mojego byłego I-go zastępcy płk. Wolańskiego, obecnie głównego komendanta Milicji Obywatelskiej. Gen. Świetlik w ciągu kilku miesięcy, w okresie kiedy Wolański objął dział walki z podziemiem bandyckim, doprowadził go do takiego stanu nerwowego, że nie był w stanie normalnie pracować. Traktował go jak smarkacza, kazał mu się meldować prawidłowo, po wojskowemu, jak rekrutowi, a jak to nie wypadało po jego myśli, to polecił mu wychodzić z gabinetu, wejść ponownie i prawidłowo się zameldować. Często odbywało się to w obecności podwładnych i doradców.

Jednego wieczoru, kiedy przyszedłem do swojego gabinetu, znalazłem Wolańskiego w stanie beznadziejnym, gdyż usiłował popełnić samobójstwo. W końcu udało mi się doprowadzić go do równowagi i przez parę dni nie opuściłem go ani na chwilę. Kiedy załamanie psychiczne minęło i Wolańskiego doprowadzono do równowagi, oświadczył, że więcej nie przekroczy progu gabinetu v-ministra Świetlika, choćby za to miał pójść do więzienia.



To było powodem, że zgłosiłem rezygnację z funkcji dyrektora Departamentu III i poprosiłem o przeniesienie mnie na inny odcinek pracy. W nowym departamencie, gdzie jestem v-dyrektorem, jest zupełnie inna atmosfera.

Jedno mam tylko na usprawiedliwienie i chcę by o tym wiedział tow. Winiawski i moi podwładni z departamentu III i obecnie departamentu VII. Nie zwracałem się wprawdzie do Komitetu Centralnego bezpośrednio, za co krytykował mnie Winiawski, ale meldowałem o tym tow. Radkiewiczowi, jako naszemu przełożonemu i jako członkowi Biura Politycznego naszej Partii.

Praktyki Świetlika i innych odnoszą się nie tylko do Wolańskiego, mógłby o tym coś powiedzieć mój drugi zastępca płk Andrzejewski, którego Świetlik również po odejściu Wolańskiego doprowadził do stanu samobójczego i jest obecnie tak wyczerpany, że przebywa w szpitalu.

Minister Radkiewicz wysłuchał mnie uważnie, wypytywał o szczegóły, robił notatki, ale nie zajął żadnego stanowiska. W końcu oświadczył mi, że Świetlik podlega kompetencji KC naszej Partii i tam powinienem złożyć zażalenie na jego postępowanie. Było to dla mnie niezrozumiałe. Ja natomiast uważałem za swój obowiązek służbowy zreferować te sprawy ministrowi Radkiewiczowi, a pisać nie chciałem. Po prostu bałem się konsekwencji widząc, że tow. Radkiewicz nie chciał zająć się tym po linii służbowej. Na pewno jest to stanowisko oportunistyczne z mojej strony, ale bądź co bądź miałem już nie jedno doświadczenie ze sposobów rozprawiania się z krytykującym, pomawiając go o podrywanie autorytetu najwyższym przełożonym.

W tej chwili nie jestem przygotowany do omówienia analitycznego pracy tak departamentu III, którego byłem dyrektorem przez wiele lat, jak również kompetencji pracy departamentu VII, gdzie pracuję obecnie. Mam żal do kierownictwa Ministerstwa, że w tej sprawie nie było żadnych poleceń i nikt nie wiedział w jakim celu jest zwołana konferencja na tak wysokim szczeblu. Wydaje mi się, że kolegium uważało, że wystarczy nam przekazać komunikat Biura Politycznego i na tym zakończy się cała odprawa i dalej będziemy brnąć po staremu.

*Płk Wolański, Główny Komendant MO*:

Drodzy Towarzysze! Nie sądziłem nigdy, że moje konflikty służbowe z gen. Świetlikiem wyjdą kiedykolwiek poza jego gabinet i będą publicznie omawiane. Kiedy towarzysze Winiawski i Czaplicki mówili o tym, zdawało mi się, że spalę się ze wstydu za siebie i gen. Świetlika. Może jednak dobrze się stało, że te sprawy zostały wyciągnięte na światło dzienne. Może na pozór

wydawać się niepoważne, że na dzisiejszej naradzie mówimy o sprawach — zdawałoby się — nieistotnych, błahych, ale one jednak bardzo często stanowią o losach naszego życia i naszego postępowania moralno-etycznego.

Człowiek widzący dookoła siebie niesprawiedliwość, przekonany o swojej racji, a mimo to nie znajdujący zrozumienia ani poparcia tych, którzy są do tego zobowiązani, może zdeprawować swój charakter i stać się dwulicowym. Człowiek dwulicowy, funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa i porządku publicznego, może wyrządzić ogromne szkody ustanowionemu porządkowi prawno-politycznemu, bo dla niego nie ma już żadnych świętości. Uważam, że za ten stan rzeczy w pierwszym rzędzie odpowiedzialni są przełożeni, którzy tolerują lub też sami postępują niezgodnie z etyką partyjną.

Sądzę, że nie muszę przytaczać przykładów, gdyż wszyscy znamy je z własnej praktyki. To, co tu mówiono o postępowaniu Świetlika stanowi zaledwie ułamek tego, co faktycznie miało miejsce, nie tylko w stosunku do mnie. Chciałem podkreślić, że w momentach, kiedy decydowały się losy życia lub śmierci wielu pracowników zaangażowanych w konkretne operacje z bandami, tow. Świetlik więcej zwracał uwagi na wygląd zewnętrzny i sposób wejścia do jego gabinetu — niż na sprawy, które mu referowano i od decyzji których zależały losy ludzi i operacji.

Taki stan rzeczy mógł istnieć tylko dlatego, że nie było u nas atmosfery partyjnej, jeśli komuś przypięto epolety generalskie od razu zapominał skąd się wywodzi, kto był jego wczorajszym towarzyszem walki i komu zawdzięcza swój awans społeczny.

Obejmując parę miesięcy temu Główną Komendę MO zastałem podobny stan operacyjno-agenturalny, jak w całym naszym resorcie. Przyznam się, że w tej chwili nikt z nas, odpowiedzialnych pracowników Głównej Komendy MO nie ma żadnej koncepcji jak ten problem rozwiązać i jak właściwie postawić pracę poszczególnych wydziałów tak w Głównej Komendzie jak i w terenie.

Podobnie jak w MBP, tak samo w MO masowe werbunki agentury stały się „sztuką dla sztuki". Jest rzeczą zrozumiałą, że żaden organ policyjny nie może walczyć z przestępczością kryminalną, jeśli nie posługuje się tzw. siecią konfidencjonalną.

U nas jednak przybrało to taki masowy charakter, że wszyscy prawie milicjanci, a nie tylko wydziały dochodzeniowo-operacyjne, są uprawnieni do werbowania agentury.

Koncepcja operacyjna, polegająca na organizacji sieci agenturalno-konfidencyjnej w/g struktury administracyjnej: rezydent w ADM, informator blokowy (dozorca), konfident w podejrzanym środowisku przestępczym — jest niesłuszna i nie wytrzymuje krytyki.



Przejrzałem kilkadziesiąt rozpracowań milicyjnych, opartych na różnych doniesieniach. W zasadzie były one bezwartościowe. Przymusowe werbunki nie spełniają pokładanych w nich nadziei. W większości wypadków werbowani informatorzy wśród dozorców uprzedzali swoich lokatorów, że milicja interesuje się nimi.

Z tego powodu do Biura skarg i zażaleń Głównej Komendy wpłynęło setki skarg i zażaleń od ludzi nie mających nigdy nic wspólnego z przestępczością.

Z doświadczenia przecież wiemy, że masowe werbunki agentury i masowe eliminacje sieci agenturalnej łamią charaktery werbowanych ludzi, stwarzają atmosferę podejrzliwości, braku zaufania, a w dodatku milicjanci robią to bardzo niefachowo i nieudolnie. I znowu spotykamy się z [słowo nieczytelne], o której mówili tu inni towarzysze, że za ten stan rzeczy często wyciąga się konsekwencje dyscyplinarne w stosunku do wykonawców, a nie do zleceniodawców.

Nie rozumiem dlaczego kierownictwo nasze nie zgadza się na utworzenie Biura Studiów, by na podstawie naukowej analizy przeprowadzić zespołowe badania i byśmy mogli raz na zawsze odrzucić to, co zniekształca i wypacza pracę organów porządku publicznego, a zostawić to, co jest niezbędne w codziennej walce z przestępczością.

Cierpimy na brak techniki operacyjnej i kryminalistycznej. Od kilku lat nie dokonano żadnych poważniejszych inwestycji w tej dziedzinie. Masowymi werbunkami sieci konfidencyjnej nie zastąpi się szybkiej interwencji dobrze zorganizowanej służby pogotowia milicyjnego z radiowozami, laboratoriami i pracownikami analitycznymi. Na to muszą się znaleźć pieniądze.

Uważam również, że po uzyskaniu prokuratorskiej sankcji na osadzenie aresztowanego w areszcie, należy dopuścić obrońcę z urzędu, by opiekował się aresztowanym, by nie dać możliwości aparatowi śledczemu do nadużyć. Prokuratura również nie może zrzucać z siebie odpowiedzialności za stan dochodzeń do czasu sporządzenia aktu oskarżenia. Dla prokuratury i sądownictwa wygodniej jest przerzucić całą odpowiedzialność na Milicję czy Bezpieczeństwo, bo sami uchylają się od udzielenia pomocy i kontroli. Nie jest to ich wina, bo tak widocznie sprawy zostały postawione od początku powstania organów, co moim zdaniem jest sprzeczne z prawodawstwem każdego socjalistycznego państwa.

U podstaw idei powołania MO, zamiast policji, leżała głęboka treść ludowa i jej główną myślą było oparcie walki z przestępczością kryminalną na dobrowolnej, masowej informacji obywatelskiej, wypływającej z jej troski o dobro całego narodu. Niestety, błędy i wypaczenia całego naszego resortu odizolowały Milicję od społeczeństwa i niewieloma dobrowolnymi meldunka-

mi obywatelskimi, które przyczyniły się do wykrycia przestępców możemy się poszczycić.

Jeżeli chcemy przywrócić ideę dekretu o powołaniu MO, musimy zacząć do przestrzegania przepisów prawa ustanowionych przez PRL, bo w przeciwnym wypadku nie pomogą ani referaty, ani szkolenie kadr — jeśli praktyka będzie inna.

System śledczy musi być radykalnie zmieniony. Sądzę, że w tej sprawie zabiorą głos towarzysze odpowiedzialni za system dochodzeniowo-śledczy. Ja chcę poruszyć tylko jedno z podstawowych założeń śledztwa. Można bez końca krzyczeć o przestrzeganiu praworządności, nawet karać za stosowanie przymusu fizycznego w czasie dochodzeń, a jednocześnie wydawać instrukcje, które są zakamuflowaną formą przymusu.

Zapytuję towarzyszy, czy niedawno wydana instrukcja dla wszystkich jednostek śledczo-dochodzeniowych, zalecająca prowadzenie śledztwa systemem „konwejerowym", na dwie zmiany, nie jest przymusem fizycznym? Ja sam byłem kiedyś tak przesłuchiwany przez policję sanacyjną i stwierdzam, że jest to gorsze niż bicie. To absolutnie nic nie daje, demoralizuje śledczego i podejrzanego. Wprowadza zamęt do śledztwa, mamy do czynienia z ciągłymi odwołaniami i sprostowaniami zeznań. Jeśli chcemy, by nie powtórzyły się praktyki departamentu śledczego i X-go, trzeba zmienić system dochodzeniowy, a nie kierowników tych jednostek, bo to nic nie pomoże, po jakimś czasie będą robili to samo, gdyż w zależności od potrzeb, od sytuacji politycznej, będzie się tego od nich żądać.

Wszyscy tu obecni mamy za sobą przeszło 10-letnią praktykę. Nie jesteśmy zwykłymi oficerami aparatu policyjnego, ale przede wszystkim działaczami politycznymi, odpowiedzialnymi za ten stan rzeczy. Robiliśmy w przeszłości to wszystko co nazywamy teraz błędami i wypaczeniami, bo sądziliśmy, że tak będzie dobrze dla Kraju i Partii. Takie było zresztą powszechne przekonanie. Choć przez cały czas byłem na odcinku walki z podziemiem bandyckim i tam walczyliśmy obopólnie siłą zbrojną, to jednak nie chcę się uchylać od odpowiedzialności za to co się działo w innych jednostkach, jak to próbują robić inni.

*V-minister tow. Ptaszyński*

U źródeł naszych sukcesów, jak nas uczy tow. Tomasz, leży proletariacki internacjonalizm i nasz stosunek do Kraju Rad. Przykład i przyjaźń — oto podstawowe czynniki naszej suwerenności i niepodległości.

W wystąpieniach niektórych towarzyszy brzmią nutki nieufności do naszych przyjaciół doradców. Uważam ten stan rzeczy za alarmujący, bo sieją go towarzysze z długoletnim stażem partyjnym i zawodowym. Biuro Polityczne naszej partii przeprowadziło głęboką analizę błędów i wypaczeń, jakie miały miejsce w Departamencie Śledczym i X-tym, i podjęło konieczne środki zaradcze by ten stan naprawić. Dyscyplinarne konsekwencje, zastosowane wobec Romkowskiego, Fejgina, Różańskiego i innych, były słuszne, i oni za ten stan rzeczy ponoszą główną odpowiedzialność.



Towarzysze zapominają, że w miarę, jak umacnia się nasz system socjalistyczny, ośrodki dywersji politycznej, kierowane przez wywiady państw imperialistycznych, na czele ze Stanami Zjednoczonymi — nie śpią. Nie ulega wątpliwości, że obce wywiady zechcą przedostać się do słabych punktów oręża dyktatury proletariatu, by w ten sposób zrekompensować poniesione straty i klęskę, po zdemaskowaniu prowokatora Światło i innych zdrajców.

Musimy jeszcze bardziej wzmocnić naszą czujność rewolucyjną, przejrzeć na nowo stan kadrowy, poczynając od młd. referenta wzwyż, by oczyścić się z balastu, który hamuje naszą pracę kontrwywiadowczą. Jestem również zdania, że musimy, po ostatnich wydarzeniach, przeprowadzić regulację kadr i każdego postawić na właściwym miejscu.

*Tow. Siedlecki*, w swoim wystąpieniu, słusznie podkreślił słabą stronę naszego kontrwywiadu, który nie potrafił na czas pomóc w wykryciu wtyczek amerykańskiego wywiadu w czułych pionach naszego resortu.

Głosy negujące konieczność rozbudowania sieci agenturalnej, szczególnie w naszej ekonomice, w przemyśle maszynowym, stoczniowym i górniczym są błędne i szkodliwe.

Praktyka ostatnich lat wykazała, że tylko dzięki stałej opiece operacyjnej udało się uchronić wiele zakładów pracy przed dewastacją, złodziejstwem i zaborem mienia społecznego.

Sam fakt, że ludzie o tendencjach przestępczych czuli, że prowadzimy masowe werbunki sieci agenturalnej i że są pod ciągłą kontrolą, i to powstrzymywało ich od dokonywania dalszych przestępstw.

W stoczni gdańskiej obserwujemy bierny opór i systematyczne niewykonywanie planów na dokach, gdzie montuje się statki dla armatora radzieckiego. Ten stan rzeczy spowodowany został osłabieniem naszej agenturalnej pracy i zaniechaniem rozpracowań środowiskowych. Nasza gospodarka narodowa ponosi z tego powodu ogromne straty. Nie możemy dalej tolerować bezczynnności pionu operacyjnego w Departamencie VI. Płk Jurkowski i jego zastępca powinni wziąć sobie moje słowa do serca, bo jeśli przemysł stoczniowy nie wykona w tym roku przewidzianego planu — nie będziemy w stanie spłacić naszych długów importowych. Nie będziemy mogli również importować

niezbędnego wyposażenia dla budujących się statków, przeznaczonych na eksport. Jest to konieczne, bo armatorzy radzieccy i zachodni warunkują kupno statków od instalacji w nich różnych elementów pochodzących z importu z państw zachodnich.

Agentura nasza jest płytka, gdyż dozór techniczny i inżynieryjny oraz biura konstrukcyjne są ostatnio prawie bez sieci, a co za tym idzie bez agenturalnych rozpracowań. Wiemy, że tam gnieździ się duża ilość naszych potencjalnych wrogów.

Próbowano tu obarczyć odpowiedzialnością za błędy i wypaczenia naszych doradców, którzy tyle trudu włożyli w organizację naszego aparatu. Widzę w tym chęć uchylania się od własnej odpowiedzialności i obarczenia nią kogoś innego. Jest to stanowisko antypartyjne. Musimy z tym walczyć.

*Płk Brystygierowa, dyr. Departamentu V*:

Korzystając z atmosfery szczerej dyskusji, jaką na dzisiejszej naradzie stworzył tow. Radkiewicz, chcę poruszyć i zarazem wyjaśnić trzy węzłowe zagadnienia, które zaciążyły na naszej postawie etyczno-moralnej:

1) Sprawa rehabilitacji KPP;
2) Sprawa pewnej kategorii agentury;
3) Sprawa „PAX"-u i jego przewodniczącego B. Piaseckiego.

Ad. 1. Wielu towarzyszy ma do mnie żal, że nie wykorzystałam pełnomocnictwa tow. Bieruta i rzekomo dotychczas nie zebrałam dostatecznych materiałów, dokumentujących bezpodstawność oskarżeń o zdradę naszych przywódców KPP, co spowodowało rozwiązanie przez „Komintern" naszej partii w 1938 r.

Oświadczam, że przy Departamencie V-tym powstała specjalna komórka, pod moim bezpośrednim kierownictwem, która zgromadziła wszystkie dostępne i zachowane dokumenty Wydziału Antykomunistycznego II Oddziału Sztabu Generalnego, oraz materiały przedwojennej „defensywy" i Departamentu d/s Bezpieczeństwa przy MSW do 1939 roku.

Udało się również zabezpieczyć część kartoteki agenturalnej Referatu Antykomunistycznego.

Przesłuchiwaliśmy również asów polskiej tajnej policji: Pogorzelskiego z Warszawy, Rosołowicza z Sosnowca, Pałysa z Zagłębia Dąbrowskiego i wielu, wielu innych.

Przeprowadziliśmy również rozmowy z wyższymi oficerami II Oddziału Sztabu Generalnego, którzy pozostali w Polsce i pracowali na odcinku antyradzieckim.

Nie ma najmniejszych „zaczepek", które by wskazywały, że ktokolwiek z członków Centralnego Komitetu KPP, skazany w procesach moskiewskich, miał kontakt z polską tajną policją lub z polskim wywiadem.

Ucieczka Leńskiego, po jego przesłuchaniu u sędziego śledczego w Warszawie, była wynikiem dobrej organizacji, wykorzystania przez Leńskiego zamieszania, a potem pomocy udzielonej przez ambasadę radziecką. Odrzucam całkowicie tezę, że tę ucieczkę zorganizowała „defensywa", by lepiej zakonspirować „prowokatora".



Sochacki i Żarski zostali również bezpodstawnie skazani na karę śmierci i wyrok został wykonany, choć na to nie było żadnych dowodów rzeczowych. Jeśliby byli agentami wywiadu polskiego, musiałby o tym wiedzieć Pogorzelski, czy szef II Oddziału Sztabu Generalnego, pułkownik Englisch, z którym przeprowadziłam rozmowę.

Warski i Kostrzewa przebywali na terenie ZSRR od 1926 r. i nie mieli możliwości kontaktowania się z kimkolwiek z polskiej służby wywiadowczej, a pomimo tego również zostali skazani na karę śmierci.

Henrykowski, Paszyn, Rożek, Rozenberg i wielu innych uciekło z Polski, gdyż groziło im tu długoletnie więzienie i należeli do najstarszej kadry rewolucyjnej i nawet bez sprawdzenia nikt by w to nie uwierzył, że nagle stali się zdrajcami.

Nie ulega dzisiaj już żadnej wątpliwości, że towarzysze ci padli ofiarą pomyłki lub niesłychanej prowokacji z premedytacją.

Z tej trybuny oświadczam, że miałam duże przykrości z powodu mojej pracy wyjaśniającej ten tragiczny dla nas problem i że nie zgodziłam się na przekazanie tej sprawy do Departamentu X-go do ponownego wyjaśnienia. Moim zdaniem, sprawa już była tak jasna, że należało tylko ogłosić komunikat o rehabilitacji niewinnie oskarżonych i niewinnie skazanych przywódców.

Dla nas jest to sprawa wyjątkowo bolesna. Wielu z tych ludzi to nasi najbliżsi. Wśród skazanych na kary śmierci znajdowali się m.in.: starszy brat min. Radkiewicza — funkcjonariusz C.K. KPP, brat Bolesława Bieruta — obwodowiec C.K. KPP, dwaj bracia Małgorzaty Fornalskiej. Mogłabym wymienić wielu jeszcze krewnych obecnych tu na sali. Chcę jeszcze raz podkreślić, że niczego nie zaniedbałam i zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy, by do końca wyjaśnić tę sprawę. Nie liczyłam się z tym, że pewnym osobom było to nie na rękę.

Uważałam to po prostu za sprawę honoru. Nie można świadomie pogodzić się ze zbrodnią na najbliższych, mając niezbite dowody ich niewinności. Zajęcie przeze mnie innego stanowiska byłoby równoznaczne z współodpowiedzialnością i aprobatą zbrodni. Niestety, nie mogę tego inaczej nazwać. Pomimo mego sprzeciwu, na wyraźne polecenie tow. Radkiewicza, byłam zmuszona przekazać dokumenty do Departamentu X-go, bez ogłoszenia rehabilitacji KPP.

Upłynęło od tego czasu parę lat. Nie widzę rezultatów. Wręcz przeciwnie, sprawa coraz bardziej się gmatwa. Dotychczas

towarzysze radzieccy nie udostępnili nam akt sądowych, by można było zapoznać się z treścią oskarżenia i zebranymi rzekomo materiałami dowodowymi, przez sowieckie organa śledcze. Wiadomo mi, że część akt, zebranych jeszcze przeze mnie, została wypożyczona przez sowieckich doradców dla sprawdzenia w Moskwie i dotychczas nie zwrócona.

Kiedy przystępujemy do naprawiania błędów i wypaczeń należy, moim zdaniem, zacząć od rehabilitacji KPP, nie czekając na decyzję byłych członków rozwiązanego „Kominternu", gdyż ta organizacja nie istnieje i nie powinniśmy czekać, by formalności stało się zadość. Wystarczy ogłosić komunikat Centralnego Komitetu naszej Partii i w ten sposób przywrócimy cześć i honor tym, którzy całe życie poświęcili dla sprawy polskiego proletariatu.

*Ad. 2.* Wielu towarzyszy mówiło tutaj o wypaczeniach i zniekształceniach prawidłowej pracy z agenturą. Ja chcę poruszyć bardzo delikatny problem z tej samej kategorii.

W pierwszych latach po wyzwoleniu byliśmy zmuszeni werbować lub „nasadzać" agenturę do obecnych naszych stronnictw sojuszniczych, a przed połączeniem PPS z PPR, również i do tej organizacji. Osobiście byłam przeciwna takiej transmisji naszej ideologii do sojuszniczych organizacji politycznych, ale był to okres ostrych walk klasowych i małej wojny domowej. Pod bronią było tysiące zorganizowanych, konspiracyjnych oddziałów, kierowanych przez krajowe i zagraniczne ośrodki. Było to więc zło konieczne. W każdej chwili nasi wahający się sojusznicy mogli przejść na stronę wroga. Agentura była więc jednym z elementów obrony i zabezpieczenia interesów PRL. Dzisiaj jednak stanowi ona wrzód na naszym organizmie partyjno-państwowym, wrzód, który należy jak najszybciej usunąć. Przez ostatnie 10 lat „nasi agenci" doszli w hierarchii państwowej do ministrów, posłów do Sejmu PRL, ambasadorów i członków Rady Państwa, przewodniczących Wojewódzkich Rad Narodowych, a nawet członków Centralnego Komitetu naszej Partii, wywodzących się z dawnej PPS, których werbowaliśmy do akcji jednolito-frontowej.

Już parę razy proponowałam, by tych ludzi zwolnić oficjalnie z współpracy z nami, bo i tak nie utrzymujemy z nimi kontaktu służbowego, gdyż jest to nam obecnie niepotrzebne, bo ludzie ci pracą i służbą udowodnili, że są związani z Polską Ludową. Należy w ich obecności zniszczyć teczki personalne, łącznie z zobowiązaniami i wyeliminować ich z naszej kartoteki agenturalnej. Podziękować za ich trud i zarazem przeprosić, że tak musiało się stać w przeszłości.

Niestety, nie ma dotychczas decyzji w tej sprawie. Uważam



również, że towarzysze doradcy powinni nam zwrócić duplikaty tych teczek agenturalnych, które zostały zrobione na ich żądanie. Przedstawiłam tę sprawę mojemu starszemu doradcy, jednak nie znalazłam u niego zrozumienia. Proponuję, by po tej konferencji natychmiast przystąpić do realizacji przedstawionego przeze mnie wniosku. Prosiłabym, by tow. Minister wydał w tej sprawie odnośne zarządzenie, z mocą natychmiastowego wykonania.

*Ad. 3.* Spotykam się z wieloma zarzutami, że ja, stara komunistka, znalazłam dla organizacji postępowych katolików przedwojennego wodza młodych endeków, kolaboranta i „pałkarza" w osobie Bolesława Piaseckiego.

Szczególnie mają do mnie żal dawni członkowie lewicowej, prokomunistycznej organizacji „Życie", którzy na własnej skórze poczuli pałki „chłopców" Piaseckiego. Dlatego też muszę tę sprawę dzisiaj wyjaśnić, choć jestem związana tajemnicą służbową ale uważam, że nie dotyczy to tego grona.

Towarzysze wiedzą, że episkopat polski i większa część reakcyjnego kleru, od pierwszego momentu wyzwolenia Kraju, wrogo odnosiła się do koncepcji i założeń ustroju socjalistycznego w Polsce.

Grupa postępowych działaczy katolickich, rekrutująca się z inteligencji, dziennikarzy i pisarzy, proponowała utworzenie świeckiej organizacji, która byłaby pomostem wiążącym kościół katolicki z nową władzą i choć częściowo izolowała reakcyjnych biskupów od wpływu na społeczność katolicką.

Oni to wysunęli projekt nadania tej organizacji charakteru handlowo-wydawniczego, opartego na założeniach spółdzielczych, z udziałem sektora prywatnego.

Przyjaciele radzieccy widzieli w takiej konfiguracji element daleko wykraczający poza granice Polski. Obok działalności kulturalnej i wydawniczej w Kraju, zmonopolizowania wytwórni dewocjonalii, otworzyły się przed „PAX"em możliwości eksportu tego rodzaju artykułów.

Nieporozumienie wypływa stąd, że Bolesław Piasecki, jeszcze przed powołaniem tej organizacji, zaangażował się finansowo i personalnie, a my stanęliśmy przed faktem dokonanym.

Towarzysze radzieccy forsowali kandydaturę Bolesława Piaseckiego na kierownika tej organizacji, gdyż mieli wobec niego pewne zobowiązania, bo w swoim czasie oddawał im dość duże usługi.

Ja go nie werbowałam, nie jest naszym agentem, przeprowadziłam tylko z nim rozmowę, kiedy został mi przedstawiony przez mojego doradcę, który utrzymywał z nim stały kontakt.

Uważam, że kandydatura Piaseckiego, przedwojennego wodza

młodych endeków, na kierownika nowej, postępowej organizacji katolickiej, była niewypałem. Z tego powodu organizacja ta nie stała się masową i pomimo to, że Piasecki nie był oficjalnym naszym agentem, każdy go o to podejrzewał i nie mieli do niego zaufania.

Więcej informacji, dotyczących tej sprawy, nie mogę Wam udzielić, sądzę, że to co powiedziałam jest wystarczające.

W sprawie wniosków co do koncepcji operacyjnej Departamentu V-go na przyszłość, opracuję je zespołowo z moimi naczelnikami, zaraz po zakończeniu obecnej narady i przedstawię jej kierownictwu Ministerstwa.

*Minister gen. Radkiewicz*:

Do prezydium wpłynęły następujące pytania, podpisane przez towarzyszy: Plutę, Dybałę i Winiawskiego:

1. Dlaczego został aresztowany Władysław Gomułka i jakie są przyczyny, że dotychczas nie odbył się jego proces?

2. Za co został skazany na 15 lat więzienia gen. Grzegorz Korczyński, były v-minister MBP?

Pozwolę sobie odpowiedzieć od razu na te pytania, by w trakcie dyskusji nad całokształtem naszej pracy nie było niedomówień.

Nie należy łączyć tych dwóch spraw w jedno zagadnienie, gdyż są one od siebie niezależne.

Gomułka był nosicielem prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia, które mogło zgubić Polskę, jeślibyśmy je tolerowali. Od momentu wyzwolenia otaczał się ludźmi wątpliwego pochodzenia, karierowiczami i w tych sprawach z nikim się nie konsultował. Był człowiekiem despotycznym, o tendencjach dyktatorskich.

W celu realizacji swojej zgubnej polityki personalnej forsował pogląd, że ruch partyzancki był siłą decydującą, która wyzwoliła Kraj. Jest to niesłuszne, gdyż faktycznie, w ogólnym układzie sił na frontach II wojny światowej, ruch partyzancki AL odgrywał rolę symboliczną i napędową.

Wszystkie czynniki razem wzięte, a więc: ruch partyzancki, siły zbrojne organizowane przez ZPP, a przede wszystkim Armia Radziecka — przyniosły nam wolność.

Teoria o decydującej roli ruchu partyzanckiego potrzebna była Gomułce do rozbicia jedności naszej Partii, do jej podziału na towarzyszy, którzy w czasie okupacji byli w Kraju i tych, którzy przebywali na emigracji w ZSRR. Najlepiej sam to sformułował na Kongresie Zjednoczeniowym w 1948 r., gdzie zabrał głos, by nas pouczyć co to jest patriotyzm.

Intrygi Gomułki i jego popleczników, mające na celu pokłócenie kierownictwa naszej Partii, na czele z tow. Bierutem



— ze Związkiem Radzieckim, były głównym zadaniem w jego działalności. Nie omieszkał szukać sprzymierzeńców w prawicowym skrzydle PPS i nie przypadkowo jego tezy o tradycjach niepodległościowych tej partii były głównym akcentem przygotowanego referatu.

Gdybyśmy byli tolerowali prawicowe odchylenie Gomułki, doprowadzilibyśmy do rozbicia Partii i bezpośredniego zagrożenia bytu narodowego.

Biuro Polityczne i Rząd PRL, wychodząc z tego założenia, postanowiły zastosować wobec Gomułki areszt domowy i umieścić go w odpowiednim, przygotowanym miejscu odosobnienia, zapewniając mu wszelkie niezbędne wygody.

Sprawa Wiesława nie ma nic wspólnego z błędami i wypaczeniami, o których dzisiaj mówimy, lecz została ona przemyślana i zatwierdzona przez najwyższe kierownictwo naszej Partii i Rządu PRL.

Sprawa Grzegorza Korczyńskiego jest zupełnie innej natury. Korczyński został skazany przez Sąd PRL za zbrodnię popełnioną w czasie okupacji, kiedy był dowódcą ruchu partyzanckiego AL na Lubelszczyźnie, w Lasach Janowskich.

Nie ogłosiliśmy w tej sprawie komunikatu, ani też nie udzielaliśmy informacji, gdyż sprawa jest tragiczna i kompromitująca. Przedstawię ją w skrócie telegraficznym.

Za oddziałami Grzegorza Korczyńskiego podążały liczne tabory, które zaopatrywały oddziały w niezbędny sprzęt i żywność i były zarazem schronieniem dla przeszło 100 rodzin żydowskich przyprowadzonych do oddziału przez partyzantów, po rozbiciu przez nich przesyłkowych punktów zbiorczych, zorganizowanych w małych miasteczkach, celem dalszego odtransportowania Żydów do obozów zagłady.

W czasie natarcia wojsk hitlerowskich na Lasy Janowskie Korczyński doszedł do przekonania, że nie uda mu się przedrzeć przez pierścień otaczających wojsk okupanta, jeśli będą ciągnęły za nim liczne tabory z rodzinami.

Podjął decyzję pozbycia się zbędnego balastu. Wydał polecenie, by oddziały ruszyły do odwrotu, natomiast tabory skierował w przeciwnym kierunku, w stronę zbliżających się oddziałów niemieckich.

Gdy ludzie z taborów zorientowali się, że idą na niechybną śmierć, zmienili kierunek i podążyli za wycofującymi się oddziałami. Wówczas Korczyński polecił własnym ogniem zlikwidować setki bezbronnych ludzi.

Żaden kodeks wojskowy nie przewiduje takiej alternatywy. Nikt nie może się uchylać od odpowiedzialności karnej za dokonanie takiego antyhumanitarnego czynu.

Sprawa Korczyńskiego wpłynęła do Sądu zaraz po wyzwole-

niu. Wniesiona została przez grupę byłych partyzantów, których rodziny zostały poszkodowane i tych, którzy kierowali się pobudkami czysto ludzkimi.

Póki Gomułka był sekretarzem, nie zgodził się na przeprowadzenie dochodzenia prokuratorskiego przeciwko Korczyńskiemu i sam go osłaniał. Później jednak sprawa nabrała rozgłosu i nie było innego wyjścia, jak skierować ją do Sądu.

*Płk Górecki — Departament Ekonomiczny*

Towarzysze v-minister Ptaszyński i gen. Świetlik przedstawili nam groźną sytuację w sektorze gospodarki narodowej, za ostatnie 6 miesięcy.

Awarie i pożary o charakterze sabotażowym, jakie miały miejsce w ostatnich miesiącach, są groźnym sygnałem alarmującym, że wróg klasowy nie śpi. Niestety, nasz departament nie był w stanie zlikwidować ani jednej siatki wroga, działającej w naszej ekonomice.

Widzę w tym groźny przejaw rozkładu w naszym aparacie. Pracownicy boją się werbować nowych agentów, zakładać agenturalne rozpracowania i na tym odcinku panuje całkowita demobilizacja.

Większość pracowników operacyjnych, tak w Departamencie jak i w terenie, uważa, że akty sabotażu, jakie mają miejsce na obiektach przemysłowych, są normalnymi awariami technicznymi, wypływającymi głównie z niedostatecznej konserwacji urządzeń, niedoinwestowania, braku odpowiednich elementów zastępczych do importowanych maszyn oraz złej jakości materiałów, z których są konstruowane maszyny polskiej produkcji. To samo dotyczy awarii i przestojów na kopalniach, które rzekomo są następstwem ruchów tektonicznych i procesów geologicznych.

Referaty Ochrony alarmują o ucieczce nadzoru technicznego z produkcji, szczególnie z przemysłu węglowego i spychają cały ciężar wydobycia i transportu na niższy dozór techniczny.

Widzę w tym działalność wroga klasowego. Naszą słabość wykorzystują zagraniczne ośrodki dywersji i sabotażu. Nie mogę jednak o tym przekonać swojej kadry, łącznie z naczelnikami wydziałów. Muszę samokrytycznie przyznać, że operacyjnie nie panuję nad Departamentem. Głosy, jakie dzisiaj padły w wystąpieniach z ust aktywu partyjno-zawodowego, są demobilizujące i nic dziwnego, że to udziela się funkcjonariuszom niższych szczebli, pracujących z agenturą.

Uważam, że gdybyśmy byli korzystali z rad naszych przyjaciół radzieckich, tak jak oni nas uczyli, a nie interpretowali ich zaleceń po swojemu — nie popełnilibyśmy takich błędów i wypaczeń, jakie miały miejsce.

Z własnego doświadczenia wiem, że bez pomocy towarzyszy



radzieckich nie bylibyśmy w stanie poradzić sobie z podziemiem reakcyjnym, uzbrojonym po zęby przez imperializm amerykański i zachodnio-niemiecki, jak i też z reakcyjnym klerem, który czerpie swoje natchnienie [w walce] z władzą ludową bezpośrednio z Watykanu.

Akcenty, w wystąpieniach niektórych towarzyszy, nie chcę wymieniać nazwisk, są ukrytą formą obarczania odpowiedzialnością za zaistniały stan rzeczy naszych najwierniejszych przyjaciół radzieckich. Jest to krzywdzące i nielicujące z godnością członków Partii.

*Płk Andrzejewski, v-dyrektor Departamentu III*

Na dzisiejszą odprawę przychodzę wprost ze szpitala, gdzie przebywam na leczeniu. Zapisując się do głosu chciałem powiedzieć kilka słów, w związku z oświadczeniem tow. Czaplickiego, odnośnie mojej osoby. Odstępuję jednak od tego tematu, gdyż charakter i głęboka treść dyskusji, sięgająca do podstaw pracy organów, stawia osobiste sprawy i krzywdy, jako mniej istotne, na plan dalszy.

Spodziewałem się, że w wystąpieniach członków kolegium kierownictwa Ministerstwa usłyszymy głęboką, samokrytyczną ocenę naszych błędów i wypaczeń i zostaną, choć w ogólnych zarysach, przedstawione nowe koncepcje i założenia dla całego aparatu tak operacyjnego jak i śledczego.

Wystąpienia gen. Świetlika i v-ministra Ptaszyńskiego były „starą lekcją" o czujności rewolucyjnej, o danych statystycznych ilości sabotaży i dywersji, przedstawionych nam bez analizy i bez wytycznych, które mogłyby zapobiec podobnym wypadkom w przyszłości.

Nasi kierownicy resortów powinni wiedzieć, że wszystkie ich wystąpienia na naradach zawodowych są instrukcjami dla podległego aparatu, a nie zwykłym przemówieniem propagandowym, które wygłasza się na wiecu. Towarzysz Ptaszyński przedstawił nam statystykę awarii i określił je jako akty dywersji, które miały miejsce w ostatnim miesiącu. Zanotowano w przybliżeniu około 2000 wypadków.

Takie ujęcie sprawy jest równoznaczne z nastawieniem podległego aparatu operacyjnego w kierunku wykrycia i rozpracowania tych „zbrodni". Jeśli wszystkie awarie, w sektorze ekonomicznym, kładzie się do jednego worka, to w przetłumaczeniu na język operacyjny oznacza to dalsze zakładanie spraw agenturalnych, werbunki agentury, aresztowania oraz przekazanie „przestępców" do dyspozycji prokuratury i sądów PRL. Chcę tę sprawę wyjaśnić bliżej.

W przedstawionej nam statystyce figurują: awarie na trasie transportu w kopalniach (spowodowane zużytymi pasami transmi-

syjnymi), pożary (na skutek zaprószenia ognia), wybuchy gazów w kopalniach itp. Specjalnie podkreśliłem te momenty, bo nasi przełożeni operacyjni i działacze partyjni przy każdej okazji przypominają o przestrzeganiu praworządności socjalistycznej, by w przyszłości mogli się uchylić od odpowiedzialności za niedorzeczne instrukcje, które sami kiedyś wydali i które w swych założeniach były jaskrawym przykładem łamania praworządności.

Nasz departament nie ma tego rodzaju problemów ekonomicznych; ma natomiast problemy walki z podziemiem politycznym, które używa przeciwko nam wszystkich dostępnych mu środków.

Dzisiaj nie można operować gołosłownymi frazesami. Awarie o charakterze dywersyjnym muszą być dokonywane przez organizacje podziemne, których określonym celem jest działanie na szkodę Polski Ludowej.

Dysponujemy agenturą we wszystkich wrogich środowiskach i zawiązanych organizacjach podziemnych w Kraju i za granicą. Przez ostatnie lata dotarliśmy tą drogą do wszystkich podziemnych ośrodków politycznych wroga, a te, których nie udało nam się jeszcze zlikwidować, kontrolujemy agencyjnie.

Nie mamy w ostatnich paru latach ani jednego doniesienia czy wstępnego rozpracowania, które by wskazywało, że podziemie organizuje lub nawet przygotowuje się do dokonania aktów dywersji i sabotażu w gospodarce narodowej. Nie ma w tej sprawie najmniejszych zaczepek.

Akty dywersji, o których mówili tutaj: Górecki, Świetlik i Ptaszyński były zebrane dowolnie, niczego nie charakteryzują, a wręcz przeciwnie coraz bardziej utrudniają prawidłową pracę kontrwywiadu.

Jest logicznie niemożliwe, by przy tak masowych werbunkach, jakich dokonują wszystkie nasze departamenty, łącznie z urzędami wojewódzkimi, nie można było wykryć ani jednej typowej sprawy dywersyjnej, których rzekomo w/g relacji v-ministra Ptaszyńskiego, jest w każdym miesiącu kilkaset lub nawet kilka tysięcy, jak to miało miejsce w ostatnim miesiącu.

Praktyka Departamentu III pokazuje nam, że jeśli działa zorganizowana grupa czy siatka dywersyjna, to nie ma takiej siły, która by prędzej czy później jej nie zdemaskowała i wykryła.

Na tym tle były ciągłe nieporozumienia między mną a gen. Świetlikiem i v-ministrem Ptaszyńskim, którzy żądali ode mnie wykrycia powiązania między działalnością podziemia reakcyjnego a wypadkami i awariami w gospodarce narodowej.

Nie posiadam takiej fantazji jak Różański i nie byłem w stanie wykonać tego rodzaju zadania. Nie jestem również literatem, być może gdybym zwrócił się do mojej żony Żywulskiej



(która jest pisarką), udałoby się jej spreparować potrzebną fikcję literacką. Przepraszam towarzyszy za ten ironiczny akcent, ale wymaganie było tak niedorzeczne, że nie mogłem go inaczej potraktować.

Przechodząc do następnego zagadnienia, z góry zdaję sobie sprawę z tego, że będę, przez wielu, pomawiany o głoszenie „herezji". Jest mi to jednak obojętne, bo nie chcę w przyszłości stać się „kozłem ofiarnym".

Przez ostatnie dwanaście lat większość funkcjonariuszy naszego aparatu zdobyła wykształcenie, legitymuje się dyplomami prawniczymi lub jeszcze studiuje. Również i my, starzy działacze partyjni, nie jesteśmy już „raczkującymi" bezpieczniakami z lat 1944/46. Mamy za sobą wieloletnie doświadczenie, przebyte szkolenia i studia różnego charakteru. Myślimy kategoriami naukowymi i kiedy jest mowa o przestrzeganiu praworządności socjalistycznej, rozumiemy sens tych słów i nie możemy tłumaczyć się jedynie biernym przyjmowaniem deklaracji.

A jak jest z przestrzeganiem przepisów Konstytucji PRL? Pracownicy wymiaru sprawiedliwości i wszystkich służb bezpieczeństwa i porządku publicznego muszą w pierwszym rzędzie sami przestrzegać Konstytucji PRL, jeżeli żądają tego od obywateli. Dotychczasowe masowe werbunki i eliminacje agentury naruszyły elementarne zasady Konstytucji, która gwarantuje obywatelom prawo do spokojnej egzystencji.

Jest rzeczą zrozumiałą, że bez sieci agencyjnej nie może normalnie funkcjonować żaden organ dochodzeniowy, ale to co my robimy nie ma nic wspólnego z dochodzeniami i walką z przestępczością.

Tajna inwigilacja poczty narusza tajemnicę korespondencji, zagwarantowaną Konstytucją PRL. Na dzień dzisiejszy w Ministerstwie i urzędach wojewódzkich w całym kraju zatrudnionych jest przeszło 1000 funkcjonariuszy, którzy kontrolują korespondencję obywateli, bez sankcji prokuratora, jaką przewiduje Kodeks Karny.

Nikt z kierownictwa rządu i partii nie może zaprzeczyć, że o tym nie wie, skoro co miesiąc, a czasem dwa razy w miesiącu wychodzi specjalny biuletyn, obejmujący wyjątki z listów osób prywatnych, charakteryzujące nastroje poszczególnych środowisk w kraju.

Jest to, moim zdaniem, niepotrzebne, bo bez tego jest duży napływ informacji agenturalnych, które dostatecznie charakteryzują nastroje środowiskowe w kraju. Inwigilacja korespondencji powinna dotyczyć tylko określonych kategorii ludzi i być przeprowadzona jedynie za sankcją prokuratora, zgodnie z przepisami Kodeksu Karnego.

Ostatnia sprawa to nowe formularze arkuszy *dossier*. Przy-

znam się, że byłem zaskoczony inwencją literacką tego nowego tworu. Nie jest to już zwykła ankieta personalna kandydata na werbunek, lub podejrzanego o przestępstwo polityczne. Zawarto w niej dziesiątki różnorodnych pytań, sięgających do trzeciego pokolenia i dotyczących nałogów, wad i zalet dziadków. Ciekaw jestem, kto to wymyślił, bo nie widzę wśród nas takich „mądrych" ludzi.

Ażeby wypełnić taki arkusz *dossier* trzeba pracować nad nim przeszło rok. Wymagane są dziesiątki wywiadów milicyjnych, niezbędnych do wypełnienia poszczególnych rubryk. Potrzebna jest też specjalnie werbowana agentura, by niektóre wiadomości zdobyć jak najbardziej konspiracyjnie. Treść tej ankiety nie jest rekompensatą za ogromny trud i wysiłek, jaki trzeba w nią włożyć, chyba że jest przeznaczona dla innych celów, ale jakich — nie wiem.

*Ppłk Piasecki — b. v-dyrektor Departamentu X, obecnie v-dyrektor Departamentu Kadr i Szkolenia*:

Rok temu zostałem przeniesiony z Departamentu X, bo nie mogłem zgodzić się z polityką operacyjną tej jednostki.

Choć pod moim adresem nie wysunięto na obecnej naradzie żadnych zarzutów, nie oznacza to, że nie czuję się współwinnym za to wszystko, co działo się w Departamencie X od momentu jego powstania.

Nie może się od tej odpowiedzialności uchylić również nasza partia, a w szczególności jej kierownictwo. Nie jest sztuką przerzucić odpowiedzialność na pewne osoby, ale być zawsze przygotowanym na ewentualne konsekwencje swoich posunięć. Niestety, tego nie widzimy.

Dlatego też parę słów chcę poświęcić organizacji i strukturze Departamentu X.

Od momentu jego powołania podlegał bezpośrednio kierownictwu naszej partii, tak w sprawach operacyjnych, jak śledczych i agenturalnych.

Wydziały X-te urzędów wojewódzkich były wyłączone z operacyjnej kompetencji szefów tych urzędów i podlegały bezpośrednio I-mu sekretarzowi PZPR, a organizacyjnie Departamentowi X w Warszawie.

Na każdy werbunek, na każde założenie rozpracowania agenturalnego jak i również na każdy areszt, musiała być sankcja pisemna I-go Sekretarza woj. Komitetu Partii.

W skali centralnej Departament nasz podlegał bezpośrednio najwyższym czynnikom partyjnym i rządowym, i nawet minister MBP był wyłączony z kompetencji w pewnych, określonych sprawach.

Fejgin i Światło, a przedtem i ja, referowaliśmy każdą sprawę



bezpośrednio Bierutowi, Bermanowi, Cyrankiewiczowi czy Nowakowi.

Jak wytłumaczyć, że ci towarzysze absolutnie obecnie nie chcą wziąć na siebie choć części odpowiedzialności?

Światło był człowiekiem despotycznym, dwulicowym, umiał się dobrze „podlizywać", „mydlić oczy" i to podobało się kierownictwu zawodowemu i partyjnemu, i dlatego tak szybko szedł w górę.

Nie wiem do kogo płk Orechwa i płk Siedlecki mają pretensje, skoro sami forsowali Józefa Światłę, rozprawiając się ze wszystkimi, między innymi ze mną, a więc tymi, którzy nie zgadzali się z despotyzmem i karierowiczostwem Światły.

To byłoby te kilka słów, które chciałem dorzucić na marginesie dzisiejszej odprawy.

Kieruję obecnie działem szkolenia zawodowego i politycznego i jestem żywotnie zainteresowany, by wyniki dzisiejszej odprawy były obiektywną oceną naszej przeszłości, bo w przeciwnym wypadku trudno będzie wyciągnąć wnioski w celu opracowania nowego programu szkolenia.

*Ppłk Humer — v-dyrektor Departamentu Śledczego*:

Nie mam zamiaru bronić Departamentu Śledczego lub samego siebie. Jestem w trakcie jego przekazywania innemu kierownictwu. Nie chcę jednak, by pod moim adresem i pozostałej kadry śledczej padły oskarżenia o czyny, których nigdy nie popełniliśmy. Mamy dość własnych grzechów i nie chcemy odpowiadać za cudze.

Nie my stworzyliśmy system śledczy, który do dziś obowiązuje, a o którym tylko marginesowo mówił, na dzisiejszej naradzie, płk Wolański, Główny Komendant MO.

Chcemy, by wszyscy wiedzieli, gdyż w komunikacie Biura Politycznego nie było to opublikowane, że Departament Śledczy nie prowadził grupowych spraw wyższych oficerów W.P., ani też spraw specjalnych tzw. „spraw o dywersję w ruchu robotniczym". Do tego były powołane specjalne grupy śledczo-operacyjne, podległe bezpośrednio kierownictwu partyjnemu.

Areszty i rozpracowania przeprowadzały: Informacja W.P. i Departament X. Towarzysze obecni na naszej naradzie wiedzą dokładnie, że żadnego oficera od stopnia majora nie można było aresztować bez sankcji Marszałka Polski. Żadnego działacza partyjnego nie wolno było rozpracować i aresztować bez sankcji najwyższych władz partyjnych.

W trakcie śledztwa wychodziły braki w rozpracowaniu, często oskarżeni odwoływali lub prostowali swojej zeznania. O tym również było informowane kierownictwo zawodowe i partyjne. Potem zaprzestano informować czynniki nadrzędne, gdyż każda

obiektywna relacja była poczytywana jako nieudolność oficera śledczego, lub jego przełożonego.

Chcę poruszyć tutaj dość ważną sprawę, którą wyjątkowo sugestywnie umiał przekazać aparatowi śledczemu płk Różański.

Oficerowie śledczy byli święcie przekonani, że pomagają Partii i Rządowi, jeśli potrafią w toku śledztwa wydobyć od podejrzanych i oskarżonych takie zeznania, które podmurują tezy Partii o aktualnej sytuacji w Kraju i za granicą.

Ten pogląd miał swoje uzasadnienie, między innymi, w tym, że każda pokazowa sprawa była wielkim wydarzeniem politycznym i przygotowana była propagandowo wspólnie z czynnikami partyjnymi, prasą i radiem. Bardziej dojrzali i inteligentni pracownicy Wydziału Śledczego rozumieli te sprawy i traktowali je jako zadania partyjne, niezbędne Polsce Ludowej. Inni natomiast stali się automatami, karierowiczami i ślepo wykonywali wszystkie zalecenia, które potrafił pięknie i przekonywująco referować Różański.

System śledczy i dochodzenia sądowe opierały się na naukowych zasadach opracowanych przez radziecki wymiar sprawiedliwości. Mały Kodeks Karny i Kodeks Postępowania Karnego w swych głównych założeniach opierały się na radzieckiej koncepcji prawnej.

Te same błędy, jakie miały i mają miejsce u nas, wypływają między innymi stąd, że dotychczas nie ma jednolitej procedury postępowania karnego, a te przepisy które istnieją można w dowolny sposób interpretować.

Jako kadra śledcza, w większości już pracownicy z wyższym wykształceniem prawniczym, czujemy się winni za to wszystko co się stało, ale jeśli się nie zmieni przepisów postępowania karnego, nie opracuje się nowych założeń śledczych, zgodnie z współczesnymi zdobyczami techniki operacyjnej, psychologii kryminalnej i doświadczenia naukowego — to nie ma żadnej gwarancji, że błędy, wypaczenia, a nawet łamanie praworządności, nie powtórzą się w przyszłości.

Towarzysze mówili tu, że pracownicy naszego departamentu przejawiają małą dozę krytycyzmu. To już nie jest samokrytyka pro-forma. Każdy oficer śledczy nie wie, czy jutro nie stanie pod pręgierzem i czy nie wytoczy mu się procesu o łamanie praworządności.

Proszę, by tow. Minister przyspieszył powołanie Komisji Partyjno-Rządowej dla zweryfikowania oficerów śledczych i spraw, jakie prowadzili. Nie można zostawić tych ludzi w stanie niepewności.

*Minister gen. Stanisław Radkiewicz*:

Jest już trzecia nad ranem. Do głosu jest jeszcze zapisanych 10-ciu towarzyszy, między innymi: gen. Mietkowski, płk Sobczak, ppłk Matejewski, płk Leśniewski, ppłk Filipiak, płk Czaplicki, płk Sienkiewicz.



Proponuję, by zakończyć obecną naradę, a towarzysze, których przed chwilą wymieniłem, przekazali swoje wystąpienia na piśmie nowemu kierownictwu.

Nie podejmuję się dzisiaj podsumować dyskusji z naszej konferencji. Przekracza to moje możliwości. Z wielu wystąpieniami całkowicie się zgadzam, do wielu mam zastrzeżenia i uważam, że nie można się z nimi zgodzić.

Pierwsze moje zastrzeżenie dotyczy krytyki werbunku agentury w określonych rejonach Kraju i w określonych środowiskach. Sprawa ta była niejednokrotnie przedmiotem obrad Biura Politycznego, i wszyscy wówczas doszliśmy do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak dalej kontynuować tę formę walki z wrogiem, bo zaniechanie tej formy mogłoby doprowadzić do ponownych wypadków strajkowych, jakie miały miejsce w 1950 roku na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Być może, że teraz trzeba te sprawy zrewidować.

Druga sprawa — to kwestia odpowiedzialności prawnej niektórych naszych doradców za ten stan rzeczy, jaki miał miejsce w Departamencie Śledczym i X-tym.

Doradcy radzieccy podlegają bezpośredniej jurysdykcji ZSRR i nie mamy żadnych podstaw prawnych, by w stosunku do nich prowadzić jakiekolwiek dochodzenia — zresztą zostali odwołani.

W trakcie dzisiejszej narady wiele przeżyłem i wiele spraw sobie uświadomiłem.

Postanowiłem nieodwołalnie, natychmiast po zakończeniu naszej narady, zgłosić rezygnację Premierowi PRL, a po linii partyjnej do Biura Politycznego naszej Partii. Decyzja moja jest ostateczna i nieodwołalna.

Jeśli chodzi o pozostałych członków kolegium Ministerstwa, to decyzję pozostawiam im samym i kierownictwu naszej Partii.

Wam wszystkim składam podziękowanie za dotychczasową współpracę i odchodząc stąd jestem przekonany, że pomimo naszych błędów i wypaczeń wypełniliśmy te wszystkie zadania, jakie postawiła przed nami Partia w najcięższym okresie dla Kraju i klasy robotniczej. Dyskusja nasza pokazała, że towarzysze w ostatnich latach wyrośli na samodzielnych pracowników operacyjnych, jak i też na działaczy politycznych, których wychowała walka i nasza Partia.

Nie zalecam, by przenosić w dół sprawozdanie z naszej narady. Proszę również nie zakomunikować departamentom o mojej decyzji zrezygnowania z kierownictwa Ministerstwem, aż w tej sprawie będzie ogłoszony komunikat rządowy.

Na tym naradę zamykam i wszystkim jeszcze raz dziękuję za dotychczasową współpracę.

## UWAGI DO KOMENTARZA

Nieprawdą jest, że niektóre teczki personalne agentów czy informatorów zostały spreparowane. Stara władza nie miała w tym zakresie żadnych potrzeb; jedynie sposób oformienia teczek poszczególnych „agentów" i informatorów miał różny charakter:

a) były teczki personalne „agentów" bez zobowiązań i własnoręcznego podpisu. Był to werbunek „kapturowy" oparty na dowolnych spotkaniach i notatkach służbowych z przeprowadzonych rozmów. Wystarczyło, że kandydat zgodził się na spotkanie towarzyskie z przedstawicielem wywiadu lub kontrwywiadu — a już został uznany za „agenta kapturowego" i zarejestrowany w kartotece. Do takich zaliczyłbym obecnego Prezydenta RP Lecha Wałęsę, który się systematycznie spotykał z gen. Kiszczakiem i b. Prezydentem Jaruzelskim, o czym ten ostatni wspomina w swej książce: „Stan wojenny — dlaczego...";

b) „agenci" werbowani do jednorazowych akcji, którzy wprawdzie podpisali zobowiązania, ale nie utrzymywano z nimi kontaktów służbowych. Były to tzw. werbunki dla sterroryzowania społeczeństwa w pewnych regionach Kraju i w pewnych okresach. Była to akcja zgodna z uchwałą Biura Politycznego. Ten rodzaj agentury pozostawił w kartotekach setki tysięcy rzekomych „agentów", ludzi, którzy ze strachu podpisali podsunięte im zobowiązania. Patrz ustęp z przemówienia gen. Radkiewicza odnośnie krytyki tych form werbunków;

c) „agenci" werbowani na zasadach patriotycznych, bez zobowiązań, zgodnie z polityką inspirowaną przez PZPR w sojuszniczych partiach politycznych, w organizacjach związkowych i w służbie dyplomatycznej (gdzie Partia nie miała jeszcze swoich kadr). Te werbunki miały być silniejsze od ideologii partii (patrz przemówienie płk Bristiger);

d) setki tysięcy teczek „biernych" kandydatów na „agentów" rejestrowanych w kartotekach. Do werbunków nigdy nie doszło z różnych przyczyn. Włączone do teczek dokumenty mogą u niefachowców wywołać wrażenie, że figurant tej „teczki" był agentem.

Przeglądający materiały w/wym. rodzajów teczek mogą być przekonani, że są to teczki klasycznych „agentów". Tak jednak nie jest. Autorzy i wykonawcy uchwały „lustracyjnej" wyrządzili ogromną krzywdę milionom niewinnych ludzi, którzy stali się ofiarami systemu narzuconego z zewnątrz, często nie wiedząc, że figurują jako „agenci" w kartotekach MSW. Jeśli przyjmie się, że do roku 1960 było zwerbowanych i zarejestrowanych 6 milionów (!) osób (z tego duża część była w różnych okresach eliminowana, ale nazwiska ich pozostały w rejestrze) — to z prostego rachunku wynika, że 24 miliony ludzi w Polsce (licząc przeciętnie 4 osoby na rodzinę) było dotkniętych tą zarazą. Na wspomnianej naradzie większość zabierających głos domagała się zniszczenia teczek tego rodzaju „agentów" i wykreślenia ich z rejestru. Jak się obecnie okazało — zalecenia te nie zostały wykonane.



Teczki prawdziwych agentów, pracujących aktywnie, były zawsze pilnie strzeżone i instrukcja przewidywała, że należy je zniszczyć w wypadku niebezpieczeństwa dekonspiracji tj. przy zmianie władzy, na wypadek wojny, ewakuacji itp. Według wszelkiego prawdopodobieństwa te teczki zostały zniszczone.

•

Należałoby zaznaczyć, że agentura, która miała być ostoją PRL, stała się w środowisku, z którego się wywodziła, najbardziej opozycyjna w stosunku do władzy. Wypływano to z samej formy werbunku, który był aktem poniżającym, narzucony ludziom wbrew ich woli, na zasadzie zastraszenia.

A oto rezultaty: podczas strajku górników w Zagłębiu Dąbrowskim w 1950 r. tego typu „agenci" zostali wybrani do komitetów strajkowych i prowadzili nieugiętą walkę aż do zwycięstwa. W czasie wydarzeń poznańskich setki „agentów" zostało aresztowanych za aktywny udział w rozbrajaniu milicjantów, strażników więziennych i w szturmie na Woj. Urząd Bezpieczeństwa. To samo dotyczy późniejszych wypadków gdańskich, szczecińskich i in. Niemalże we wszystkich akcjach protestacyjnych brali udział „agenci".

Z tego wniosek, że do lustracji teczek należy podchodzić bardzo ostrożnie, aby nie wyrządzić krzywdy nie wielu, ale milionom niewinnych ludzi.

# W oczach Wschodu

*W drugiej połowie lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych czasami spoglądaliśmy na Wschód, pytając; co też tam dzieje się naprawdę, czy ktoś od wewnątrz podkopie imperium, kim są ci sowieccy dysydenci? Wiedzieliśmy o tych nielicznych, których wyrzucono na Zachód, i prawie nic o wielu, wielu innych, odsiadujących solidne wyroki w łagrach, przymusowo leczonych w „psychuszkach".*

*Tymczasem przez szpary w żelaznej kurtynie, oddzielającej Polskę od Związku Sowieckiego, tamtejsi dysydenci starali się łowić najdrobniejsze okruchy informacji o tym, co się u nas dzieje. Tak, tak — był to czas, gdy byliśmy dla nich przykładem solidarnego oporu, wytrwałości, trwania przy zasadach demokracji. Temat polski pojawiał się w ich podziemnych czasopismach, na seminariach. Rozrzucali ulotki przeciwko stanowi wojennemu. Szli za to do łagrów. W 1981 roku trzy osoby dostały sześcioletnie wyroki za wysłanie telegramu do Wałęsy, a znany dysydent Anatolij Marczenko (zabity w 1986 roku w więzieniu) ostatni swój wyrok otrzymał za to, że napisał artykuł: „Czy sowieckie czołgi wejdą do Polski?"*

*Poszukiwaniem tych polskich tropów w historii ruchu dysydenckiego w Rosji zajęła się Tatiana Kosinowa z Petersburskiego „Memoriału". Tekst ten powstał na podstawie zebranych przez nią relacji oraz rozmowy Sofii Czujkinej z Walentinem Pogorilym.*

*Wiaczesław Dolinin*

Jeśli w ogóle mówić o Polsce, o tym jaką rolę odegrała polska myśl, polska kultura, polski ruch demokratyczny, jaki miały wpływ na mnie i na innych, to trzeba się cofnąć do czasów sprzed „Solidarności".



*Władimir Mienszykow*

Początki moich kontaktów z Polską były w sferze spraw damsko-męskich. Jedna dziewczyna, koło której swego czasu się kręciłem, odnowiła za mną znajomość, kiedy wróciłem do Moskwy po roku pracy w amurskiej wiosce. Miała już jednak nowego kawalera — polskiego studenta. Znając dość dobrze moje poglądy, pewnego razu zaprosiła mnie na spotkanie z redaktorem naczelnym lewicowego pisma młodzieżowego *Po prostu* — Eligiuszem Lasotą. Spotkanie odbyło się w jej pokoju w uniwersyteckim *obszczeżitiu*. Z Lasotą było dwóch młodych ludzi, ja też pozbierałem chłopaków, z kółek, które wtedy prowadziłem*. Opowiadałem im o naszej grupie, co ich oczywiście bardzo interesowało — podziemna grupa w twierdzy komunizmu! Dużo opowiadali o sobie.

Potem, wiosną 1957 roku, Lew Krasnopiewcew jeździł do Polski, do Lasoty. Umówili się na wymianę literatury. Kanał do tych kontaktów obsługiwała cały czas moja przyjaciółka Lija i jej mąż Polak — Skalski.

*Nikołaj Obuszenkow*

Ze słyszenia wiem o kontaktach, które miał z Polakami jeden z członków naszej grupy — Wadim Kozowoj. Przede wszystkim kontaktował się z polskimi studentami poprzez *obszczeżitie*. Jeszcze przed naszym spotkaniem, które nastąpiło wiosną 1956 roku, zupełnie swobodnie czytał po polsku, zachwycał się polskimi czasopismami, polską literaturą. Przede wszystkim interesował się Woroszylskim, najbardziej radykalnym działaczem inteligenckim. O ile Lasota — z którym utrzymywali kontakty Krasnopiewcew i Mienszykow — był, tak jak oni, absolwentem Centralnej Szkoły Komsomolskiej w Wiszniakach, to Woroszylski wydawał się zwolennikiem bardziej radykalnego kierunku krytyki literackiej i myśli społecznej, zwolennikiem pełnej prywatyzacji i powrotu na zachodnią drogę rozwoju.

*Wiaczesław Dolinin*

Jako mały chłopiec obejrzałem film, który mną wstrząsnął. To był „Kanał" Wajdy. Miałem wtedy dziesięć lat. Co jest w stanie zrozumieć mały chłopak? Może nie zrozumiałem, ale odczułem — że widzę prawdę. Wyrośliśmy w czasach, kiedy bez przer-

* Zarówno Władimir Mienszykow jak i Nikołaj Obuszenkow należeli do konspiracyjnej grupy lewicowej „Krasnopiewców" (od nazwiska jej założyciela — Lwa Krasnopiewcewa). Grupa ta działała w okresie sowieckiej odwilży, później większość jej członków aresztowano.

wy szły filmy o wojnie, czytaliśmy książki o wojnie. A wszystko stronnicze, same stereotypy.

W życiu ludzi nieco ode mnie starszych ogromną rolę odegrała polska prasa — znacznie bardziej wolna od sowieckiej. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych wielu Rosjan uczyło się polskiego, żeby czytać polskie gazety i czasopisma.

Był też miesięcznik *Polska* (wydawany i w wersji rosyjskiej), który od razu, na pierwszy rzut oka różnił się od *Sowietskowo Sojuza*. Na początku lat sześćdziesiątych zaczęła się u nas kampania przeciw modernizmowi. A właśnie *Polska* zamieszczała reprodukcje tych malarzy, którzy byli zakazani.

Polskich aktorów znaliśmy lepiej niż naszych, sowieckich. Dla mnie i moich kolegów straszną tragedią była śmierć Zbigniewa Cybulskiego. Zorganizowaliśmy stypę po nim. To był bliski nam człowiek, bardzo go kochaliśmy.

Kształtowałem się w latach sześćdziesiątych. Właśnie wtedy weszło na ekrany wiele świetnych polskich filmów, na przykład „Popiół i diament" (nakręcony w 1957, u nas był wyświetlany dopiero w 1963). Oglądałem go kilka razy. Zrobił na mnie ogromne wrażenie i pomógł przemyśleć pewne sprawy, zmienić poglądy. Miałem wtedy siedemnaście lat. Do tego czasu byłem zdeklarowanym marksistą, czytałem Lenina, wierzyłem oficjalnej propagandzie, na przekór faktom. Aż wreszcie fakty zwyciężyły, fakty pokonały marksizm. Sztuka pomogła mi przejrzeć, znaleźć wolność wewnętrzną... Na przykład film nie mający bezpośredniego związku z polityką — „Rękopis znaleziony w Saragossie" Wojciecha Hassa. Było w nim tyle wewnętrznej wolności, taki wzlot myśli, fantazji...

*Roscisław Jewdokimow*

Można powiedzieć, że mam w sobie jedną czwartą polskiej krwi, ale to... to już liryka... Nie, nie jedną czwartą; nawet więcej. Moja rodzona babcia ze strony ojca była Flemming-Makowiecka. Gdzieś tam przyplątali się Billewicze... Polskie zdania i wyrażenia towarzyszyły mi od wczesnego dzieciństwa. Polskość gdzieś w podświadomości, w charakterze. To pewnie trzeba by określić jako „polską prawdę" albo „honor". Nie, nie *spies'* (duma). *Spies* to po rosyjsku. A ja czuję w sobie coś takiego...

*Wiaczesław Dolinin*

Świetnie pamiętam rok 1968. Opublikowano przemówienie Gomułki. Czytaliśmy je uważnie, dla nas było bardzo ciekawe. Pojawiały się w nim nazwiska polskich intelektualistów. Cieszyło nas, że polscy studenci, że polska inteligencja wystąpiła w obronie Żydów. W Polsce, gdzie tak silne są tradycje antysemickie.



Podstawowym źródłem naszych informacji o Polsce było oczywiście radio: „Swoboda", „Niemiecka Fala", BBC. Ostre zagłuszanie zaczęło się w 1973 roku, wcześniej było całkiem nieźle słychać. W latach siedemdziesiątych docierały do nas pojedyncze numery paryskiej *Kultury*. Ja zacząłem ją czytać w 1976 roku. Zaskoczyło mnie, jak wiele uwagi poświęca pismo problematyce sowieckiej. Widać było, że polskiej emigracji i polskiej opozycji w kraju zależy na demokratyzacji w ZSSR. Tam drukowano nawet nasze dowcipy — przyjemnie było poczytać.

*Aleksander Ogorodnikow*

W tym czasie, gdy wchodziliśmy na długą i trudną drogę do prawdy, od rosyjskiej historii oddzielała nas przepaść — epoka sowiecka. Trzeba było wszystko przemyśleć, zrozumieć: kim jesteśmy?, skąd przychodzimy?, dlaczego tak się stało? To nas skłaniało do zajęcia się żywą historią. Szukaliśmy odpowiedzi na pytanie: czym jest totalitaryzm i skąd się wziął?

Obrazowo mówiąc — byliśmy jak archeolodzy, którzy w sowieckim bluffie, ideologii, propagandzie odnajdywali okruchy prawdy, aby z nich odtworzyć negatywną historię tego kraju, zwłaszcza najnowszą, żywą historię, która rzuciła długi cień na nasze czasy.

W 1974 roku założyliśmy konspiracyjne seminarium. To był żywy ruch chrześcijański, charyzmatyczny. Ponieważ Cerkiew była zniewolona, podobna do młodzieńca, któremu zakneblowano usta, a ręce i nogi spętano, więc zmuszeni byliśmy powołać ten ruch.

W miarę jak pracowaliśmy, coraz więcej i więcej ludzi wpadało w naszą orbitę, zbliżało się do nas. Atmosfera naszego seminarium była bardzo braterska, to były agapy, coś w rodzaju wieczorów miłości. Ludzie, którzy trafiali na to seminarium, nawet prosto z ulicy (początkowo byliśmy dość otwarci), gromadzili się jak gdyby wokół ogniska, rozpalonego wśród chłodnej, martwej totalitarnej nocy, żeby ogrzać serce, duszę w atmosferze braterskiej wspólnoty. W czasie, gdy za oknami krzepła władza sowiecka i Breżniew z ogromnych plakatów wszystkim nam groził palcem, u nas rodziła się dzika tęsknota, owinięta w czerwony całun..., a na socjalistycznym niebie zamiast słońca płynęła czerwona trumna. Taką mieliśmy wizję socjalizmu. Dzika architektura tego okresu...

Tak zaczynał się mój artykuł „Kultura katakumb", pierwszy z cyklu studiów nad „doświadczeniem pokolenia", ale napisałem tylko dwa szkice i zostałem aresztowany...

Wracając do seminarium — w Leningradzie w naszej orbicie znalazł się pewien student. Nazywał się Walerij Kowalenko. Pochodził spod Smoleńska i coś słyszał o egzekucji w lesie ka-

tyńskim. Krążyły tam jakieś ciche, stłumione słuchy. On poruszył tę sprawę na seminarium.

To było w roku 1975. Z myślą o szczegółowym opracowaniu dla nas tego tematu jeździł dwa razy do Katynia. Wiedzieliśmy, jak KGB broni swoich tajemnic. Razem z jednym z naszych jeździli w te miejsca, żeby ostrożnie pogadać z miejscowymi, wypytać, zebrać materiał. Taktyka była taka: przyjeżdżali jako letnicy. Potem rozmowa o życiu, tak w ogóle. Pytać tak, żeby nie spłoszyć. Udało im się zebrać jakieś informacje. Była już mowa o napisaniu jakiegoś artykułu dla naszego pisma *Obszczina*.

Tu trzeba wyjaśnić, jak wówczas działaliśmy. Zapisywaliśmy kartkę i ukrywaliśmy ją. Tym bardziej, że w tym czasie KGB miało nas na oku. Ciągłe rewizje, zatrzymania, konfiskaty. Nie mieliśmy już gdzie chować naszych materiałów. Spodziewając się aresztowania ludzie starali się mieć wszystko w głowie albo pisać po kawałku i ukrywać.

Dlatego spisanych wyników poszukiwań Kowalenki nie widziałem, ale pamiętam, że mówił o nich na seminarium. Szczegółów niestety nie pomnę. Niebawem mnie aresztowali. Zaraz potem i jego. W jakimś momencie złamali go... Później zniknął nam z pola widzenia. Nie wiem, gdzie jest teraz...

Tak się złożyło, że w więzieniu mogłem sam kontynuować nasze badania katyńskie. W czasie jednego z moich pierwszych etapów spotkałem się z wieloletnim więźniem Władimiroskogo Centrała. Opowiedział mi (co później potwierdzili inni), że w jednym z zakątków tego więzienia znajduje się cela, w której jeszcze w latach siedemdziesiątych siedziało dwoje ludzi. Mają tam być aż do śmierci i wiedzą o tym. To leśniczy z lasu katyńskiego i jego żona. On był przypadkowym świadkiem mordu. Wszyscy tacy świadkowie zostali zlikwidowani, jego nie rozstrzelano w porę, a gdy aresztowano, był już inny czas, zabić było jakoś niezręcznie.

Trafiłem też na jeszcze jeden ślad. Nikt o tym nie wie... Nie jestem pewien czy mówić o tym... To też dotyczy Katynia. Opowiadał mi pewien niemiecki policjant, z którym siedziałem... Opowiadał o pewnej akcji NKWD, która miała odwrócić uwagę od Katynia. O pewnej masowej zbrodni...

Nazywał się Cios, Rosjanin z Północnego Kaukazu, imienia zapomniałem. Trafił do niewoli niemieckiej, potem służył w policji w jakimś małym miasteczku na Białorusi. W 1943 roku był świadkiem następującego zdarzenia. Pewnego dnia na jego posterunek przybiega roztrzęsiona kobieta i krzyczy: „Coście narobili?! Dlaczegoście rozstrzelali ludzi?!..." Niemcy zdziwili się, bo nie przeprowadzali żadnej akcji w tym rejonie. Szybko wysłali tam grupę operacyjną i złapali siedmiu enkawudzistów,



którzy nie zdążyli nawet zdjąć niemieckich mundurów. Potem ich osądzono i powieszono. Prawie miesiąc wisieli na placu targowym z informacją o przestępstwie, o tym co zrobili. A co zrobili? Wszyscy znają to miejsce — wieś Chatyń. Trzeba pamiętać, że na Zachodzie Chatyń i Katyń to brzmi i pisze się podobnie. Tak więc w tej niczym specjalnie nie odznaczającej się wiosce pewnego dnia pojawił się oddział żołnierzy w czarnych gestapowskich mundurach. Zabili wszystkich, spalili. Ta kobieta ocalała przypadkiem, bo była gdzieś w lesie, zbierała jagody.

Więc specjalnie wybrano Chatyń, żeby potem postawić tam pomnik i kiedy jakiś dociekliwy przyjezdny zażyczy sobie zobaczyć Katyń, zawieść go tam, a nie na miejsce egzekucji polskich oficerów.

Wiadomo, że istniały specjalne oddziały NKWD albo innych służb, wyznaczone do takich zadań. Na przykład słynna Zoja Kosmodemianska była w takim oddziale, który aby sprowokować reakcje ludności przeciw Niemcom, sam przeprowadzał działania przeciw mieszkańcom na terytoriach okupowanych. Zoja podpalała wiejskie chałupy, złapali ją sami chłopi i odstawili do niemieckiej komendantury. Na Białorusi ludzie świetnie pamiętają te czasy i jak najgorszy koszmar wspominają partyzantów, jak przekleństwo. Byli gorsi od okupantów. Jeśli zakładali miny, to tuż koło wioski, żeby sprowokować represje. Niemcy wjeżdżali na te miny, a potem pacyfikacja.

*Walentin Pogoriłyj*

W 1976 roku usłyszałem, że w Polsce są strajki. Uczyłem się wtedy w szkole muzycznej w Żytomierzu. Stąd do polskiej granicy miałem około pięciuset kilometrów, całkiem blisko. Język już trochę znałem. Było takie polskie pismo *Panorama*, bardzo trudne do zdobycia, ale jakoś mi się udawało. W porównaniu z naszą prasą... Po prostu czytałeś i lżej było oddychać.

Radiostacje „Swoboda" i „Głos Ameryki" były praktycznie niesłyszalne. Tylko szum. Czasami w środku nocy, o trzeciej, czwartej można było coś złapać. Ale, co dziwne, Wolna Europa po polsku nadawała bez zakłóceń.

W tym czasie kształtował się mój pogląd na świat. To znaczy trzeba było stwierdzić, że ktoś jeden nie ma racji. Ktoś kłamie, ktoś mówi prawdę. Kiedy z Wolnej Europy usłyszałem, że u nas w kraju są jacyś więźniowie polityczni, to był dla mnie pierwszy etap wchodzenia w kolizję z systemem — ta świadomość różnicy między tym co widzisz tu, a tym co słyszysz stamtąd. I poszedłem za tym głosem. Bo pomyślałem sobie: jeśli to kłamstwo, to dlaczego zagłuszają?

Wśród kolegów nieraz o tym wszystkim mówiliśmy. Większość z nich zgadzała się ze mną. Panowało jednak przekonanie, że jesteśmy bezsilni, w szponach potwora. Niczego nie możemy zmienić. Trzeba czekać. A mnie się nie chciało czekać. Zdecydowałem się działać na własną rękę.

To było jesienią 1978 roku, akurat skończyłem 18 lat. Krótko, jakieś dwa, trzy tygodnie dojrzewała we mnie ta idea: że informacje powinno się zdobywać z pierwszej ręki, że trzeba się spotkać z tymi Polakami, którzy walczą z komunizmem, żeby mnie pouczyli co mam robić, że trzeba nawiązać kontakty. Jak to zrobić? Tylko nielegalnie. Zdecydowałem, że potrafię. Czemu by nie? A że zrobiłem to po dyletancku, to inna sprawa. No, ale udało się.

Zbierałem się — duchowo, bo bez rzeczy, bez niczego, tak jak stałem. Wziąłem ze sobą tylko flaszkę herbaty i flaszkę mocnego samogonu, by po przejściu granicy polać ślady, żeby pies nie wytropił.

Pojechałem do Lwowa, potem do pasa przygranicznego, cały czas orientując się na Przemyśl. Przyszedłem do Krakowca. To wieś. Pół kilometra i już granica. Pospacerowałem sobie, zjadłem obiad w stołówce, a potem ukryłem się w lasku. Tam do granicy jak sięgnąć ręką. Spokojnie doczekałem wieczora. Kiedy zobaczyłem, że pogranicznicy idą w drugą stronę, nie spiesząc się podniosłem drut kolczasty i przelazłem. Coś tam na sobie porwałem, ale zupełnie nie czułem zdenerwowania.

Potem przez jakieś błota, potem drogą — piętnaście kilometrów i doszedłem do jakiejś polskiej wsi. Chciało mi się pić. Trafiłem na warsztat samochodowy. Widzę, stoi pijany facet i gada ze stróżem. Odezwałem się do nich po polsku. Wzięli mnie do siebie, dali wody. Facet gdzieś się ulotnił, a ja sobie rozmawiałem ze stróżem. Po dwudziestu minutach przyjechali polscy wopiści.

Zawieźli do Przemyśla, tam potrzymali i oddali na sowiecką stronę. Tu chcieli mi dać trzy lata, ale jakoś się obeszło. Szkoła za mnie poręczyła.

Potem wyjechałem na Daleki Wschód. We Władywostoku jest uniwersytet języków wschodnich, chciałem... Ale właśnie wzięli mnie do wojska, trzeba było dwa lata odsłużyć w Chabarowsku pod czujnym okiem służb specjalnych.

A później było co było. Organizacja i wyrok. A planów miałem tak wiele... Jednym słowem — tak kształtowali się niektórzy dysydenci.

*Władimir Poresz*

Wydarzeniami politycznymi w Polsce do czasu mego aresztowania nie interesowałem się, po prostu nic nie wiedziałem. Zacząłem zwracać na nie uwagę dopiero gdy już byłem w zonie.



Wcześniej w ogóle nie czytałem gazet. Czasami na przystanku czekając na autobus, widzę — wisi gazeta, próbuję poczytać — nic nie rozumiem, o co chodzi? Telewizji też nie oglądałem, nawet radia nie słuchałem. No dorywczo „Swobodę" i „Głos Ameryki". I czasu nie było i nieciekawe — cała ta polityka.

O „Solidarności" dowiedziałem się w łagrze, z *Izwiestii*. Nawet dokładnie nie wiedząc co to takiego, zrozumiałem, że przyjęło już takie rozmiary iż Sowieci nie mogą tego nie zauważyć, muszą się z tym liczyć. Odnosiłem wrażenie, że to początek końca. W Polsce, a być może nie tylko w Polsce.

*Arkadij Curkow*

W 1980 roku siedziałem w łagrze w Permie, w politycznej zonie nr 37. Najpierw myśleliśmy, że to, co się dzieje w Polsce, to tylko oddzielne akty protestu — wiedzieliśmy tylko o strajkach.

*Aleksander Skobow*

Kiedy zaczęła się polska rewolucja 1980 roku, siedziałem w „psychuszce" (skazali mnie w 1978 z 70 paragrafu — antysowiecka propaganda i agitacja). Z początku mogłem ocenić wydarzenia w Polsce tylko na podstawie kłamliwych doniesień naszych gazet. Na dodatek czytałem je przez pryzmat moich ówczesnych marksistowskich poglądów. Myślałem, że to ta długo oczekiwana rewolucja ludowa, która powinna znieść klasę rządzącą — klasę partyjno-państwowej biurokracji i zaprowadzić prawdziwy socjalizm, w którym będzie wspólna własność środków produkcji.

Dla mnie osobiście (i myślę, że nie tylko dla mnie) polska rewolucja 1980 roku miała wielkie znaczenie. Tak jak dla poprzednich pokoleń rewolucja na Węgrzech, dla dysydentów-obrońców praw człowieka — Czechosłowacja 1968 roku. Wszyscy mieliśmy w podświadomości, że ten system jest niezniszczalny, a walka beznadziejna. Więc każdy taki wyłom miał wielkie znaczenie. To było coś bliskiego, prawdziwego, żywego.

*Arkadij Curkow*

Dopiero gdzieś w lutym 1981 Jurij Orłow, z którym siedziałem w jednej celi, powiedział, że w Polsce rewolucja. Później w zonie niektórzy mówili: „Polacy zbyt się spieszą", a ja odpowiedziałem: „rewolucja nie czeka, bierze co chce". Tak też twierdzili i Gleb Jakunin i Anatolij Koriagin.

*Aleksander Skobow*

Latem 1981 roku, po wyjściu z psychuszki, zbliżyłem się do grupy Lwa Wołochonskiego, jednego z założycieli i czołowych działaczy SMOT (*Swobodnoje Mieżprofiesjonalnoje Objedinienije Trudiaszczichsia*). Według mnie SMOT był w tym czasie dość ciekawym zjawiskiem społecznym. Oto na marginesie ruchu dysydenckiego pojawiła się grupa ludzi stawiających na protest społeczny, ludzi nie ustawionych w życiu, społecznie mobilnych, trochę awanturniczych i dość agresywnie nastawionych do systemu. Klasyczny nonkonformistyczny *underground*, *outsider'*zy bez wykształcenia, pracujący w nie swoich zawodach — lumpenproletariacka inteligencja. Oni stanowili drugą ekipę SMOT-u.

Początki zaś tego ruchu były takie: pod koniec lat siedemdziesiątych w Moskwie istniał krąg wywodzących się z ludu (przeważnie spośród robotników) *żałobszczyków*, którzy doświadczyli na sobie typowych sowieckich porządków i niesprawiedliwości, konfliktów w fabrykach, z władzami lokalnymi, z administracją i przyjeżdżali do stolicy szukać prawdy. W 1978 roku połączył ich niejaki Klebanow — energiczny robotnik, mający zdaje się jakieś kontakty z dysydentami. Nazwał grupę Wolnym Związkiem Zawodowym, zwołał konferencję dla zachodnich dziennikarzy.

Po pierwszym szoku, jaki przeżyła władza, Klebanowa natychmiast aresztowano, związek rozpędzono (jednych wysiedlono z Moskwy, innych wsadzono do psychuszek, jeszcze innych kupiono) i zapanował spokój. Ale ktoś z ocalałych związał się z dysydentami, którzy zrozumieli, że związek zawodowy może być potrzebny do rozbicia systemu sowieckiego. I oni przeobrazili ten ruch w SMOT. Oni, to znaczy Władimir Borisow, Lew Wołochonskij, Nikołaj Nikitin, Władimir Gieruszin i inni.

W 1980 roku wśród działaczy SMOT pojawiły się wątpliwości: „Nie mamy środków, żeby rozwijać u nas ruch robotniczy, żeby go inicjować. Po co to? Czy tylko dla propagandy na Zachód, że oto są już zaczątki wolnych związków zawodowych?" Faktycznie SMOT w tym czasie niewiele różnił się od innych marginalnych grup opozycyjnych.

Ale wydarzenia w Polsce dodały mu skrzydeł, nadały sens jego istnieniu. Pomyśleliśmy, że jednak warto zachować ten szyld, ten znak, pod którym może kiedyś pójdą masy.

*Wiaczesław Dolinin*

W SMOT było najwyżej trzystu ludzi, w różnych grupach. Cóż to jest w porównaniu z dziesięciomilionową „Solidarnością"!



*Aleksander Skobow*

Dla potrzeb SMOT nagrywałem wtedy audycje rozgłośni zachodnich o Polsce, spisywałem, powielałem.

*Roscisław Jewdokimow*

SMOT miał kontakty z Polakami. Przed stanem wojennym dostawaliśmy od „Solidarności" lekarstwa, które, co ciekawe, szły przez ludzi związanych z polską ambasadą w Moskwie. Dostawaliśmy też polską prasę niezależną, robiliśmy z niej wyciągi do naszego *Biuletynu*.

*Aleksander Skobow*

Informacje o Polsce czerpano z radia zachodniego. Trudno jednak było je złapać, bo zagłuszali wtedy wyjątkowo zawzięcie. Drugie źródło to literatura. Chwała naszemu wydawnictwu emigracyjnemu „Posiew", które błyskawicznie w 1980 wypuściło zbiór materiałów o wydarzeniach w Polsce. I wreszcie — entuzjaści, którzy wykupywali polską prasę w sowieckich kioskach. Wtedy nawet najbardziej oficjalne gazety w Polsce publikowały masę materiałów, które z naszego punktu widzenia były dysydenckie. Entuzjaści robili przekłady najciekawszych fragmentów, najbardziej dla nas rewolucyjnych, przepisywali na maszynie i kolportowali.

*Władimir Sytinskij*

W latach 1981-82 mój przyjaciel Walerij Sulimow (mieszka w Rydze) razem z Irą Curkową przygotował kilka broszur „Polska sama o sobie", które przepisywaliśmy, kolportowaliśmy. Była tam ocena sytuacji w Polsce — na podstawie materiałów z polskiej prasy komunistycznej, były teksty porozumień: gdańskiego i szczecińskiego, wywiad z Wałęsą.

*Wiaczesław Dolinin*

Do aktu oskarżenia włączyli nam materiały o „Solidarności", które kolportowaliśmy. W tym apel do ludzi pracy Europy Wschodniej, wydrukowany w *Biuletynie Informacyjnym SMOT* (nr 19 z 1981).

Wydarzeniami w Polsce zajmowały się i inne pisma, na przykład *Summa* a także *Czasy* i *Priedłog*, związane z „Klubem 81" — grupą Borisa Iwanowa. To byli ludzie zajmujący się raczej kulturą niezależną niż polityką. Ich wielką zasługą było to, że publikowali sporo polskiej literatury oficjalnie zakazanej, na przykład Mrożka.

*Rostisław Jewdokimow*

Było sporo akcji poparcia dla Polaków. Różne ulotki podpisane przez SMOT i inne grupy, były jakieś zebrania, listy, oświadczenia pojedynczych ludzi i grup.

Były też napisy nabazgrane w bramach. I były rozmowy w różnych towarzystwach — aż do odzywek w piwiarniach i pogaduszek z taksówkarzami, którzy w większości byli nastawieni propolsko.

Pamiętam, że w w tym czasie dysydenci prowadzili badania nastrojów wśród robotników. Ich wyniki były zdecydowanie na korzyść „Solidarności". Około siedemdziesięciu procent ankietowanych w kulturalnych centrach, w dużych miastach popierało Polaków.

Tamte nastroje, tamtą rzeczywistość najlepiej ilustruje taki wierszyk. Podniesiono wtedy cenę wódki do 7 rubli 80 kopiejek:

*Wódkę znów nam podrożyli*
*My i tak będziemy pili!*
*Więc przekażcie Leninowi:*
*Nam i dycha nie stanowi.*
*A jak więcej zapłacimy,*
*To wam Polskę tu zrobimy.*

A antypolskiego folkloru z tych lat nie ma.

*Aleksander Skobow*

Pracowałem w tym czasie w Leningradzie, w fabryce ceramicznej. Tam wśród robotników wydarzenia w Polsce wywoływały raczej reakcje negatywne — rozdrażnienie, wściekłość. To była taka reakcja, jakiej życzyła sobie władza, reakcja szowinistyczno-imperialna: „Polacy to dranie, nie chcą żyć tak jak my, ale nie pozwolimy im żyć inaczej. Jak to tak... inaczej niż my?".

Myślę, że ich rozdrażnienie i nienawiść do Polaków brały się z jakiejś podświadomej zawiści i niedowartościowania. A tego nie da się pokonać słowami. Tu potrzebne są zmiany wewnętrzne. Wtedy zwątpiłem w sens aktywnej agitacji politycznej.

*Arkadij Curkow*

Na temat wydarzeń w Polsce napisałem w łagrze oświadczenie. 30 października 1981 był tradycyjny dzień więźnia politycznego. W związku z tym pisało się zwykle polityczne protesty do władz, w zonach urządzano głodówki i inne akcje. Akurat właśnie 18 października zdjęli Kanię i pierwszym sekretarzem



zrobili Jaruzelskiego, a 21 października „Solidarność" przeprowadziła jednodniowy strajk ostrzegawczy. 30 października 1981 w liście do prokuratora generalnego ZSSR napisałem: „W Polsce PZPR ma wciąż nowe problemy, a 'Solidarność" odnosi sukces za sukcesem. Klęska PZPR jest nieunikniona. Was czeka to samo. Oczywiście, możecie zdławić rewolucję w Polsce przy pomocy siły zbrojnej, ale wcześniej czy później takie same zjawiska opanują i Rosję. I jeśli w Polsce dwie trzecie robotników — dziesięć milionów — możecie pokonać bagnetami, to na dwie trzecie robotników w Związku, to znaczy na siedemdziesiąt milionów, nie starczy wam bagnetów. Czy zresztą na wszystkie wasze bagnety będziecie mogli liczyć?"

*Rostisław Jewdokimow*

Przed stanem wojennym dotarła do nas informacja o planowanych operacjach wojsk sowieckich stacjonujących w Polsce na wypadek, gdyby wydarzenia potoczyły się nie po myśli komunistów. O ile wiem, udało się nam uprzedzić o tym Polaków.

*Wiaczesław Dolinin*

W łagrze spotkałem się z Aleksandrem Iwanowem. Siedział za zdradę ojczyzny (paragraf 64). Mówił mi, że dostał dziesięć lat za to, że przekazał opozycji informacje o ruchu sowieckich wojsk w kierunku polskiej granicy.

*Arkadij Curkow*

13 grudnia dowiedzieliśmy się o wprowadzeniu stanu wojennego. Początkowo w głowie kołatała się nadzieja, że skoro do Polski nie wkroczyły wojska sowieckie, to ta dziesięciomilionowa „Solidarność" po prostu pokona komunistów i wszystko wróci. Ale nie... I wtedy stało się jasne, że jeśli stan wojenny zwyciężył w ciągu jednego dnia, to już zwyciężył. Długo chodziłem zgnębiony. Anatolij Szczaranski uspokajał mnie: „To nic, to nie pierwsza nasza klęska...". Bardzo nas to wszystkich zasmuciło.

*Wiaczesław Dolinin*

Gdy w Polsce wprowadzono stan wojenny, SMOT wydał specjalne oświadczenie. Napisaliśmy je wspólnie z Jewdokimowem. Mieliśmy wtedy nadzieję, że „Solidarność" jest na tyle silna, że może przeciwstawić się akcji zbrojnej, przeprowadzić kampanię obywatelskiego nieposłuszeństwa. Niestety to się wtedy nie udało. Przecenialiśmy możliwości „Solidarności".

*Władimir Poresz*

W grudniu 1981 baliśmy się. Baliśmy się, że Związek Sowiecki zrobi z Polską to samo co zrobił z Czechosłowacją w 68. I byliśmy radzi, że do tego nie doszło. A potem „Solidarność" przeżywała ponowny wzlot, któremu kibicowaliśmy — my więźniowie 35 zony w Permie.

*Aleksander Skobow*

Dla mnie bardzo ważne było to, że idee „Solidarności" współbrzmiały z główną ideą SMOT: że przez samoorganizację można obalić reżim. Dlatego tak bliski był nam sformułowany przez Zbigniewa Bujaka program, który dotarł do nas latem 1982 roku — ten pomysł, że Polska powinna zejść do podziemia i w ten sposób reżim zostanie osamotniony. Nie będzie kim rządzić. W Polsce było to teoretycznie możliwe, jak wszystkie akcje masowe, bo i ruch był masowy. Ale i tam w praktyce...

Wiosną 1982 roku zwolniłem się z fabryki i z ludźmi Wołochonskiego wyjechałem na wieś do nowogrodzkiej *obłasti* rąbać drzewo. To była próba realizacji naszego marzenia, żeby razem, w grupie ludzi podobnie myślących, oddzielić się w miarę możliwości od obcego i wrogiego środowiska, jak najmniej mieć do czynienia z sowieckimi strukturami państwowymi. Rąbaliśmy drzewo i redagowaliśmy *Biuletyn Informacyjny SMOT*. Ale i tam nas dopadli.

W grudniu 1982 aresztowali Lwa. Wcześniej umówiliśmy się, że jak kogoś wezmą, to pozostali jakoś na to zareagują.

Zrobiłem więc w Leningradzie akcję pisania na murach. Hasła były proste: „Uwolnić więźniów politycznych!", „Uwolnić Wołochonskiego!" i „«Solidarność»" żyje!" To ostatnie było wtedy bardzo ważne, bo pisali u nas, że w Polsce nie ma już żadnego podziemia. „Nie ma? Zobaczycie — nie tylko w Polsce, ale i u nas jest".

Wszystkie hasła podpisane były SMOT. Myślałem tak: „Jak ktoś nie wie, co to takiego, niech się zastanowi. Jest jakaś podziemna organizacja, jakiś SMOT". A tego właśnie, że ludzie się dowiedzą, że istnieje podziemie w ZSSR, najbardziej bała się bezpieka.

Malowaliśmy we dwoje z jedną dziewczyną, w kilkunastu miejscach niebieską farbą w sprayu. To było w nocy z 12 na 13 grudnia 1982 roku. Potem zatarłem ślady: zniszczyłem zaplamione ubranie, starłem krople farby z okularów. Ale i tak po tygodniu mnie aresztowali.



*Wiaczesław Dolinin*

W całej Europie Wschodniej zaczęło się przykręcanie śruby. Po rozbicu „Solidarności" nastąpiło rozbicie SMOT i całego ruchu demokratycznego — i grup helsińskich i ruchu narodowo-demokratycznego.

Po naszym aresztowaniu kagiebiści wciąż nam powtarzali w śledztwie: „Nie pozwolimy wam założyć „«Solidarności»!". Lwa Wołochonskiego złośliwie nazywali „Lechem Wałęsą". Na serio bali się, że pojawi się masowy ruch związkowy i nasi robotnicy skorzystają z doświadczeń „Solidarności".

●

*Obawy były słuszne, choć do wielkich strajków doszło kilka lat później, w 1990 roku. Stanęła większość kopalni w zagłębiu workuckim. Tamtejsi górnicy założyli wtedy swój niezależny związek zawodowy „Solidarność". Był to ostatni mocny akord. „Polski mit" — jak nazywają to zjawisko sami Rosjanie — dziś już przygasł. Pozostała życzliwość, sympatia, ale ludzie budujący w Rosji demokrację mówią: „Próbujemy uczyć się na polskich błędach".*

Materiał zebrała: *Tatiana KOSINOWA*
Wybór i przekład: Piotr Mitzner

*Arkadij Curkow* (ur. 1958). Po raz pierwszy aresztowany w 1978, skazany na pięć lat łagru i dwa lata zesłania za wydawanie podziemnego pisma marksistowskiego *Perspektiwa*. Dwa lata spędził w więzieniu w Czystopolu i dwa w łagrze dla kryminalistów. Uwolniony w 1987. Pracuje jako matematyk.

*Wiaczesław Dolinin* (ur. 1946). Ekonomista. Wydawca i kolporter leningradzkiego samizdatu. Aresztowany w 1981 za wydawanie *Biuletynu Informacyjnego SMOT*.

*Rościsław Jewdokimow*. Historyk. Współpracownik Dolinina, działacz niezależnego ruchu związkowego.

*Władimir Mienszykow* (ur. 1930). Historyk. Aresztowany w 1957 roku w sprawie Krasnopiewcewa.

*Nikołaj Obuszenkow* (ur. 1930). Historyk, dziennikarz, uczestnik ruchu „krasnopiewców".

*Aleksander Ogorodnikow* (ur. 1950). W 1971 usunięty za poglądy z wydziału filozoficznego uniwersytetu w Swierdłowsku. W 1974 zorganizował konspiracyjne Seminarium Problemów Duchowego Odrodzenia Rosji i Niezależny Ruch Chrześcijański. W latach 1974-78 wydawał w samizdacie pismo *Obszczina*. Aresztowany w 1978, odbywał kilka kolejnych wyroków w najcięższych łagrach ZSSR. Uwolniony w 1985. Od 1989 jest przewodniczącym Rosyjskiego Związku Chrześcijańsko-Demokratycznego i wydawcą gazety *Wiestnik Christianskoj Demokratii*.

*Walentin Pogoriłyj* (ur. 1959). Ukończył szkołę muzyczną w Żytomierzu. W latach 1980-82 służył w wojsku. Jesienią 1983 w Leningradzie założył antysowiecką organizację. Aresztowany w maju 1984. Uwolniony z łagru w 1987. Wraz z Jewdokimowem współzałożyciel leningradzkiego oddziału Międzynarodowej Organizacji Praw Człowieka.

*Władimir Poresz.* Filolog. Wraz z Ogorodnikowem założył pismo *Obszczina.* Aresztowany w 1980, wyrok — sześć i pół roku łagrów. Obecnie przewodniczący stowarzyszenia „Okrytoje Christianstwo".

*Aleksander Skobow* (ur. 1957). Aresztowny w 1978 wraz z Curkowem za wydawanie pisma *Perspektiwa*, skazany na przymusowe leczenie psychiatryczne. Ponownie aresztowany w grudniu 1982 za wydawanie *Biuletynu Informacyjnego SMOT* i propagowanie idei „Solidarności". Po raz drugi umieszczony w „psychuszce". Uwolniony w 1987. Obecnie nauczyciel historii.

*Władimir Sytinskij* (ur. 1958). Biolog, przywódca leningradzkiego SMOTu. 1984-87 w „psychuszce".

**BIBLIOTEKA «KULTURY»**

**TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI**

**ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI**

**Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.**

**Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.**

**Str. 335** **Cena F. 100,00**

# Strach

Jak się przyzwyczaić do czegoś tak ludzkiego, jak strach? Wyobrażamy go sobie zazwyczaj w jakiejś ograniczonej dozie, z którą w końcu człowiek daje sobie radę. Ale jeżeli doza przekracza zwykłą miarę i zmienia się w panikę?

Toronto. Dużo się tu rozmawia o sprawach w Polsce. Jest tu spore środowisko, znacznie ciekawsze niż w portowym Montrealu, który właśnie obchodził 350-lecie. Pytam o nowiny Krzysztofa Zarzeckiego, tłumacza Dos Passosa. Był tu niedawno Adam Michnik i w Towarzystwie Polsko-Żydowskim wygłosił odczyt. Potem Zarzeccy rozmawiali z nim przy herbacie. Odczyt był bardzo ciekawy, jak przystało na Michnika. Ale czy nikt z sali go nie spytał, co znaczy ta jego komitywa z Urbanem? — Nie, nikomu nie starczyło odwagi. Więc nikt go nie zagadnął o to wsiadanie do samochodu Urbana, co uchwycił telewizyjny reporter i co wstrząsnęło wszystkimi zwolennikami utalentowanego pisarza, wspaniałego jąkały, który swoją książkę pt. „Dzieje honoru w Polsce" zakończył kiedyś propozycją pod adresem reżimowców: „Całujcie mnie wszyscy w dupę!"

W połowie marca pisał do mnie mój korespondencyjny przyjaciel, iranista z Louvain, mieszkający w Brukseli Wojciech Skalmowski (w *Kulturze* — M. Broński): „Z pewną satysfakcją czytałem SMECZA o tym, jak to — w rocznicę stanu wojennego — odbyła się przyjacielska dyskusja historiozoficzna pomiędzy pp. Urbanem a Michnikiem, po czym obaj panowie udali się na imieniny do jakiegoś eks-dygnitarza PZPR-u, obecnie przywódcy post-komunistów (zarówno nazwa tej partii jak i nazwisko owego działacza uleciały mi z głowy i nie boleję nad tym). O ile sobie przypominam, dawno już zamieściłem w moim liście do Pana kilka refleksji na temat mego stosunku do 'demokratycznej lewicy', które zapewne Panu wydały się prze-

sadne, stronnicze, pełne uprzedzeń i może wręcz faszystowskie (bo i z tym terminem już się kiedyś zetknąłem pod adresem ludzi myślących podobnie do mnie). Nie będę powtarzał". Każdy list prof. Skalmowskiego jest dla mnie przyjemnością. Rysuje się między nami jakaś szansa częściowego odtworzenia epistolografii literackiej, czego bardzo bym sobie życzył. Czy jednak w tych czasach, które wskutek ingerencji elektroniki zapewne odmieniły rodzaj świadomości i to nie tylko świadomości owych kilkudziesięciu tysięcy na górze, wpłynęła ona po prostu na poziom, a jeżeli nie na poziom, to na treść umysłowości rodzaju ludzkiego (o czym rodzaj przeważnie nic nie wie), otóż czy w tych elektronicznych warunkach da się jeszcze znaleźć taką szparę, w której byłoby miejsce na całkowicie staroświecką poufałość literacką *à la* Erazm z Rotterdamu, przesyłaną sobie w listach? Nie jest to pewne.

„Demokratyczna lewica" w Polsce, co Skalmowski ujął w cudzysłów, jest w jakimś sensie problemem, nie tylko dla mego korespondenta. Ale już zupełnie nie mogę pojąć Michnika, pakującego się do wozu Urbana. To nie lewica, to brak taktu. Michnik jest postacią publiczną i jako taki winien czuć odpowiedzialność za swoje odruchy. Jego *Gazetę* czytają miliony i są tam pierwszorzędne pióra, jak Teresa Bogucka, jak Ernest Skalski, jak Osęka, jak niedawno zmarły nieodżałowany Kuśmierek — jak sam Michnik! — więc jej naczelny powinien uważać na te swoje rzekomo lewicowe poglądy. Kiedyś wyrozumiale potraktował książkę Rakowskiego, a nazajutrz Rakowski pojechał do Moskwy szukać wiadomych sprzymierzeńców. Mówi się teraz, że to dzięki Michnikowi wyznania Jaruzelskiego ukazały się najpierw w Paryżu. To gotów jestem pojąć. W naszym interesie leży, aby autorzy stanu wojennego gęsto się wytłumaczyli. Jeżeli tłumaczą się źle, to są tam na Zachodzie ludzie, którzy ich przycisną do ściany. W publicznej debacie telewizyjnej Nowak-Jeziorański (czy może był to Brzeziński?) nie umiał wydobyć od dawnego sekretarza stanu USA, co właściwie wiedzieli Amerykanie o przygotowaniach do stanu wojennego w grudniu 1981 i dlaczego nie uprzedzili „Solidarności". Po rewelacjach Jaruzelskiego zapewne ktoś te dzieje znowu weźmie na warsztat. Ale ręki Urbana na miejscu Michnika nie ściskałbym, bo ona śmierdzi.

Wojciech Skalmowski dotknął problemu tzw. „demokratycznej lewicy". Czy coś takiego w ogóle istnieje? Czy chodzi mu o ludzi, którzy w młodości wyznawali marksizm, ale ten rodem z ZMP — nie, jak mój kolega z Poznania, Jan Józef Lipski, który też się uważał za socjalistę (myślę, że to był ostatni, który poloneza wodził), ale tego z ducha *Robotnika*, składanego kiedyś w Wilnie przez Wojciechowskiego i Piłsudskiego? Produktami ZMP są, zdaje się, Modzelewski i Kuroń, jeden z najuczciwszych ludzi w kraju, z uniwersyteckiego ZMP wywodził się doskonały intelektualista, Leszek Kołakowski. Czy można do tego samego worka pakować Kuronia, Kołakowskiego i Michnika, kota chodzącego swoimi drogami? Nie wierzę, aby ktokolwiek z wymienionych wyżej ludzi miał zamiar jeszcze raz zawrócić do marksizmu. Marksizm to pomysł z innych czasów. To *bywszaja filozofia*, nie na dziś. Aleksander Hertz w „Wyznaniach starego człowieka" twierdzi, że sam Marks nigdy nie uważał się za marksistę i chyba ten paradoks da się zrozumieć.



Strach czuję z innych powodów. W Polsce jest teraz niepojmowalny zamęt (coś jak w mafijnych Włoszech, choć to inaczej wygląda); jak w czarciej kadzi. Utrąca się rządy, które ledwie zaczęły rządzić. Nie ustanawia się konstytucji, za to podejmuje do absurdu posunięte akcje weryfikowania tzw. byłych agentów SB. W końcu wszyscy się nimi okazują, czekam aż zostanie wymieniony papież. Na premierów lansuje się anonimowe figury, bo nikogo innego nie zaakceptowałby parlament powołany z idiotycznego wyboru. Znowu widać tu rozmaitych Tymińskich obmacujących *Polskę*, jakby byli w burdelu. Brzuchomówca prezydent nie przestaje sam z sobą się sprzeczać. Ojciec Bocheński, filozof godny zaufania przypomina, że patriotyzmu Wałęsy nie można kwestionować: zgoda, ale czy nie mógłby tego patriotyzmu na innym miejscu używać? Do koryta tzw. władzy ustawia się kolejka, jak dawniej po śledzie, które sprytne przekupki zawijały w niechodliwe gazety, np. w moskiewską *Prawdę*. Dawne czasy. W post-komunistycznej Polsce znowu prawdy nie widać. Rozpacz, strach. Panie Wojciechu, może byśmy kiedyś roztrząsnęli istotne zagadnienie: co to jest polityka? Czy przyzwoity i myślący człowiek może się tego w ogóle imać? Albo — co znaczy żądza władzy, jak to się je, jaka jest tego eksplikacja obyczajowa, nie mówiąc o filozoficznej?

Prawdę rzekłszy, bardzo mnie te sprawy obchodzą. Gdyby się doszło do jakichś niegłupich wniosków łatwiej byłoby zasypiać i przyjemniej rano wstawać. Politycy muszą być, w porządku. Tak jak musi być ktoś przy sterze tramwaju i ktoś inny do sprzątania śmieci. Jednak ich kwalifikacje nie mogą być takie same, jak motorniczego czy specjalisty od sprzątania śmietników. Czy to ulega dyskusji? Może jednak objęcie stanowisk w polityce powinno być poprzedzone jakąś gruntowną selekcją, czego nasza ordynacja wyborcza idealizując zasady demokracji bynajmniej nie przewidziała? Zaryzykujmy twierdzenie, a nawet postulat: ludzie kandydujący do zawodu polityka

muszą się poddać poważnej selekcji i wykazać nie minimum, tylko maksimum walorów umysłowych oraz dobrym wychowaniem. Można tę zasadę odwrócić, w rezultacie czego na tych stanowiskach wylądują osobnicy o fizjonomiach łajdaków i w dodatku przygłupów, co w warunkach naszej niedorosłej demokracji jest co najmniej przesadą. Bryluje we Francji taki wesoły pisarz, San Antonio, używający nieprawdopodobnego *argot*, coś analogicznego do mowy Wiecha, tylko dowcipniejszego. Trudno to czytać, a już zupełnie trudno przetłumaczyć. Ten San Antonio, to w gruncie rzeczy błyszcząca inteligencja. Oto jeden z jego aforyzmów. — *L'homme d'autorité doit conserver une parfaite facilité d'élocution, sinon il vire pelure. Depuis Jésus, le pouvoir s'acquiert par le verbe. Un locdu sachant causer a plus d'impact qu'un génie qui se tait.* — I jeszcze: — *Les idées politiques, ce sont celles qu'adoptent les gens qui n'ont pas d'idées à eux.* — Wreszcie uwaga, którą San Antonio mógłby zadedykować włoskim czy polskim autorom miejscowych ordynacji wyborczych: — *La liberté ne peut s'accomplir que dans l'individualisme. Se grouper pour être libre est déjà un début de cessation de liberté.* Doprawdy, nie można się zgodzić, aby polityka stała się u nas synonimem zwykłego świństwa. Był człowiek, który by może to wytłumaczył, ale właśnie umarł. Jak oni się wynoszą, jak oni się wynoszą! Trzeba się śpieszyć.

Rok temu, wieczorem w wigilię Bożego Narodzenia, w tej z reguły źle oświetlonej Warszawie, na odcinku między Koszykową a Piękną (przy witrynach Paxu) spotykam zatopionego w myślach Kisiela. Gdy Kisiel występuje publicznie, nigdy nie wydaje się zamyślony. Jest zawsze na bakier uśmiechnięty, jakby z góry znał pytania i odpowiedzi. Ale przecież nie ma człowieka, który nigdy nie jest zadumany, i właśnie złapałem na tym Kisiela. Mały człowieczek z pełną siatką w ręku, trochę skulony i zmarszczony. Ten najciekawszy w Polsce publicysta, o pamięci jak worek bez dna, samochodem nie rozjeżdżał. Dreptał do domu na piechotę. Chwyciłem go za rękaw: — Florczak! — krzyknąłem w hałasie stolicy. (Kiedyś Karol Zbyszewski pisywał do wileńskiego *Słowa* stały felieton pt. „W wirze stolicy": teraz ten wir nie był w najlepszym gatunku, wszędzie nieuprzątnięty śnieg i pijaczkowie czepiający się z ufnością pokrytych liszajami ścian). Ocknąwszy się z zadumy Kisiel, od razu zasłonił się błazeństwem: — Zdaje się, żeśmy się kiedyś znali?

A jakże. Chociaż, gdy w 1985, po rozszyfrowaniu przed Giedroyciem nazwiska Pelikana, pytałem go listownie, komu to można w Warszawie powierzyć, odpisał: — Byle nie Kisielowi! Ten gaduła wszystko rozpaple!

Powiedziałem: — Chciałbym tylko pana ucałować. Dziś wigilia Bożego Narodzenia. Prawdę mówiąc, ja pana kocham za wszystko, co pan robi.



Wykrzywił swoją małpią twarz jeszcze gorzej niż przedtem. No i ucałowaliśmy się z dubeltówki. — Chciałem jeszcze zapytać, co pan o tym wszystkim sądzi?

— Niby o czym?

— O tym, co się u nas dzieje.

Udał niezmiernie zdumionego: — Jak to, co sądzę? A co można o tym wszystkim sądzić? Że jest, jak na żydowskim weselu? To, co się dzieje, jest okropne. A będzie jeszcze okropniej.

Pomyślałem sobie, że ludzie przekroczywszy swą smugę cienia mają tendencję do spoglądania sobie pod nogi i tylko pod nogi. Nigdy nie lubiłem pisarstwa Andrzejewskiego, ale jego powiedzenie o zadufkach jest niezastąpione. Czyżbym był chorobliwym zadufkiem? Rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę. Mam pewną teorię chaosu, którego nigdy w żadnej społecznej czy prywatnej sytuacji nie da się uniknąć. Każde ludzkie dzieło jest skazane na czyściec chaosu. Z całym swoim wrzaskiem i furią, z całym swoim nierozplataniem musi się to wokół i w nas samych przewalić, to darmo. A potem następuje cisza i umiarkowana senność. Kosztuje to masę cierpień i masę ludzkiej energii, lecą głowy, ale taka jest cena, w końcu rzeczy dokonują małego kroku ku swoim celom. Zakładam, że zawsze mamy do czynienia z takim czy innym oporem zazdrosnej materii i że nie ma na to innej rady, jak przysłowiowa święta cierpliwość.

Jednak po tym spotkaniu poczułem strach. Kisiel nie był w ciemię bity. Gdy kilka miesięcy potem umarł, jego kpiące słowa nabrały jeszcze większego ciężaru i już mi nie dają spokoju. Cóż z tego, że rzeczy w końcu się ułożą: ale kiedy? W przyszłym stuleciu?

Tymczasem granda polityków wyłonionych z najgorszej jaka jest na świecie ordynacji wyborczej może ten wątły organizm postkomunistycznej Polski rozszarpać na strzępy. Nigdy dotąd poważnie się nie zastanawiałem, co to namiętność władzy, uważając po prostu, że to nie jest materia do rozmyślań na serio. Ale zdaje się, że to coś w ogóle nie do zanalizowania — zanim się tego samemu nie skosztuje. Albo — co to jest namiętność rozgłosu? VETO, MOPANKU!... U Brücknera termin „warcholstwo" został wywiedziony z jakichś prapolskich korzeni semantycznych. To jest rodzime. Współczynnik warcholstwa, przyprawiony teraz nałogami wyniesionymi z kuchni bolszewickiej (a więc odzwyczajenie Polaka od odpowiedzialności, od roboty, a więc podświadome przeświadczenie, że ci na górze wszystko za niego załatwią, źle załatwią, ale jednak załatwią w jakimś minimalnym stopniu) otóż ten staropolsko-bolszewicki

koktajl może nam teraz wszystko rozwalić jak pociski zwane w czasie wojny koktajlami Mołotowa. Trzeba jak najszybciej wygrzebać się z miłego zresztą letargu, w jaki nas przed laty wpakowała „Solidarność". Była ona na początku fenomenem tak niebywałym, że uwierzyliśmy w jego trwałość. Robotnicy wraz z inteligencją jak taran wypchnęli z areny bolszewicki nonsens i bałagan, razem z ich przeniewierstwem. Polska wydała się uskrzydlona jak żadne społeczeństwo na świecie. Od tego dostaliśmy zawrotu głowy. Byliśmy pewni, że takiego uskrzydlania żaden rodzaj zła i typowej dla człowieka małości nie zdoła ściągnąć do ziemi. Że mamy jakiś monopol na uskrzydlanie. Była to inna odmiana starego polskiego mesjanizmu, tak jak dzisiejsze ujadanie u koryta jest współczesną odmianą nieśmiertelnego warcholstwa.

Nie jestem koneserem polityki, zwłaszcza tej ożenionej, jak to Hannah Arendt nazywała, z banalnością zła. Kisiel znał się na tym sto razy lepiej. Stąd jego szatańska maska na twarzy. Od wielu lat skłonny byłem wierzyć, że jedynym celem człowieka jest kultura, a nie polityka, i wciąż w to wierzę. Przeglądałem niedawno artykuły Pelikana, o których nie przestaję sądzić, że mnie one w dalszym ciągu w jakiś magnetyczny sposób zobowiązują. Szukałem tam na próżno pewnych dobrze, jak mi się wydawało, zapamiętanych słów, pewnego aksjomatu o człowieku z książką w ręku — będących niczym innym, jak apologią człowieka zanurzonego w myślach. W moim mniemaniu, przy którym się upieram, jest to najlepszy, najdojrzalszy gatunek *homo sapiens*, choć wielu jest innego zdania. Na próżno tych wyrazów szukałem, a streszczenie jakiejś refleksji w słowach odmiennych to już nie to samo, miał rację Ludwig Wittgenstein, gdy pisał że „język mój jest granicami mego świata". Zmieniając jego słowa, w najlepszej choćby intencji tzw. zachowania ich sensu, mimowoli gwałcimy te nieprzekraczalne granice własnego świata, postępujemy oszukańczo. Za to w starym grypsie Pelikana, pt. „Summa vigilantium", chyba z początków lat 1970-tych, znalazłem na pociechę (zawsze znajdzie się jakaś pociecha, którą trzeba się zadowolić) rodzaj wyznania wiary i tego się już nie zaprę, choć było to tak dawno sformułowane (jednak człowiek nie tak bardzo się zmienia wskutek wieku, jak się na ogół sądzi). Deklaracja wiary brzmiała: — Nie ma w urządzeniu życia celu ważniejszego, niż kultura, tym reflektorem pomagam sobie w najtrudniejszych przejściach i tego reflektoru nie wypuszczę z dłoni, zdaje mi się, nigdy, choć w miarę starzenia się nie można ręczyć za chwytność stawów i sprawność kroku". Pelikan (czyli ja sam) okazał się wcale dobrym przewidywaczem, bo od opublikowania owej „Summa vigilantium" minęło już dwadzieścia parę lat. Ale, gdybym to jeszcze raz formułował, to jednak ten nieznośnie patetyczny reflektor (może pasujący do tamtego kontekstu) zmieniłbym na mniejsze i bardziej prywatne słowo latarnia, a nawet latarenka. Jesteśmy tacy przygarbieni, w ciemnościach — jak wtedy mędrzec Kisiel, którego z wylaniem i szczerze ucałowałem — gdzie nam do dźwigania aż reflektorów, latarenka całkowicie wystarczy. I niech świeci.



To co się dzieje w Polsce jest bez żadnej przenośni straszne, w dobrej proporcji do innych nie mniej przerażających rzeczy na całym świecie, ale dla nas, dla mnie najważniejsze. Odbył się właśnie szczyt planetarny obradujący w Rio de Janeiro, którego uczestnicy mieli w hotelach pokoje po 250 dolarów za dobę, z dala na pewno od ruder biedoty, tzw. *favelas*, której tam jest dwa miliony; równocześnie USA nie chcą dawać pieniędzy na żadne istotne reformy w kwestii zatrucia atmosfery, bo to szkodzi ich przemysłowi, czyli skraca dopływ forsy i także równocześnie (aby w jednym fleszu ująć całe te niewyrażalne kontrasty między różnymi szczytami z wielkim gadaniem a prawdziwą naturą interesów świata) w takim Somali miliony istot ludzkich, dokładnie takich samych jak my, z duszą w środku, umierają z głodu w spalonym powietrzu. Commandant Cousteau, którego też tu do Rio zaproszono, od paru lat członek Francuskiej Akademii, bez wątpienia człowiek wielkiej inteligencji (kiedyś miał pyszną rozmowę o malarstwie z naszym matuzalemem Józefem Czapskim), Commandant Cousteau krzyczał przed kamerami telewizji, sam to widziałem: — Mówiłem im, żeby tego szczytu nie robić w chwili, gdy Stany są zajęte tylko swoimi wyborami i gdzieś tam mają ekologię wraz z milionami zdychających w Somali! Ale naturalnie mnie nie posłuchano i guzik z tego wszystkiego, jak się należało spodziewać, mamy!

Plus laurka dla ludzkości w postaci rozmaitych spisanych uchwał, na które ani w jednej dziesiątej nie ma pieniędzy. Pielęgnują, jak powiedziałem, swoją niesprawdzoną przez nikogo teorię o dramatycznym i w końcu pozornym chaosie każdego ludzkiego przedsięwzięcia, co już wyżej wyłożyłem. Więc zgodnie z tą niesprawdzoną teorią szczyt w Rio nie był taki głupi, choć na razie (w międzyczasie wszyscy pomrzemy) guzik z tego wyniknie. Dwadzieścia lat temu, jeśli zajrzeć do roczników gazet, był taki sam (trochę mniejszy) szczyt ekologiczny w Sztokholmie, w wyniku którego ułożono rezolucję taką samą jak w Rio, nad Zatoką de Guanabara. Jednak, mimo wszystko, przynajmniej wedle mojej teorii, to jest może zaczątek wygrzebywania się z bezdennej głupoty i z mgły, wyłażenia z morza zbrodni, co w końcu kiedyś jakieś skutki przyniesie. Tylko na razie, jak powiadam, jest straszno.

Świat jest szyderczym kabaretem, któremu zabrakło genialnych wodzirejów, jakich miewał kabaret w Jamie Michalikowej, w postaci młodego Schillera i Boya. Ustanowiono w Rio nową instytucję tzw. Zielony Krzyż, który ma być sumieniem rozwiązań ekologicznych, w międzynarodowej skali. No i kogo wybrano na przewodniczącego tego Zielonego Krzyża? Gorbaczowa. Gorbi, maskotka Zachodu, któremu Niemcy nigdy nie zapomną, że im za darmo zwrócił prawie połowę narodu z odpowiednim terytorium (któżby się dziwił Niemcom?), prawy bolszewik, któremu mimo najlepszych chęci nie udało się zreparować bolszewii (wskutek czego się rozleciała), polityk, którego w jego własnej ojczyźnie najchętniej by zlinczowano, został teraz prezesem Zielonego Krzyża od spraw ocalenia globu. Przeczytajmy *à propos* Gorbiego książkę Władimira Bukowskiego pod tytułem „Anatomia złudzenia" (Laffont) i inną jeszcze książkę, zjadliwego matematyka Aleksandra Zinowiewa, pod wymownym tytułem „Katastrojka".

Widzę swój kraj w kontekście planety, nie chcę go widzieć inaczej, byłoby to niezmiernie głupie, bo krótkowzroczne i jakieś z gruntu nieuczciwe. To, co obchodzi ludzkość, w odpowiedniej proporcji obchodzi Polskę. Jest w tym logika, bez której ani rusz. Jednak polityczna makabreska w Polsce, bez śladów sumienia i śladów godności, bez najmniejszych znamion inteligencji, napawa mnie obłędnym strachem. Spłoną lasy, nim zakwitną róże. W związku z tym, mimo niewzruszonej logiki sprzężenia losów Polski z losami całego świata, do której jestem mocno i na serio przywiązany, muszę się, mimo tego logicznego zobowiązania, przyznać, że jak najbliższa memu sercu pozostaje ta mała nieregularna plamka krwi na mapie globu, Polska. To jest *clou* mojej miłości. I jej los dławi mnie teraz za gardło, wszystko inne jest takie nieprawdziwe, nieważkie i takie cholernie irytujące w stosunku do tej małej plamki krwi w środku globu, którą oprychy z aktówkami w ręku i frazesami w gębie chcą teraz zamienić w synonim klęski.

ZNOWU WSPOMNIENIE: jeszcze jeden mały przedostatni najazd kamerą na plan naszej rozterki, beznadziejnych o istocie polityki rozważań. Był Kisiel, który mógł mnie wtedy pouczyć co to jest polityka, bo my dwaj ze Skalmowskim tego nie rozwikłamy, obaj jesteśmy ludźmi z książkami w ręku, był Kisiel, ale wtedy w ciemnościach ulicy Mokotowskiej podreptał do domu a rychło potem umarł i niczego się nie dowiedziałem. Ale był jeszcze jeden wspaniały starzec, od którego miałem wielką szansę (niewykorzystaną) choć w przybliżeniu tę dręczącą zawiłość rozgryźć.

W 1941 roku, trzecim roku wojny, postanowiłem z zajętego



akurat przez Niemców Wilna przeszmuglować się do Generalnej Guberni, do warszawskiej konspiracji naturalnie, wedle automatycznie w tym kraju, bezapelacyjnie w tym społeczeństwie pojmowanego obowiązku żołnierskiego. Zdzich Szyłeyko został w zawiązującym się dopiero AK wileńskim, ale ja się pchałem nie wiadomo dlaczego (czy było lepsze?) do AK warszawskiego. O czym dowiedziawszy się moja ciotka z Łoźnik, Jadzia Markiewiczowa, rodzona siostra żony prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, poprosiła o zawiezienie Wojciechowskim, którzy mieszkali w Pruszkowie, słoika z wileńskim miodem. Pojęcia nie mam, jak mi się udało ten słoik dowieźć przez zielone granice. Udałem się po dwuch dniach do Pruszkowa. Zastałem oboje starych ludzi zaszokowanych wiadomością o nieszczęściu. Właśnie umarł w Oświęcimiu ich jedyny syn, prawnik. Starałem się zachować jak najdyskretniej. Wojciechowska siedziała przy stole trzęsąc się od szlochu. Jej mąż, bardzo wysoki i chudy, długonogi, chodził dookoła dziwnie stawiając stopy i czasem przeźroczystymi palcami dotykał pleców płaczącej, bez słowa. Przyniósł jej jakąś ciepłą narzutkę, w pokoju było zimno jak w psiarni, szło na późną jesień. Wysoki pan z białą kozią bródką u dołu uschniętej twarzy. Przypominał mi bociana na błotach ostrożnie stawiającego nogi i wypatrującego żab. Mam tę scenę w oczach. Mógłbym zrobić plan małego pokoju ze wszystkimi sprzętami. Narysować ostry profil drugiego prezydenta Rzplitej, od dawna na emeryturze, której nie pobierał zapisawszy ją swojemu ukochanemu Towarzystwu Spółdzielczemu. Byłem instynktownym piłsudczykiem, ale wobec tego czystego jak kryształ człowieka odczuwałem cześć bez granic. Wreszcie odważyłem się poruszyć kwestię nas wszystkich najbardziej obchodzącą.

— Panie prezydencie, spytałem, ile jeszcze może potrwać wojna?

Spojrzał na mnie, dotknął koziej bródki, coś skalkulował i odrzekł: — Ta wojna potrwa jeszcze cztery albo i pięć lat.

A ja — co sobie pomyślałem z mizernej wysokości moich niecałych dwudziestu lat, zgodnie z bezbrzeżnym zadufkowstwem młodości? Pomyślałem sobie: — To jednak bardzo stary człowiek, wszystko mu się rozcieńcza w umyśle. Pięć lat! Z naszym AK, z naszą armią na Zachodzie, z przemysłowym potencjałem aliantów! Brednie starego człowieka. Pokrywszy rozczarowanie grzecznym skinieniem głowy, tak właśnie sobie pomyślałem. Może wtedy Wojciechowski, jeżeli mi wolno wrócić do sedna artykułu, mógłby mi coś wytłumaczyć z sekretów i moralnych zapaści zawodu polityka, ale — myślę teraz — że może i on nie byłby w stanie wyjaśnić, jako człowiek zbyt prostolinijny. Do polityki nie trzeba żadnej inteligencji, do polityki, wszystko na to wskazuje, potrzeba tylko małości i chytrości.

Mimo wszystko zachowam w sobie inne pojęcie polityki, platońskie, jako o wysokiej umiejętności rządzenia ludźmi, z rozwiniętą wyobraźnią, bez krętactwa. Nie boję się posądzenia mnie o naiwność, intelektualiści są alergicznie czuli na tego rodzaju zarzut, ale ja się tego nie boję. Źle jest na świecie, któremu symbolicznie przewodniczy Gorbi, ale będzie jeszcze gorzej, jeżeli wszyscy doszczętnie zapomną o pierwotnym sensie terminu polityka.

16 grudnia 1989 Wacław Havel, gdy był jeszcze tylko (?!!) dramatopisarzem, na spotkaniu ze studentami w Pradze powiedział: „Polityka była sztuką w zakresie tego, co możliwe, stała się jednak teraz sztuką niemożliwości". — Co się sprawdziło, gdy wkrótce został prezydentem. Czy mu teraz nie tęskno do poprzednich zajęć? Można by eksperyment Havla jeszcze inaczej i bardziej interesująco wytłumaczyć. Może Havel, do którego czuję głęboką sympatię i szacunek, miał na myśli inny rodzaj niemożliwości — niemożliwość uczynienia z polityki sztuki lojalnej, w granicach etyki. Zdaje się, że nie zamierza już powtórnie kandydować na prezydenta i to jest rozwiązanie jego eksperymentu.

POLSKIE TAKIE COŚ. To już ostatni najazd na plan, króciutki. Piękna, niesłychanie słoneczna jesień 1987, kręciłem się po Maisons-Laffitte długo szukając wejścia do wiadomego Domu przy 91 avenue de Poissy, gdzie dawno, bardzo dawno nie byłem, więc zapomniałem jak się tam dostać. Spytałem o to mijającą panią zadziwiająco wąską u góry, za to rozłożystą w dolnej części i na spuchniętych, wydaje się, nogach. Przypatrzyła się ulicy: — *N'est-ce pas le truc polonais, ce 91 avenue de Poissy?* — spytała. Skinąłem głową. Bardzo mi się podobało, że ta Francuzka dom Instytutu Literackiego, do którego jestem bezapelacyjnie i na zawsze przywiązany, z którym się utożsamiam, nazywa *le truc polonais*. To jest śmieszne, wzruszające i zupełnie nieprzetłumaczalne. W samej istocie rzeczy. W tym jednym Domu uprawia się politykę, która nie napawa lękiem.

*Zbigniew FLORCZAK (PELIKAN)*

# *Wiersze*

Jarosław KAJDAŃSKI

* * *

skąd wzięłaś się wyspo
że ptak lotem znużony
choćby skrzydła mu mdlały

nigdy nie odpocznie
na twym piachu białym
nie znajdzie wytchnienia
i musi spaść w morze

jakby ciebie nie było
skąd wzięłaś się wyspo

1986

*Jarosław KAJDAŃSKI*

Anna KAPLER

## OBRAZ

Czarny płaszcz
Czarny płaszcz włosów
I biel dekoltu zimna
W bezmiernej przestrzeni złocistej przędzy
Z końca do końca

Biały płatek dłoni
Bezbronny omdlały
Ze śmiercią w zmowie
Już tam i tu jeszcze
Ostatnim dreszczem

Ślad spojrzenia gasnący
Czy w złotą topiel ciszy ostatecznej
Czy w pokutne powroty

Błękitny ulotny błysk istnienia
Przekracza barierę materii
Wybucha
Materią ducha

W atelier Ewy Dawid
Paryż, jesień 1990

*Anna KAPLER*

Adam LIZAKOWSKI

## PREZES

Spotkałem prezesa
zupełnie nie podobnego
do człowieka
ale do prezesa
prezes dobry Polak
dobry patriota
dobry katolik
opowiadał mi o cierpiącej ojczyźnie
o zbiórce butów dla ubogich
Polaków
o wysyłce mleka w proszku
dla głodnych polskich dzieci
o milionach dolarów wysłanych
dla Solidarności
o walce z komunizmem
o 40 latach pomocy dla kraju
przez duże K
nic nie mówił o kulturze polskiej w Ameryce
chociaż kultura też na k, jak komunizm i kraj
prezes



nie miał złotych pierścieni
na palcach
ale ja je widziałem
nie miał bransolety z ametystów
ale ja ją widziałem
nie miał złotej korony
na skroniach
ale ja ją widziałem
nie przyklękłem przed
prezesem
ale on widział mnie
na klęczkach
prezes
ja mały szary człowiek
jak ogon szarej myszki
przyszedłem do prezesa
z prośbą o dotację
na wiersze,
wyobraźcie sobie wiersze
i bosy Polacy
głodne dzieci polskie
walka o niepodległość ojczyzny,
usta prezesa mówiły
prawdę
prezes to naprawdę mądry
prezes
tyle zrobił przemądrych
rzeczy
szkoda tylko
że poezja nie ochrania stóp
nie nakarmi głodnych dzieciaków
nie obroni ojczyzny
taki miły i mądry prezes
znalazł dla mnie czas
aby to wszystko mi
opowiedzieć

Chicago
kwiecień 1992

*Adam LIZAKOWSKI*

Maciej NIEMIEC

## KALKA Z ROBERTA LOWELLA

*Jackowi Bierezinowi*

Nie pisze się już wierszy pokoleniowych.
Zresztą, to w końcu tych, którym samotność
zabiera zbyt wiele czasu, dosięga wiersz.
(A czym jest samotność, nie wiem,
choć wiele razy wiedziałem i znowu będę wiedział.
Może mieszkać w Paryżu i na wakacje zaprosić matkę,
starszą panią z Polski, która wszystko rozumie
lepiej, jak gdyby była krytykiem literackim.
Tego lata zapach lipy kwitnącej pod oknami
jest bardziej obcy i drażniący niż rok temu.
I czy to matki czynią nas poetami, nie wiem,
i czy na początku patrzeć w oczy pięknej kobiety
słuchając miłosnych albo gniewnych poleceń...
to nie może pozostać bez wpływu?)
Jacku, nie ma żadnej *tamtej strony*,
to tylko inni oglądają nas zmienionymi,
jeszcze do poznania.

*Maciej NIEMIEC*

# *Archiwum polityczne*

## W stronę przyszłego stulecia*

Punktem wyjścia skutecznego programu są realia gospodarki krajowej i światowej oraz ocena tendencji rozwojowych tej ostatniej na krótką i średnią metę. W świecie, poza Japonią i potencjalnie poza Niemcami, brak wolnych kapitałów, które umożliwiłyby dużą pomoc dla Polski. Oznacza to, że nie możemy liczyć na systematyczną akcję o charakterze planu Marshalla, z pewnością nie ze strony Stanów Zjednoczonych, czy Komisji Brukselskiej. Natomiast istnieje możliwość rozegrania sprzeczności międzynarodowego rynku finansowego, które stanowią odbicie konfrontacji politycznej i gospodarczych nierówności. W praktyce rozważać można dwie opcje: japońską i niemiecką. Japończycy muszą wprowadzić swe nadwyżki handlowe na rynek zewnętrzny, by złagodzić rewaluacyjne naciski na yena, a ponadto interesuje ich zdobycie przyczółka w Europie wschodniej zarówno dla dalszej ekspansji europejskiej, jak i otwarcia ku Rosji z europejskiego kierunku. Z kolei problemem Niemców jest szybkie zatrudnienie rzeszy bezrobotnych ze wschodniej części kraju w produkcji o trwałym zbycie, co pozwoliłoby zmniejszyć kolosalny strumień dotacji socjalnych. Sprzyjałoby temu rozwinięcie więzi gospodarczych Saksonii ze Śląskiem, czy Brandenburgii z Pomorzem i Wielkopolską. Dodatkowego impulsu rozwojowego dla Pomorza dostarcza jego położenie na styku Niemiec i posowieckich republik bałtyckich.

W dłuższej perspektywie cała zintegrowana gospodarka niemiecka potrzebować będzie nowych rynków. Wreszcie z politycznego punktu widzenia Niemcy zainteresowane są powstaniem bufora, który łagodziłby ewentualny szok imigracyjny ze Wschodu.

Istnieje więc możliwość inicjatyw inwestycyjnych i finanso-

* Fragment przygotowywanej książki pod tym samym tytułem.

wych ze strony obu gigantów rynku światowego, lecz wykorzystanie tego wymaga od Polski wielkiego wysiłku, a przy tym powściągliwości w oczekiwaniach. Chodzi w szczególności o świadomy wybór polityczny; otwarcie japońskie lub niemieckie stawia nas od razu w konflikcie tak ze Stanami, liczącymi na utrzymanie Polski we własnej sferze wpływów, jak i ze Wspólnotą Europejską, czujną zawsze, gdy chodzi o możliwość odwrócenia uwagi Niemiec z Zachodu na Wschód, czy o wzmocnienie obecności Japonii w Europie. Wybór wynika z przekonania, że ani USA, ani Wspólnota jako całość nie są zainteresowane większym wysiłkiem na rzecz rozwoju Polski; natomiast mogą okazać praktyczne zainteresowanie, gdy Polska rozwijać zacznie niewygodne im więzi, a zwłaszcza gdy wciągnie w to swych wschodnich lub południowych sąsiadów. Nawet wówczas jednak trudno liczyć na Europę jako całość, lecz raczej na tradycyjnie przychylną nam Francję, która wraz z Niemcami tworzyć będzie układ najbardziej zintegrowany w głęboko zróżnicowanym krajobrazie odległej jeszcze Wspólnoty.

Wymaga to zmiany priorytetów polityki zagranicznej. Nie chodzi więc o lojalność wobec Waszyngtonu, Brukseli, NATO czy MFW. Przedmiotem zabiegów stanie się dwustronny układ z Japonią lub Niemcami, którego treścią będzie pakt handlowy, wprowadzający cła preferencyjne i wieloletnie kontrakty na wymianę towarów oraz pożyczki dla osłony socjalnej i elastycznej polityki kredytowej. Polska ze swej strony gwarantuje ułatwienia inwestycyjne i handlowe zgodne z dalekosiężnym interesem politycznym partnera oraz przyjmuje sugestie rygoru gospodarczego i porządku prawnego sprzyjającego rozwojowi dwustronnych stosunków gospodarczych.

Z realiów wewnętrznych chyba najbardziej brzemienna w następstwa pod względem wyboru opcji programowej jest struktura polskiej gospodarki o silnej przewadze sektora państwowego. Stan taki powinien w zarysach utrzymać się przez wiele lat, ponieważ prywatyzacja kapitałowa na wielką skalę nie wchodzi w grę. Prywatyzacja oparta na powszechnym systemie bonów sprzyjać będzie spekulacji finansowej, ale wątpić należy, czy doprowadzi do skutecznego przegrupowania kapitałów, ponieważ niski ich stan na rynku wewnętrznym ograniczy rzeczywisty ciężar tzw. *noyaux durs*, to jest głównych akcjonariuszy. Należy więc porzucić iluzje wielkiej prywatyzacji i stawiać na zwiększenie skuteczności gospodarowania sektora państwowego, zwłaszcza w przedsiębiorstwach produkujących na rynek. Osiągnąć to można przez rozwinięcie silnej konkurencji przemysłu prywatnego. Środek stanowić tu będą bodźce inwestycyjne i produkcyjne, zmierzające do waloryzacji krajowej pracy poprzez stymulowanie spożycia wewnętrznego. Wizja produkcyjna zajęłaby więc miejsce opcji finansowej, która jak dotąd przyznaje pierwszeństwo sanacji budżetu i monety przed impulsami rozwojowymi dla gospodarki. Bodźce byłyby więc skierowane na rozwój podaży, raczej niż — jak to ma miejsce — ograniczenie popytu.



W ogólnych zarysach chodzi o skierowanie zgromadzonego już kapitału krajowego oraz potencjalnego kapitału zagranicznego na inwestycje i rozwój produkcji na miejscu, i tym samym skonfrontowanie działu prywatnego z państwowym, dla wymuszenia na tym ostatnim głębokich konwersji. Dla tego celu konieczne są głównie cztery rodzaje zachęt. Po pierwsze monetarne przez potanienie złotówki, co odwróci koniunkturę importową. Po drugie handlowe — poprzez wzrost siły nabywczej konsumentów. Możliwe to jest w drodze zwolnienia mechanizmu płac tak, by rynek wymuszał kontrolę podwyżek przez imperatyw wzrostu wydajności pracy. Trzeci bodziec miałby charakter finansowy, wywołany obniżką kosztów kredytu. Czwartym byłyby podatki promujące inwestowanie. Instrumentami doraźnej interwencji państwa będą cła i koniunkturalna polityka zagraniczna.

*Bodziec monetarny: moneta stymulatorem produkcji*

Koniunkturę importową należy odwrócić przez silną dewaluację złotówki. W pewnym stopniu jej parytet określony będzie przez strategię eksportową państwa. Kurs złotego bowiem powinien wzmacniać konkurencyjność wybranej grupy towarów na rynkach zagranicznych. Głównym źródłem dochodów gospodarki będzie jednak nie eksport, lecz spożycie wewnętrzne. Waluta zatem powinna mieć taki kurs, by opłacało się nie importowanie towarów użytkowych, lecz wytwarzanie ich w kraju. W warunkach z lata 1992 oba powyższe cele mogłyby prowadzić do kursu pomiędzy 20 a 30 tysięcy złotych za dolara. W planie wewnętrznym kurs będzie uwzględniał podstawowy imperatyw odwrócenia koniunktury importowej, z uwzględnieniem w kosztach krajowego wytwarzania skokowej podwyżki energii oraz części obciążeń osłony socjalnej. W planie eksportowym opracować go należy we współpracy z potencjalnym sojusznikiem, biorąc pod uwagę co Polska może sprzedawać do Niemiec, albo do obszarów objętych strategią japońską — oraz co powinna kupować. Kontrahentowi należy przedstawić propozycję kursu waluty, jaki wynika z wyliczeń wewnętrznych i negocjować jego dostosowanie do warunków oczekiwanego paktu handlowego, przy założeniu że część obciążeń socjalnych pokryta zostanie przez towarzyszące paktowi polityczne kredyty.

*Rynek regulatorem inflacji*

Krytycy mego programu zwracają uwagę na jego silnie inflacyjny charakter. Pisze jeden z nich: „Drogi dolar podrożyłby proporcjonalnie wszystkie opłaty licencyjne i patentowe. Podrożałyby importowane surowce i komponenty, części zamienne do maszyn i ich serwis. Zwyżka cen paliw, importowanych za dewizy, mocno podniosłaby koszty transportu, poszłyby również w górę ceny usług telekomunikacyjnych i bankowych, opartych na importowanym sprzęcie. Wzrosłyby koszty utrzymania, a w ślad za nimi naciski płacowe, powiększając koszty produkcji. Większość przedsiębiorstw zaczęłaby szybko podnosić ceny, idąc bardziej na większy zysk jednostkowy, niż na większy obrót. Ulga dla krajowych przedsiębiorstw byłaby więc przelotna i krótkotrwała..." (Paweł Strumiłło w tekście do Redaktora Giedroycia).

Diagnoza Strumiłły dotycząca prostych następstw podrożenia dolara jest trafna, natomiast słuszność wniosków na średnią metę zależy od okoliczności. W Polsce istnieją duże możliwości intensyfikacji produkcji w sektorze państwowym przez mechanizmy liberalne i przy zastosowaniu odpowiedniej polityki mogą się one ujawnić na wielką skalę. W tym samym tekście Strumiłło przytacza opinię pani Bochniarz, pełniącej funkcję ministra przemysłu w rządzie premiera Bieleckiego, według której większość przedsiębiorstw państwowych mogłaby zwolnić 30 do 40% personelu bez ograniczania mocy produkcyjnych. Jak pisze dalej Strumiłło, jesteśmy jedynym krajem, gdzie przerwa obiadowa wliczana jest do czasu pracy. Redukcje załogi, poprawa organizacji pracy i w razie potrzeby zwiększenie czasu jej trwania to potężne środki skokowego zwiększenia wydajności i zmniejszenia kosztów własnych, co powinno zabsorbować podwyżkę tych kosztów wynikłą z rewaluacji dolara. Motywacji obniżenia kosztów własnych dostarczy groźba upadku firmy, która nie sprzeda drogich wyborów na rynku, gdzie rozwijający się sektor prywatny dyktowałby zaostrzone kryteria. To właśnie rynek stanowiłby przeszkodę w nakręcaniu zysków państwowych producentów przez czystą podwyżkę cen, ponieważ w wyniku zastosowanych bodźców wzrośnie podaż towarów ze strefy prywatnej.

Podwyżka dolara wzmocnić może niekorzystną dla rozwoju kraju koniunkturę eksportową w przemyśle energetycznym, wydobywczym, i w pewnym stopniu w hutniczym, zważywszy że ceny krajowe surowców i energii są znacznie niższe od światowych. Utrzymanie tego eksportu może się okazać konieczne przez długi jeszcze czas, stanowiąc — na przykład w przypadku sieci elektrycznych — ważny czynnik unowocześnienia infrastruktury i urządzeń, ale konieczne są instrumenty ograniczające jego rozwój. Perspektywę gospodarki surowcowej oddali szybkie urealnienie cen energii. Podwyżce, której dewaluacja złotówki nadałaby dramatyczny charakter, towarzyszyć muszą spójne działania wyrównawcze: wprowadzenie elastycznego i skutecznego systemu podatkowego, zróżnicowanie taryf, uruchomienie funduszu kompensacyjnego, pobieranego z podatków (VAT) zawartych w podwyższonych cenach, masowa produkcja i instalacja indywidualnych urządzeń pomiarowych dla oceny spożycia — ale także szeroka akcja odwołująca się do instynktu obywatelskiego w aspekcie oszczędności energii w fabrykach, miejscach publicznych i w mieszkaniach.



Docelowo gospodarka powinna eksportować wyroby o dużej wartości dodanej, zaś prowizorka polegająca na łatwym eksporcie taniego woluminu materiałowego rychło przekształcić się może w trwałe fatum, na podobieństwo gierkowskiej strategii węglowej. Odpowiednie cła i podatki stanowić powinny zachętę do przetwarzania surowców, półfabrykatów i energii na miejscu.

*Bodziec handlowy: rozwój spożycia*

Dla pobudzenia produkcji należy zwiększyć siłę nabywczą konsumentów. Przez długi jeszcze czas najliczniejszą ich grupę stanowić będą pracownicy sektora państwowego, powyższemu celowi zatem służyłoby zniesienie popiwka i zastąpienie go systemem odpowiedzialności na szczeblu zakładu. Dyrekcja ma prawo podnosić płace tak, by nie przekraczały one wzrostu wartości produkcji, co w skali ogólnej oznacza, że dynamika wydajności pracy musi przekraczać wzrost płac. W praktyce oznacza to przyjęcie mechanizmu bankructw w przypadku złych wyników gospodarowania. Polityka odprowadzania pieniądza z rynku musi mieć charakter pozytywny, a nie represyjny, na przykład trzeba stworzyć zachęty dla oszczędzania na wysoko oprocentowanych długoterminowych kontach inwestycyjnych.

*Bodziec finansowy: tani kredyt motorem rozwoju*

Pieniądz recesyjny, mniej więcej kontrolowany lecz pusty, winien ustąpić miejsca monecie ryzykownej, lecz realnej. Rzeczą pieniądza nie jest spoczywanie w bankowych rejestrach, lecz pobudzanie przedsiębiorczości i zapewnienie wzrostu spożycia. Cena kredytu musi ulec obniżce poniżej poziomu inflacji. Lepiej, by banki obciążone były zwiększonym ryzykiem utraty zysku, jeśli inflacja przez dłuższy czas przewyższać będzie czynsz pieniądza, niż by przedsiębiorstwa nie miały dostępu do kredytu wobec jego wysokiego kosztu. Obniżka czynszu pieniądza przyspieszy jego produkcyjny obrót, co w ogólnym rachunku po-

winno się bankom bardziej opłacać. Po pierwszym okresie strat banki liczyć mogą na stopniową obniżkę cen, w miarę jak będzie się rozwijał rynek. Zachodnie kredyty na prywatną gospodarkę powinny być zarządzane z większą elestycznością. Większość tych kredytów pozostaje niewykorzystana, ponieważ banki nie potrafią wypracować skutecznego systemu gwarancji. Jedną z przyczyn jest prosta nieumiejętność formułowania projektu ze strony przedsiębiorców, a inną brak doświadczenia ze strony polskich banków w analizie tych projektów. Głównie jednak chodzi o nadzwyczajne w polskich warunkach ryzyko pożyczkodawcy, jakie na krótką metę można by zmniejszyć, gdyby powstał dodatkowy fundusz gwarancyjny, pokrywający to ryzyko. Fundusz ten pochodzić musi z nowych kredytów politycznych. Ich pochodzenie nie jest jak dotąd oczywiste, ale wiele wskazuje na ich możliwość — ze strony Japonii być może szybko, ze strony Niemiec po roku 1995.

*Bodziec podatkowy: niższe podatki*

Podatek obrotowy musi ustąpić podatkowi od wartości dodanej. Od podatku dochodowego odliczyć trzeba zyski reinwestowane. Państwo może oczekiwać wzrostu swych dochodów w wyniku rozwoju działalności gospodarczej. System podatkowy powinien ulec decentralizacji, z przekazaniem licznych kompetencji do wojewodów i gmin.

*Skąd brać środki*

Warunkiem koniecznym jest więc znalezienie w okresie przejściowym środków na osłonę socjalną i gwarancje kredytowe w warunkach ujemnej stopy procentowej, natomiast w daleko mniejszym stopniu chodziłoby o zapewnienie budżetowi nadzwyczajnych środków inwestycyjnych. Doraźnie potrzebne są więc polityczne kredyty zza granicy, których szukać trzeba w Japonii i w Niemczech.

Do pokrycia niedoborów posłużą pożyczki państwowe i obligacje, zarówno zagraniczne, motywowane politycznymi sojuszami, jak i wewnętrzne, gwarantowane wartościami będącymi jeszcze w posiadaniu państwa, jak ziemia, lasy, wartościowe budynki. Część tych walorów należy sprzedać. Dużą rolę powinny odgrywać zachęty oszczędnościowe. Innym źródłem będą długoletnie licencje eksploatacyjne, udzielane zachodnim firmom, głównie w dziedzinie infrastruktury: autostrady, łączność. W dramatycznej sytuacji liczyć można na pewne wpływy z aneksji, a następnie sprzedaży dochodowych firm, powstających w wyniku grabieży majątku przez komunistów. Skuteczność takiego posunięcia nie jest jednak oczywista, zwłaszcza w związku z możliwością politycznych dewiacji, sabotażu i zakłóceń gospodarczych. Warto przy tym mieć na uwadze, że jak świat długi i szeroki nigdzie kumulacji kapitału nie towarzyszyły pienia anielskie.



Wreszcie nie można zaniedbać środków z jednorazowego podatku od wielkich fortun oraz ograniczenia rozrzutności państwa.

Prywatyzacja tylko w części służyć może jako źródło jednorazowych dochodów państwa. W licznych przypadkach chodzić może jedynie o prywatyzację upadłościową, gdzie nabywca zabezpieczyć ma dalsze trwanie firmy. Oznaczałoby to zgodę na sprzedaż licznych firm za symboliczną markę, z przedstawieniem przez nabywcę planu rozwojowego i socjalnego.

*Program i postęp*

W polityce zagranicznej ruchliwość zastąpić musi statykę opcji proamerykańskiej, w przedziwny sposób kombinowanej z nadziejami łączonymi ze Wspólnotą Europejską. W polityce wewnętrznej niezbędna jest mobilizacja wokół operacyjnego planu, który zająłby miejsce nieokreślonych złudzeń indywidualnego liberalizmu. Brak programu jest u nas częściowo skutkiem, a zarazem jedną z przyczyn chaosu politycznego. Wynika stąd jedynie, że najlepszy nawet program nie stanowi jeszcze gotowej recepty. W świecie, a zwłaszcza w rozbitym świecie, nic z niczego nie wynika w sposób prosty, co oznacza że skutecznemu działaniu towarzyszy zawsze podstawowa i być może jedyna reguła postępu, według której rozwiązanie problemu będzie z pewnością źródłem nowych. Dobry program nie usunie sprzeczności gospodarczych i nie wprowadzi trwałego ładu, lecz może wyrwać gospodarkę z przygnębienia — wprowadzając kraj w nowy wiek, który już zapowiada się jako okres wzmożonego egoizmu narodowego i regionalnego. Szansa Polski polega tu na połączeniu własnych interesów z ogólnymi planami nowych liderów światowych, nawet kosztem tradycyjnych sojuszy. Środkiem do rozwoju jest jedynie stymulowanie pracy i oszczędności, nawet za cenę zakwestionowania obyczajów międzynarodowego rynku finansowego.

Zauważmy przy tym, że powyższe innowacje posłużyć mogą racjonalnym korektom niesprawdzających się już mechanizmów. Przyjęcie przez Polskę czynnego udziału w nowym rozdaniu kart według opcji niemieckiej lub japońskiej może nakłonić tak Waszyngton, jak i Brukselę do zaktywizowania swej polityki w stosunku do wschodu Europy. Z kolei agresywna postawa wschodnich dłużników wobec nieskutecznej i represyjnej polityki oddłużania dostarczyłaby silnego impulsu chorym mechanizmom międzynarodowego rynku finansowego, sprzyjając skorelowaniu go z realiami, a zwłaszcza z potrzebami gospodarki światowej.

Paryż, 8. 10. 92.

*Robert KACZMAREK*

# Sprawa Wysp Kurylskich

W dniach 13-14 września br. prezydent Rosji B. Jelcyn miał złożyć w stolicy Japonii oficjalną, historyczną wizytę, po której spodziewano się normalizacji stosunków politycznych między obu krajami. Stało się jednak inaczej. Po dramatycznym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Rosji 9 września, prezydent Jelcyn w ostatniej chwili wizytę odwołał, powołując się na wewnętrzne problemy polityczne Rosji. U podłoża tych problemów, jak wiadomo, leży impas w sprawie Wysp Kurylskich, którego rozwiązanie pozostaje nadal kluczem do normalizacji stosunków japońsko-rosyjskich. Byłoby jednak wielkim uproszczeniem gdybyśmy spoglądali na sprawę Wysp Kurylskich tylko przez wąski pryzmat stosunków między Rosją a Japonią. Sposób i okoliczności, w jakich doszło do obecnego pogorszenia stosunków na osi Tokio-Moskwa, wskazują na szersze, geopolityczne implikacje tego konfliktu. Rzucają one również niepokojące światło na dalszy kierunek rozwoju wewnątrzpolitycznego w samej Rosji.

*Kulisy impasu*

Jeszcze przed rokiem wyglądało na to, iż konsekwentnie przez obie strony przeprowadzony proces odprężenia doprowadzi w stosunkowo długim czasie do pełnej normalizacji stosunków politycznych, a tym samym do likwidacji ostatniego ogniwa zimnowojennego w stosunkach Wschód-Zachód[1]. Pomimo znacznych trudności i częstych nieporozumień, początkiem stycznia br. obie strony przyjęły konieczność rozwiązania sporu o Wyspy Kurylskie w oparciu o zasadę „prawa i sprawiedliwości", oraz powrót do deklaracji japońsko-sowieckiej z r. 1956 jako punktu wyjściowego dla stopniowego transferu tych wysp pod administrację japońską. Pociągnięcia polityczne i administracyjne Moskwy, szczególnie ze strony ministerstwa spraw zagranicznych pod kierownictwem Kozyrewa i Kunaze, wyraźnie sugerowały, iż rząd Jelcyna przygotowuje grunt do oddania tych wysp Japonii. Ze swej strony Tokio wykazywało niezwykłą sprężystość dyplomatyczną oraz gotowość do znacznych kompromisów, równolegle stosując politykę doraźnej pomocy materialnej dla

1. Optymistyczny scenariusz dla odprężenia zarysował się od czasu wizyty rosyjskiej delegacji parlamentarnej w Tokio we wrześniu ub. r. (patrz mój artykuł „Stosunki sowiecko-japońskie", *Kultura* Nr 11/1991). Polityczno-historyczne tło impasu kurylskiego omówiłem w art. „Przyszłość stosunków japońsko-sowieckich", *Kultura* Nr 4/1990.



Rosji. W prasie rosyjskiej, inspirowane przez pro-japońskie *lobby* w MSZ, ukazywały się liczne artykuły i opracowania, uzasadniające słuszność japońskich roszczeń wobec Kurylów. Dopiero dziś, z perspektywy czasu okazuje się, iż próby zaangażowania w tej sprawie szerszej opinii publicznej były poważnym błędem taktycznym. W sytuacji pogłębiającego się kryzysu gospodarczego i rosnącego niezadowolenia ludności, przeciwnicy zwrotu Kurylów (głównie wśród wojskowych) przystąpili do szeroko zakrojonej kampanii antyrządowej, uzyskując coraz większe wsparcie w parlamencie rosyjskim. Nader podatnym gruntem dla takiej kampanii była wzmagająca się fala nastrojów nacjonalistycznych i ultra-prawicowych, którą przeciwnicy pojednania z Japonią potrafili doskonale wykorzystać dla swoich celów politycznych. Jeszcze z początkiem bieżącego roku przeciętny obywatel Rosji miał trudności z geograficznym ulokowaniem Kurylów, natomiast już w maju sondaże opinii publicznej wykazywały aż 70-procentowy sprzeciw dla ich oddania Japonii. W tym też mniej więcej czasie polityka rządowa w sprawie Kurylów znalazła się w wyraźnej defensywie. Nie pomagały apele i raporty MSZ w parlamencie Rosji, wyjaśniające iż układ pokojowy z Japonią leży w żywotnym interesie Rosji. Tokio z rosnącym niepokojem obserwowało taki rozwój wydarzeń w Moskwie, lecz kontynuowało politykę umiaru i kompromisu. W czerwcu minister spraw zagranicznych Japonii Watanabe przedłożył w Moskwie nowy plan wyjścia z impasu, postulując uznanie przez Rosję japońskiej suwerenności nad wyspami jako jedyny, nieodzowny warunek dla porozumienia, pozostawiając załatwienie właściwego kalendarza transferu na okres późniejszy. Jednocześnie na arenie międzynarodowej, w świetle widocznych wahań i oscylacji w polityce Moskwy, Japonia postarała się o zapewnienie formalnego wsparcia dla swego stanowiska ze strony swych partnerów w Grupie Siedmiu.

Od lipca br. dały się już zauważyć wyraźne zmiany w dotychczasowej, oficjalnej linii Moskwy w sprawie Kurylów. Podczas drugiej rundy obrad Japońsko-Rosyjskiej Komisji do Układu Pokojowego w dn. 15-16 lipca w Tokio, strona rosyjska uchyliła się od szczegółowej debaty nad tym problemem, chociaż do wizyty Jelcyna pozostawały już tylko dwa miesiące. W debacie parlamentu rosyjskiego pod koniec lipca rząd otrzymał wyraźne ostrzeżenie, iż bez zgody parlamentu Jelcyn nie może w Tokio złożyć żadnych wiążących obietnic w sprawie Wysp Kurylskich. Przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego Oleg Rumiancow oświadczył, że „wyspy te są sprawą narodową, wymagającą ogólnonarodowego referendum[2]". O przegranej tej

2. Przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego Oleg Rumiancow odegrał,

sprawy przez rząd w parlamencie świadczą najdobitniej późniejsze wypowiedzi polityków rosyjskich, a mianowicie wicepremiera Połtoranina i szefa kancelarii prezydenta Pietrowa pod koniec sierpnia w Tokio. W wywiadzie dla pisma *Yomiuri Shinbun* (27. 8.92) Pietrow ostrzegł, iż przyjęcie zasady „prawa i sprawiedliwości" nie oznacza mechanicznego, ślepego trzymania się deklaracji z r. 1956, co jest wyraźnym regresem z dotychczasowej pozycji Moskwy. Pośpieszna wizyta ministra spraw zagr. Watanabe na początku września w Moskwie nie przyniosła żadnych zadowalających wyjaśnień, jeszcze bardziej pogłębiając nastroje pesymizmu i niepewności w Tokio co do przebiegu i wyniku wizyty Jelcyna. W rozmowie telefonicznej z premierem Miyazawą 9 września Jelcyn próbował usprawiedliwić odłożenie wizyty „wewnętrznymi problemami". Jednakowoż w wywiadzie dla japońskiej agencji Jiji 10 września wiceprzewodniczący Rady Najwyższej i członek Rady Bezpieczeństwa Fiłatow przyznał, iż „główną przyczyną odłożenia była histeryczna atmosfera wokół Wysp Kurylskich w Rosji, którą ugrupowania ultra-konserwatywne były gotowe wykorzystać jako narzędzie walki politycznej z rządem Jelcyna".

*Wymiar gospodarczy impasu*

Impas polityczny w stosunkach japońsko-rosyjskich, spowodowany nagłym odwołaniem wizyty Jelcyna, pociągnie za sobą radykalne pogorszenie stosunków gospodarczych między obu krajami. W szczególnie dotkliwy sposób zaważy to na planach inwestycyjnych kapitału japońskiego w Rosji, które — jak wynika z japońskich komentarzy prasowych — były już dość zaawansowane. Już na kilka miesięcy przed wizytą Jelcyna, zakładając jej pomyślny przebieg, japońskie Ministerstwo Handlu Zagranicznego i Przemysłu (MITI) i przedstawiciele *keidenren*'u (zrzeszenie przemysłowców japońskich) zaangażowani byli w

wg wyjaśnień japońskich, kluczową rolę w kampanii anty-rządowej w sprawie Kurylów. 28 lipca br. odbyło się w siedzibie Najwyższego Sowietu Rosji (w tajemnicy zwołane) posiedzenie najważniejszych członków parlamentu, ekspertów Ministerstwa Obrony i MSZu, oraz członków Rady Bezpieczeństwa Rosji (z udziałem Fiłatowa), na którym Rumiancow przedłożył zebranym raport pt. „Stosunki japońsko-rosyjskie a sprawa obrony granic Federacji Rosyjskiej". Raport ten jest niewybrednym atakiem na dotychczasową politykę rządu wobec Japonii, a szczególnie na osobę ministra SZ Rosji Kozyrewa, którego oskarża się o „zdradę stanu". Raport Rumiancowa kompletnie bagatelizuje znaczenie japońskiej pomocy gospodarczej dla wyciągnięcia Rosji z kryzysu, natomiast uwypukla strategiczno-militarne znaczenie Wysp Kurylskich dla globalnych planów mocarstwowych Rosji. Przebieg tego posiedzenia, które definitywnie przesądziło o kompromisowym rozwiązaniu sprawy Kurylów, został szczegółowo opisany na łamach japońskiego tygodnika politycznego *Jekai Shuho* (1.9.1992).



przygotowanie szeregu ambitnych, dwustronnych projektów gospodarczych. W pierwszym rzędzie chodziło o dalekosiężne plany japońskiej pomocy gospodarczej w dziedzinie przekształcenia przemysłów militarnych na produkcję cywilną, modernizacji i bezpieczeństwa produkcji atomowej, oraz współpracę w wytwarzaniu nowych baz technologicznych dla rosyjskiej produkcji przemysłowej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Liderzy wszystkich czołowych organizacji gospodarczo-przemysłowych w Tokio wyrażają dziś jeden za drugim przekonanie, iż wszystkie te plany zostaną zawieszone na czas nieokreślony. Przedstawiciel potężnego *keidenren*'u Hiraiwa wyraził pogląd, iż obecny impas polityczny spowoduje poważny regres we wszystkich dziedzinach stosunków gospodarczych z Rosją.

Wg doniesień prasy japońskiej, Rosja poważnie liczyła na japońską pomoc gospodarczą na zawrotną sumę 40 miliardów dolarów, głównie na finansowanie projektów w restrukturyzacji przemysłów militarnych. Zdumiewa tutaj fakt, iż liczono na taką pomoc jeszcze w czasie, gdy już wyraźnie zarysował się impas w sprawie Wysp Kurylskich. W połowie sierpnia wiceprzewodniczący Japońsko-Rosyjskiej Komisji Gospodarczej Kawai otrzymał z rąk szefa Rosyjskiej Komisji Parlamentarnej do Spraw Reformy Gospodarczej „Listę projektów inwestycyjnych dla kapitału japońskiego", która obejmowała 120 projektów w 20 sektorach przemysłowych, głównie energetycznym, transportu i lotnictwa, mających stać się podstawą przyszłej współpracy gospodarczej między obu krajami. Wy wyjaśnień japońskich na liście tej znalazły się również projekty, które już od dłuższego czasu były przedmiotem zainteresowania japońskich przedstawicielstw handlowych w Moskwie.

Plany dalekosiężnej współpracy gospodarczej były w znacznym stopniu inspirowane wspólnym, japońsko-rosyjskim raportem z Harvardu[3]. Zalecał on Rosji natychmiastowy zwrot dwu południowych Wysp Kurylskich, a zwrot dwu pozostałych w przeciągu 2-3 lat. Z kolei Japonię zobowiązywał do udzielenia pomocy gospodarczej Rosji na sumę $50 milionów, rozłożoną na okres 10 lat, oraz do objęcia kierowniczej roli w zachodnim pakiecie pomocy gospodarczej dla Rosji. W przygotowaniu był również projekt zastosowania doświadczeń Japonii dla sprawnego przeprowadzenia reformy gospodarczej. W maju bawiła w Moskwie specjalna delegacja MITI, z propozycjami odbudowy gos-

3. Raport pt. „Beyond Cold War to Tri-lateral Cooperation in the Asia-Pacific Region", pod auspicjami The Kennedy School of Government, Harvard University, Mass. Autorami są: Prof. G. Allison z Harvardu, Prof. Hiroshi Kigura z International Research Center for Japanese Studies, Kyoto, oraz Dr K. Sarkisow, dyrektor Studiów Japonii w Inst. Dalekiego Wschodu, Moskwa.

podarczej Rosji wg „modelu japońskiego". Plan ten wychodził z założenia, iż w specyficznych warunkach rosyjskich model japoński może być bardziej przydatny od rygorystycznego programu MFW (IMF), kładąc przesadny nacisk na mechanizmy rynkowe.

Wszystkie te plany zawisły już w lecie w powietrzu, razem z planem pakietu gospodarczego. Niemniej Moskwa do ostatniej chwili łudziła się nadzieją na szerokie otwarcie kieszeni japońskiej, bez równoległego załatwienia sprawy Kurylów. Źródła rządowe w Tokio dopiero w połowie września ujawniły, że w czasie ostatniego pobytu w Moskwie minister SZ Japonii Watanabe znalazł się pod niesamowitym naciskiem dla potwierdzenia pakietu pomocy gospodarczej na sumę $50 miliardów. Był on upoważniony, w wypadku uzyskania odpowiednich zapewnień w sprawie Kurylów, do potwierdzenia takiego planu, lecz przy braku takich zapewnień musiał odmówić. Jelcyn dał wyraźnie do zrozumienia, że bez gwarancji takiej pomocy jego przyjazd do Tokio może stać się niemożliwym, gdyż powrót z pustymi rękami mógłby oznaczać upadek jego rządu. Podobnym argumentem odwzajemnił się Watanabe, tłumacząc iż jednostronne przyznanie pakietu na taką sumę, bez żadnych koncesji w sprawie Wysp Kurylskich, spowodowałoby upadek gabinetu premiera Miyazawy. Obawy przed gospodarczym fiaskiem wizyty były więc głównym, bezpośrednim bodźcem do jej odwołania.

Wg częstych wyjaśnień rządowych w Tokio, pogorszenie stosunków politycznych z Moskwą nie zakłóci udzielenia dotychczasowej, doraźnej pomocy materialnej Rosji, lecz większe inicjatywy gospodarcze w Rosji zostaną na dłuższy okres czasu zamrożone. Gospodarcze konsekwencje przewlekłego impasu politycznego między Tokio a Moskwą mogą się więc korzystnie odbić w polityce gospodarczej Japonii wobec Europy Środkowo-Wschodniej, w sensie przyśpieszonej realizacji japońskich planów pomocy gospodarczej dla tego rejonu.

*Podłoże strategiczne*

Przedstawiłem tu pełny, gospodarczy wymiar obecnego impasu w stosunkach japońsko-rosyjskich, żeby uwypuklić tylko pozornie absurdalne, lecz w rzeczywistości głębokie strategiczne tło sporu o cztery małe, niby mało znaczące, wulkaniczne wysepki. Jest wręcz nieprawdopodobne by Moskwa zrezygnowała, bez głębszych powodów, z tak ponętnej oferty pomocy i współpracy gospodarczej tylko ze względu na sprzeciw stosunkowo nielicznej ludności tych wysp, czy też hałaśliwe pokrzykiwania marginesowych partii politycznych. Tak daleko jeszcze rządy prawa i demokracji w Rosji nie dojrzały, o czym świadczy chociażby częste „naginanie" prawa dla doraźnych celów politycznych. Na podstawie poprawek ustawowych z sierpnia ub. roku,



uczynionychwłaśnie z myślą o zrobieniu interesu z Japonią, Jelcyn mógłby dokonać zmian granicznych bez potrzeby referendum. Rosja całkiem łatwo pogodziła się (tak to przynajmniej wygląda) z utratą kontroli nad wschodnimi prowincjami imperium (Ukraina, państwa bałtyckie itd.), a więc skąd ta nagła, „ogólno-narodowa" histeria wokół Wysp Kurylskich? Otóż istotnym powodem, dla którego Moskwa nie może się zdecydować na zwrot Kurylów jest to, iż są one kluczowym punktem strategicznym w mocarstwowych planach Rosji w rejonie Azji/Pacyfiku. Załamanie polityczno-gospodarcze i konieczność szukania pomocy gospodarczej Zachodu zmusiły Rosję do wycofania się z Europy oraz przeniesienia punktu ciężkości w swej polityce mocarstwowej na Daleki Wschód. Stratedzy i eksperci japońscy już od kilku lat zwracają uwagę na taki kierunek polityki rosyjskiej, zabiegając o poważne potraktowanie przez Zachód spraw bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie, a tym samym problemu Kurylów. Uważają oni, iż dopiero zwrot Kurylów będzie istotnym, namacalnym dowodem zasadniczych, a nie powierzchownych zmian w polityce zagranicznej Moskwy na Dalekim Wschodzie. Co więcej, rezygnacja z polityki mocarstwowej w tym rejonie byłaby również ostatecznym potwierdzeniem trwałych, a nie taktycznych zmian polityki rosyjskiej wobec byłych wschodnich prowincji i Europy Wschodniej. Dopiero wówczas, na takiej bazie zaufania, można by było przystąpić do realizacji wielkich planów odbudowy gospodarczej Rosji. Względy bezpieczeństwa i brak zaufania do Rosji są więc głównym, istotnym powodem (chociaż względy emocjonalne, prestiżu itp. też tu odgrywają rolę) dla którego Japonia uporczywie domaga się zwrotu tych wysp. Ostry konflikt w kierownictwie politycznym Rosji wokół sprawy Kurylów zakończył się, w ocenach strategów japońskich, chwilowym zwycięstwem kół konserwatywnych i wojskowych, na czele z obecnym ministrem Obrony Narodowej Graczowem. Obawy wypływające z takiego stanu rzeczy znalazły odbicie w pierwszym, emocjonalnym oświadczeniu japońskiego MSZ na wiadomość o odwołaniu wizyty. Stwierdza się w nim m.in., iż „decyzja Jelcyna odbije się fatalnymi skutkami na dalszym rozwoju stosunków japońsko-rosyjskich, które mogą szybko stoczyć się z powrotem na płaszczyznę zimno-wojenną. Jest ona zwycięstwem ultra-konserwatywnych kół w Rosji, którym nadal bardzo zależy na utrzymaniu imperialistycznej, mocarstwowej pozycji Rosji w świecie. Świadczy to o słabej pozycji politycznej Jelcyna w Moskwie, oraz nie wróży dobrze dla dalszego rozwoju demokracji w Rosji".

Eksperci japońscy coraz bardziej wyrażają przekonanie, że sporu tego nie da się załatwić w ramach dwustronnych stosunków

z Rosją, bez aktywnej pomocy Zachodu (głównie USA), właśnie ze względu na strategiczno-militarny aspekt tego problemu. Jak dotąd Waszyngton wykazuje tylko znikome, powierzchowne wsparcie dla roszczeń japońskich w sprawie Kurylów, nie chcąc narażać na szwank pomyślnej realizacji traktatów rozbrojeniowych z Rosją w Europie. Z kolei kompletny brak zrozumienia tego problemu cechuje stanowisko zachodnio-europejskich partnerów Japonii, uważających sprawę tę za bilateralny problem między Tokio a Moskwą. Japońskie postulaty o *nieodłączności spraw bezpieczeństwa w Europie i Azji/Pacyfiku* nie znajdują tu posłuchu, co przejawiło się też w tylko powierzchownej, nieprzekonywującej „deklaracji wsparcia" dla Japonii (a wymuszonej względami gospodarczymi) na lipcowym szczycie Grupy Siedmiu w Monachium. Wygląda więc na to, iż w najbliższej przyszłości Japonia pozostanie nadal osamotniona w obliczu mocarstwowej, zimno-wojennej polityki Moskwy na Dalekim Wschodzie. Sprawa Wysp Kurylskich ma tu również nie bardzo chwalebny polski epilog. Wg doniesień pisma *Yomiuri Shinbun* z dnia 12 września, prezydent Polski, L. Wałęsa, ostro skrytykował Japonię, obarczając ją winą za obecny impas w stosunkach z Rosją. Uwagi te uczynił na spotkaniu w Belwederze z szefem Biura Spraw Międzynarodowych Japońskiej Partii Socjal-Demokratycznej Mitsuo Tomizuka. Stwierdził on m.in., iż „jest powszechnie przyjętą zasadą, iż kraje przemysłowe Zachodu mają obowiązek ratowania gospodarki krajów Europy Wschodniej i Rosji, i że Japonia nie powinna uzależniać pomocy gospodarczej dla Rosji od zwrotu Wysp Kurylskich". Uwagi te wywołały przykre wrażenie w Japonii. Komentator pisma *Yomiuri Shinbun* „zastanawia się tu, dlaczego właśnie Polska, która przez cały okres powojenny z największym uporem dążyła do odzyskania niepodległości, dziś jako jedyne państwo w tym rejonie zachowuje się nadal jak wasal Rosji".

Trudno się tutaj dziwić niewiedzy Wałęsy (od czego ma cały sztab doradców?), lecz można by się spodziewać większej finezji dyplomatycznej, przed pochopnym czynieniem uwag, które mogą zaszkodzić interesom Polski. Należy nie zapominać, iż w dzisiejszym świecie zmiennych układów politycznych i rosnącego zapotrzebowania na kapitał „nikt nic nie musi", „nikt nie otrzyma nic za nic", i „każdy pilnuje swych własnych interesów".

*Janusz MONDRY*

# *Wywiady „Kultury"*

## Pożegnanie „Kontynentu" Maksimowa

W gorzkiej i bolesnej rozmowie dwojga naszych przyjaciół, Natalii Gorbaniewskiej i Władimira Maksimowa, tym boleśniejszej, że dotąd łączyły ich prócz ścisłej współpracy te same lub w każdym razie bardzo zbliżone poglądy, mowa o tym (na pocieszenie) że *Kontynent* nie przestanie istnieć. Ale nie będzie to już *Kontynent* Maksimowa, znakomite pismo rosyjskie, z którym związaliśmy się od dnia jego narodzin, z którym związani byliśmy osiemnaście lat, na które mogliśmy zawsze liczyć, jak *Kontynent* mógł zawsze liczyć na nas.

Władimir Emelianowicz Maksimow wyjaśnił sam przyczyny swego odejścia ze stanowiska redaktora naczelnego pisma, wyjaśnił je w szerszym kontekście swojego pesymistycznego spojrzenia na współczesną rzeczywistość rosyjską. Można się z nim zgadzać lub nie, można się z nim zgadzać częściowo (jest to nasz wypadek), uważając jego obraz za nazbyt czarny, ale nie to jest w tej chwili ważne. Ważny jest prawdziwy, głęboki żal, że odchodzi człowiek, którego nauczyliśmy się tak wysoko cenić, który starał się i stara dalej (jak to sam określa) być przede wszystkim „po stronie własnego sumienia". Żałujemy, że stracił chwilowo wiarę w *posłannictwo* swego pisma. Mamy nadzieję, że ją szybko odzyska. Gdyż to łączyło nas przez lata najbardziej: wiara w posłannictwo *Kontynentu* i *Kultury*. Posłannictwo, którego potrzeba jest dziś większa nawet, niż dawniej.

*KULTURA*

### ROZMOWA Z WŁADIMIREM MAKSIMOWEM

NATALIA GORBANIEWSKA: — *Powszechnie wiadomo, że widzi Pan dzisiejszy stan Rosji w bardzo ciemnych barwach. Co konkretnie nastraja Pana nie tyle krytycznie, co wręcz odstręczająco?*

WŁADIMIR MAKSIMOW: — Z całą odpowiedzialnością twierdzę, że Rosja przeżywa obecnie najtragiczniejszy może, nieodwracalnie tragiczny okres swojej historii. Nawet w najdalszej perspektywie nie widzę najmniejszej tendencji pozwalającej żywić nadzieję, ani jednego choćby potencjalnie właściwego człowieka, zdolnego stanąć na czele alternatywnego procesu rozwoju, ani jednej siły politycznej lub społecznej, mogącej udzielić masowego poparcia takiemu procesowi. Kraj jest skazany: wczoraj był na klęczkach, dziś jest powalony.

N. G.: — *Czy nie wydaje się Panu, że należałoby być nie tyle bardziej wyrozumiałym, co po prostu bardziej cierpliwym w stosunku do zmian, które się ledwo zaczęły, dokonują się w ogromnym kraju i napotykają ustawiczny opór na wszystkich poziomach? Być może należałoby obruszać się nie na tych, którzy starają się go tak czy inaczej reformować, tylko na tych, którzy ani nie pozwalają uchwalić odpowiednich ustaw (np. ustawy o ziemi), ani wykonać tego, co już teraz można by zrobić?*

W. M.: — Pani pytanie zawiera cały fałsz obecnej sytuacji. Gdybym Pani nie znał, powiedziałbym po prostu, że Pani kłamie. Dlaczego w ślad za politycznymi gangsterami i polityczną szumowiną wszelkiej maści robi Pani normalnym ludziom wodę z mózgu? W takiej sytuacji na wsi rosyjskiej zwykło się mówić grubiańsko, ale trafnie: „Złemu tancerzowi przeszkadza nawet słomka między nogami". Przez ponad siedemdziesiąt lat uczono nas, że wszystko jest winą wrogów — zewnętrznych i wewnętrznych. A to dywersantów, a to stonki ziemniaczanej, a to żydowskich knowań. I znów ta sama melodia! Nie sprzykrzyła wam się? Któż to nie pozwala uchwalić odpowiednich ustaw, w tym ustawy o ziemi? Uważnie śledzę posiedzenia Rady Najwyższej Rosji: mimo jej konserwatywnego składu, rządowi bez wielkiego trudu udaje się przeprowadzić wszystkie swoje ustawodawcze fantazje. Wszystkie jednak są albo z definicji nierealne, albo cała para idzie w gwizdek, bo władza wykonawcza nie dba o to, aby stworzyć choć minimalnie skuteczne mechanizmy do ich realizacji. To nie jest władza, tylko imitacja władzy, nacechowana absolutną niekompetencją praktyczną. Zresztą ustawa o ziemi też nie jest lekarstwem na wszystkie bolączki, liczenie na nią to zwyczajne liberalne mrzonki. Niech sobie Pani wyobrazi, że ustawa zostanie uchwalona. I co dalej? Całe społeczeństwo zdaje się wierzyć, że bułki i pierożki wyrosną jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Nie, moi mili, nie wyrosną. Dzisiejszy poziom rolnictwa wymaga ogromnych nakładów na technikę, paliwo, nawozy, transport, przetwórstwo i zbyt. To nie ogródki warzywne, gdzie wszystko można zrobić domowym sposobem. Czy nasze



rozbite do cna państwo albo prywatne banki mają takie możliwości? Oczywiście nie. Spyta Pani, jakie jest wobec tego wyjście. Wyjście polega na zdrowym rozsądku, o którym mówił Aleksander Sołżenicyn w swoim obszernym wywiadzie dla telewizji rosyjskiej: życie przywraca się nie jednym susem, tylko stopniowo, krok za krokiem, pęd za pędem. Dzięki Bogu, że chociaż jemu nie ośmieliliście się zabronić wypowiedzenia takiego poglądu na łamach gazety, w której Pani pracuje, a w której ostatnimi czasy nie można przeczytać niczego poza zwykłymi liberalnymi bzdurami. Podobnie zresztą jak w prawie wszystkich czasopismach rosyjskiej emigracji: podają one nie informacje, tylko kalki z zachodniej prasy, nie ma w nich ani jednej samodzielnej myśli, wszystko zapożyczone.

N. G.: — *Czy jest Pan przekonany, że może Pan polegać na rozmaitych nieżyczliwych opiniach, na których opiera Pan swoje oceny działalności prezydenta i rządu Rosji? Przecież te informacje mogą być zwykłymi plotkami albo nawet kalumniami, które Panu świadomie podsuwają przeciwnicy Jelcyna. Zważywszy Pana wrogość, a zarazem niezależność myślenia, ludzie ci na pewno bardzo chcieliby wciągnąć Pana do swojego obozu; uważają, że jest Pan już prawie po ich stronie, wystarczy jeszcze mały przyczek...*

W. M.: — Jeżeli chodzi o moje źródła informacji, to sprawdzam je starannie. Wie Pani o tym doskonale: zarówno w Moskwie jak w Paryżu spotykałem się i spotykam z ludźmi najrozmaitszego poziomu i pozycji — od *establishment*'u literackiego i politycznego do zwykłych obywateli, moich krewnych, robotników i szukających sprawiedliwości petentów z ulicy. Zdarzało mi się rozmawiać (bynajmniej nie z mojej inicjatywy!) z członkami byłego i obecnego rządu, z deputowanymi, z dyplomatami wysokiej rangi, z przemysłowcami, dowódcami wojskowymi i członkami Trybunału Konstytucyjnego. Jeżeli uzyskane od nich informacje uważa Pani za niewiarygodne, to Bóg z Panią. Zgadzam się jednak, że ustne relacje nie są przekonywującym argumentem, dlatego ograniczę się do powszechnie znanych faktów. Czy nie wystarcza Pani, że generalny prokurator republiki, który z tytułu swego stanowiska powinien stać na straży porządku i prawa, otwarcie handluje materiałami z toczącego się śledztwa w sprawie puczu? O jakiej praworządności można w takiej sytuacji mówić, że już nie wspomnę o moralności? A może nie wie Pani i nie wiedzą Pani koledzy, że obecni demokratyczni przywódcy zamieszkali w tych samych rządowych willach i mieszkaniach, których przepych jeszcze niedawno z pianą na ustach piętnowali podczas wieców? Nie słyszała pani o tym, że przyznali sobie bez żadnych ograniczeń dawne przywileje? A jak się pani podoba to,

że przy tym wszystkim nie zabrakło im tupetu, aby bezwstydnie zaproponować deportowanemu siłą za granicę wielkiemu pisarzowi, aby kupił sobie od państwa mieszkanie za kilka milionów rubli? Czyż nie słyszała Pani o słynnym wywiadzie telewizyjnym jednego z czołowych demokratów kraju, Gawriła Popowa, w którym otwarcie nazwał łapówkarstwo urzędników normalnym pobieraniem prowizji od usług, tyle że — niestety — jeszcze nie usankcjonowanym prawnie? A jeśli chodzi o wspomniane przez Panią „obozy", do których ktoś kogoś chce wciągnąć, to usłyszeć coś takiego właśnie do Pani sprawia mi wielką przykrość. Czyżby i Pani, mimo gorzkich doświadczeń życiowych i moralnej wrażliwości, przyłączyła się do tych obrzydliwych gier w „lewych" i „prawych", dała się wciągnąć w te „wyścigi karaluchów" dobre dla intelektualnych i politycznych karierowiczów? Nigdy nie byłem i nie będę po jednej stronie z nacjonal-bolszewikami z *Naszego sowriemiennika* i *Mołodoj gwardii*, ale też nigdy nie byłem i nie będę po stronie neobolszewików z *Ogońka* i *Moskowskich nowostiej*, a więc i z tymi, którzy ich popierają na Zachodzie. I jedni i drudzy są podli i szkodliwi dla Rosji i jej kultury. Pracowałem z Panią przez piętnaście lat dla wspólnej sprawy i wie Pani lepiej niż ktokolwiek, że nigdy nie stanę po żadnej innej stronie aniżeli po stronie własnego sumienia.

N. G.: — *Podobnie jak Pana nie zachwyca mnie liczna obecność wczorajszej nomenklatury w szeregach dzisiejszych kręgów rządowych. Jednak jako chrześcijanie nie możemy zapominać o możliwości pokuty i nawrócenia — a nawet takiego cudu, jak przemiana Szawła w Pawła. „Pawły" rzecz jasna nie chodzą stadami, jak usiłuje nam się wmówić, ale odrzucić takiej możliwości nie możemy — możemy tylko różnić się co do ludzi, co do tego, kogo uważamy za nawróconego, a kogo za farbowanego lisa, któremu chodzi tylko o własną korzyść. Dodam, że radykalne, nieodwracalne „przefarbowanie" może w ostatecznym rachunku przynieść korzyści także społeczeństwu: przecież i na Zachodzie kapitaliści nie działają „w imię idei kapitalizmu", a dla własnej kieszeni... Kilka dni temu powiedział mi pewien znajomy: „Mnie wszystko jedno, kto rządzi i kim był dawniej — byle by działał". Czy uważa Pan, że to wszystko należy zlekceważyć?*

W. M.: — Wybaczy Pani, ale to znowu jest demagogiczny truizm, a o ile pamiętam, nigdy nie posługiwała się Pani taką bronią. Muszę wobec tego zniżyć się do tego samego poziomu i odpowiedzieć pani tym samym. Po pierwsze, Ewangelia składa się w przeważającej części z ataków na faryzeuszy i badaczy ksiąg (czym na miarę swych sił zajmowałem się i ja przez prawie dwa dziesiątki lat), a po drugie Szaweł przemieniony w Pawła pokajał



się i uzyskał przebaczenie. Ci zaś ludzie usiłują twierdzić, że nigdy nie byli Szawłami, że przez całe życie niczym innym się nie zajmowali, jak sławieniem Chrystusa. Mało tego, domagają się sądu i kary dla tych, z którymi jeszcze wczoraj ręka w rękę gnębili i dławili innych. Niechże Pani zada sobie pytanie, kto dziś tępi Aleksandra Sołżenicyna? Te same pisma co dawniej, tyle że dziś nazywają się „demokratycznymi": *Ogoniok, Izwiestia, Moskowskije nowosti* i im podobne. Niech Pani przeczyta chociażby niedawny artykuł w *Izwiestiach* na temat filmu Goworuchina o Sołżenicynie. Jestem przekonany, że żadna rosyjska gazeta ani żadne radio zachodnie nie ośmieli się stanąć w jego obronie, bo wszyscy już jesteście wciągnięci w przewrotne gry między „lewymi" i „prawymi". I znowu ja, mimo częstych różnic zdań z Sołżenicynem, rzucę się do walki z neobolszewickim chuligaństwem. Także ich „uporczywe przemalowywanie" Rosji nie przyniosło i nie przyniesie niczego, poza nowymi nieszczęściami i moralnym rozkładem Rosji. Pociesza mnie tylko jedno, mianowicie fakt, że ich czas jest policzony. Jestem o tym głęboko przekonany. Dach, który z takim zapałem klecą, wkrótce zwali się na ich bezmyślne głowy. Niech mi Bóg wybaczy, ale nie uronię po nich ani jednej łzy, choć mam wciąż wśród nich bliskich przyjaciół. Zasłużyli sobie na taki los! Nawiasem mówiąc, jestem solidarny z pani przyjacielem: mnie też nie obchodzi kto rządzi i kim był dawniej — ważne jest tylko to, co robi teraz. Ładnie powiedziane. Odpowiem tyle: to, co ci ludzie robią, nazywa się *przestępstwem*. Przestępstwem przeciw krajowi, przeciw narodowi, jego historii i kulturze. Nikt z nich nie myśli nawet o żadnej „ustawie o ziemi", bohaterskie wysiłki autentycznych przedsiębiorców duszą niewiarygodnymi podatkami, za to czynnie wspierają obrzydliwą spekulację na ogromną skalę, kulturę zaś — muzea, biblioteki, sztukę, jak również medycynę i służby społeczne — przenoszą na własny rozrachunek, co w warunkach skrajnej nędzy, w jakiej żyje nasze społeczeństwo, skazuje je na zwyrodnienie. Na domiar złego cała prasa żyje jeszcze z dotacji państwowych, może sobie Pani wyobrazić, jaką to oznacza wolność! We własnym kraju reprezentują najrozmaitsze interesy, tylko nie interes państwa, którym rządzą. Przytoczę jeden przykład. W maju tego roku, bawiąc w Moskwie, razem z przyjacielem Juliusem Edlisem oglądałem w telewizji wystąpienie Jegora Gajdara w Radzie Najwyższej. Pusząc się, z zadufaniem i zadęciem tokował o swoich oszałamiających sukcesach w dziedzinie stabilizacji rubla. Jeśli mu wierzyć, interwencja monetarna rządu na rynku walutowym pozwoliła powstrzymać spadek wartości rubla. Następnie premier zapewnił deputowanych, że w najbliższych miesiącach wartość dolara spadnie ze stu dwudziestu rubli do osiemdziesięciu, a może i niżej. Od razu wtedy powiedzia-

łem: „Brednia". Przyzna Pani, że nie trzeba być wielkim ekonomistą, aby wiedzieć, że dowolny pieniądz można ustabilizować tylko pod dwoma warunkami: minimalnym choćby wzrostem produkcji i redukcją emisji pieniądza. Ani o jednym ani o drugim premier nie pomyślał. W rezultacie w cztery miesiące później dolar kosztuje na rynku wewnętrznym ponad dwieście rubli i wartość jego wzrasta w coraz szybszym tempie. Jestem jak najdalszy od myśli, że premier jest takim idiotą, iż nie zna wspomnianych wyżej zasad gospodarki pieniężnej. Wobec tego należy przyjąć, że cała operacja była przemyślana i zamierzona. To należy już do dziedziny kryminalistyki. W imię tego awanturnictwa walutowego rzucono na rynek z rezerw walutowych kraju pół miliarda dolarów, skupionych rzecz jasna przez tych, którzy mogli sobie pozwolić na to, aby na ten cel wydać tony papieru, zwanego rublami. W każdym innym kraju, mniej lub bardziej demokratycznym, takiego premiera zakuto by natychmiast w kajdanki; w każdym innym, powiadam, ale nie w dzisiejszej Rosji. Spłynęło to po nim jak woda po gęsi. Ba, nasz przedstawiciel w finansowych organizacjach Zachodu, niejaki Kagałowski — na którego twarzy, nawiasem mówiąc, maluje się cały kodeks karny Federacji Rosyjskiej — zażądał na sfinansowanie tej awanturniczej operacji dodatkowych pięćdziesięciu milionów dolarów. Widocznie nie wszyscy walutowi przyjaciele naszego rządu po obu stronach granicy zdołali uszczknąć swoją dolę z tej nęcącej góry pieniędzy. Naturalnie, że fakt, kto kim był dawniej jest drugorzędny. Prawie każdy z nas, w każdym razie w moim pokoleniu, znajdzie w swojej przeszłości powody do ubolewania. Co więcej, znam wśród członków byłej nomenklatury wielu specjalistów najwyższej klasy w wielu dziedzinach nauki, przemysłu i kultury. Niechże mi jednak Pani powie, dlaczego z całego tego kręgu na wierzch wypłynęli nie najlepsi, a najgorsi? Osądźcie sami: krajem rządzi były pierwszy sekretarz swierdłowskiego obwodowego komitetu partyjnego, którego zawodowy i intelektualny pułap stanowi zarządzanie obwodowym zgrupowaniem przemysłu. Odnową państwa zajmuje się etatowy wykładowca marksizmu-leninizmu na jednym z prowincjonalnych uniwersytetów. Gospodarkę „obsługuje" niedawny kierownik działu ekonomicznego *Prawdy*, a dyplomacją kieruje — jak głoszą słuchy — najgłupszy absolwent Instytutu Spraw Międzynarodowych. To żadna demokracja, tylko typowy reżym neobolszewicki. Gdybym dostrzegł choć ślad, choć najmniejszy wskaźnik, że sytuacja się poprawia, zgodziłbym się z wszystkimi Pani wywodami. Nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach kraj musi przeżyć wyjątkowo ciężki, trudny okres swoich dziejów. Nie dostrzegam jednak żadnego takiego wskaźnika. Wszystko zamiera, produkcja spadła już o 30% i dalej spada (niechże Pani sobie wyobrazi, że produkcja Francji spadnie choćby o 3-4%!), a bezwstydna grabież majątku kraju przybrała nieznane w historii ludzkości rozmiary. O tym należy krzyczeć, nie mówić! Tymczasem nasza inteligencja, także na emigracji, zajmuje się uparcie bezmyślną grą w „lewych" i „prawych" i pseudoliterackimi sporami. To jest coś więcej niż zbiorowy obłęd, jaki zdarza się w przełomowych chwilach historii — proszę sobie przypomnieć chociażby to, co się u nas działo po rewolucji lutowej — to jest coś gorszego, to jest moralny i psychologiczny *aids*. Organizm społeczny utracił wszelkie zdolności obrony immunologicznej — oznacza to śmiertelną katastrofę.



N. G.: — *Oceniając dzisiejszy stan Rosji, w wielu sprawach się teraz różnimy. Jest jednak jedno zagadnienie, co do którego — mam nadzieję — jesteśmy zgodni. To sprawa języka. Mam na myśli nie tylko zwyczajny upadek języka, uporczywe — ale chyba przejściowe — zaśmiecanie go kliszami i zapożyczeniami z obcych języków. Moim zdaniem dzieją się teraz z językiem rzeczy groźniejsze: słowa o określonym znaczeniu stają się epitetami — przyswojonymi lub narzuconymi, samochwalstwem albo wyzwiskami, ale tak czy inaczej tracą swoje prawdziwe znaczenie i wprowadzają zamęt w umysłach. Co Pan o tym sądzi jako pisarz i jako myśliciel polityczny?*

W. M.: — Ze wszystkiego, co się nam przydarzyło, najstraszniejszy jest upadek hierarchii wartości w naszym społeczeństwie. Degeneracja języka jest tylko świadectwem procesu rozpadu. Sprawa doszła już do całkowitego marazmu. Siergiej Załygin (myślę, że jest on dla Pani miarodajnym źródłem?) opowiedział mi, że pewna nader demokratyczna dama w rozmowie z nim zasugerowała, by przejść na język angielski, ponieważ jej zdaniem rosyjski nikomu już nie jest potrzebny. Ale losy naszego języka to temat na osobną rozmowę, tym razem zostawmy go.

N. G.: — *Na koniec pytanie, które szczególnie interesuje naszych przyjaciół z* Kultury *i które zadaję na ich prośbę: dlaczego postanowił Pan opuścić* Kontynent*? Dlaczego przestaje Pan redagować swoje, „maksimowowskie" pismo — bo za takie, słusznie, wszędzie uchodził* Kontynent *— dlaczego oddaje Pan tytuł i zapracowaną renomę innemu (choćby i najbardziej zasłużonemu) redaktorowi i pozbawia się własnego oręża? Nawet jeśli rosyjskie środki informacji otworzą przed Panem wszystkie drzwi, nawet jeśli z największą ochotą będą Pana zapraszali i dopuszczali do słowa — pozostanie Pan gościem, a nie gospodarzem. W* Kontynencie *natomiast był Pan nie tylko gospodarzem, ale wręcz ojcem, matką, niańką i kar-*

*micielką, wszystkim... Dziecko swoje oddaje Pan obcym na wychowanie? Czy nie mógł Pan postąpić inaczej? Czy nie miał Pan wyjścia? A jeśli go Pan nie miał, to czy to nie boli, czy nie gorzko Panu na duszy? Czy nie zechciałby Pan dla czytelników* Kultury *dokonać podsumowania minionych ponad osiemnastu lat?*

W. M.: — O najróżniejszych powodach i okolicznościach, które nie pozwalają mi kontynuować *Kontynentu*, można by naturalnie mówić w nieskończoność; główny powód jednakże jest taki, że redakcja po prostu nie ma żadnych materialnych możliwości przetrwania. Ostatnie nasze podpory — Fundusz na rzecz Demokracji i Fundusz Bradleya w Stanach Zjednoczonych — wstrzymały nam dotacje, uważając, że Rosja już nie potrzebuje opozycyjnych zagranicznych czasopism, a żadne emigracyjne pismo tego typu nie jest w stanie utrzymać się samo. Co więcej, rosyjscy intelektualiści, stanowiący kościec naszej redakcji, podzielili się dziś na dwa wykluczające się obozy — prorządowych liberałów i tzw. „czerwono-korzennych", połączenie byłych komunistów z obecnymi szowinistami. Podział przebiega przez kraj i emigrację. Ani z jednymi ani z drugimi nie jest mi po drodze. Społeczeństwo rosyjskie widocznie musi przejść jeszcze jeden, prawdziwie odnowicielski wstrząs, aby otrzeźwieć i wrócić do prawdziwych wartości cywilizacji chrześcijańskiej. Jestem przekonany, że nie będziemy nań długo czekać. Jeżeli chodzi o mnie samego, to nigdy nie jest za późno, aby zacząć wszystko od nowa. Oby tylko Pan Bóg dał życia. Czy to bolesne? Owszem. Czy gorzkie? Nie. Czasopismo będzie istniało nadal. Na zakończenie pragnę wyrazić najgłębszą wdzięczność *Kulturze* i jej redakcji w osobach moich wiernych przyjaciół Jerzego Giedroycia, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Józefa Czapskiego za wieloletnią bezinteresowną pomoc. Powiem zwięźle: bez ich pomocy *Kontynent* by nie przetrwał.

Rozmawiała *Natalia GORBANIEWSKA*

## *Kraj*

# O złym użytku z wolności

*Dlaczego wy — to znaczy publicyści krajowi piszący w* Kulturze *— przekazujecie taki mroczny obraz? Czy naprawdę nie dostrzegacie pozytywów? Dlaczego ta wolna przecież Polska tak wam się nie podoba?*

— Tak brzmiały pytania kilku czytelników, które zakłóciły mój wakacyjny obyczaj nie zajmowania się Polską. Po namyśle próbuję więc odpowiedzieć. *Za siebie, oczywiście, i tylko za siebie.* Nie wyklucza to podobnego myślenia i odczuwania u innych kolegów, ale to już ich sprawa.

Nie będę łagodził polemiki zwyczajowym wykrętem, że z bliska pryszcze lepiej widać, a miłość i tak trwa. To, co mi się nie podoba, to nie są bynajmniej pryszcze. Ale nie zamierzam też podejmować insynuacji, że to wolność w Polsce tak mi się nie podoba. *Nie podoba mi się, co Polska robi ze swoją wolnością.*

W roku 1989 kraj odniósł wielkie zwycięstwo i był tego świadomy. Po trzech latach ma poczucie jeśli nie klęski po prostu, to zagrożenia klęską. Czy mam raz jeszcze przytaczać wyniki kolejnych ankiet i sondaży? Można, oczywiście, twierdzić, że takie są normalne koleje wielkich zwycięstw, zwłaszcza nieoczekiwanych i nieprzygotowanych, przyrównywanych do cudu: pośród cudów rozkwitają najbujniejsze nadzieje, a kiedy cuda się kończą, tym szybciej więdną i gniją. Ale nawet jeśli jest to „normalne", nie musi się podobać. Zwłaszcza zaś nic w tym względzie nie usprawiedliwia elit, które zamiast temu fenomenowi przeciwdziałać, usiłowały przez bez mała trzy lata płynąć na fali, najpierw obiecując już po pół roku kuracji szokowej zdecydowaną poprawę, a potem, gdy poprawy nie było, organizując różne zastępcze i fikcyjne przyspieszenia. Dopiero ostatnio, z nastaniem gabinetu Suchockiej, i rząd, i prezydent przestają

„grać na cud" i obiecywać szybkie sukcesy. Bardzo pozytywna zmiana, choć szkoda już została wyrządzona, zniechęcenia i nieufności posiano znacznie więcej niż to było nieuniknione. Co gorsza, pokusa propagandy sukcesu bynajmniej nie znikła, zwłaszcza w plemieniu doradców, które się rozpleniło ponad wszelkie potrzeby: pani premier towarzyszy ich cały tabun, z posłem Syryjczykiem na czele, a każdy koalicyjny minister też ma swoich. Doradcy, jak kanie na deszcz, czatują na każdą najdrobniejszą oznakę poprawy i natychmiast przekazują dalej, nawet bez sprawdzenia. A media są podatne. Nie tylko telewizja i radio, gdzie rzeczywistej wolności opinii pozostało tylko tyle, ile prześwitów w kłębowisku politycznych wpływów i ingerencji Belwederu, URMu, kurii itd. Również prasa pisana, z najpoważniejszymi dziennikami i tygodnikami włącznie, jest dezinformowana i manipulowana z dużą dezynwolturą: naiwność młodych dziennikarzy współgra z mniej czy bardziej skrytym „sponsorowaniem" tekstów*. Nie to wszakże jest najistotniejsze. Nawet rezygnując z „gry na cud" nasi reformatorzy u władzy nadal *nie chcą przyjąć jedynej strategii reform, która mogłaby uczynić polski kapitalizm strawnym dla ludzi pracy: strategii minimalizacji kosztów społecznych przebudowy.*

„Można powiedzieć (pisze Waldemar Kuczyński w *Polityce* z 10. X. 1992), że przejście od jednego do drugiego ustroju gospodarczego powoduje nieuchronne zniszczenie części wcześniejszych sił wytwórczych, że kosztem tego przejścia staje się częściowa dezindustrializacja kraju. Długofalowy interes wszystkich wskazywałby na jak najszybsze fizyczne zlikwidowanie tych pól martwicy gospodarczej. Powstałaby przez to większa przestrzeń dla sprawnych podmiotów ekonomicznych".

Kuczyński jest, jak widać, nienasycony. Ale i tak nie jest źle:

„Nie będzie cudu nagłej ulgi. Mija trzeci rok, gdy żyjemy w odmienionej codzienności ekonomicznej. Ona jest inna niż ta poprzednia, ale to jest codzienność, a nie poczekalnia. W swych podstawowych zarysach będzie ona trwałym kadrem, w obrębie którego potoczy się nasze życie społeczne i osobiste. Tę codzienność można wzbogacać, ubarwiać, ulepszać, tak jak to od dawna robiły i robią społeczeństwa i narody, o których mówimy, że im się udało. To jest wszystko, co można zrobić".

Artykuł Kuczyńskiego nosi polemiczny tytuł „Nadzieja na łatwiznę". Jak widać, deklaruje on istotnie koniec zabawy w cuda. Ale jest to deklaracja dumnego ze swych dokonań weterana: wielka kampania jest skończona, doprowadziliśmy historię na właściwy brzeg. Rewolucja się dokonała, reszta to codzienność. Może tylko trochę żalu, że ta rewolucja nie była dość radykalna, nie wszystkie „wcześniejsze siły wytwórcze" zostały odpowiednio prędko dorżnięte...

To są bardzo smutne żarty i o tyle zbyt łatwe, że Waldemar Kuczyński jest człowiekiem prostodusznym. Z tekstu mistrza, np. wykładu inaugurującego Leszka Balcerowicza, 30 września w SGH w Warszawie, nie byłoby tak łatwo dobrać cytaty. Ale, niezależnie od poziomu, u wszystkich naszych reformatorów ze szkoły liberalnej (w szerokim rozumieniu) obowiązuje ta sama *odmowa minimalizacji kosztów. Dlatego właśnie są oni tak niechętni dyskutowaniu rozwiązań pośrednich.* A nie jest to bynajmniej sprawa bezinteresownych postaw intelektualnych. Bardzo wiele z owych przeznaczanych na złom sił wytwórczych można byłoby ratować i uratować: gdyby umożliwić przedsiębiorstwom sfinansowanie drobnych często modernizacji i adaptacji (tymczasem ponad 5000 przedsiębiorstw utraciło do października zdolność kredytową!), gdyby zadbać o poprawę zarządzania jeszcze przed prywatyzacją, gdyby prowadzić politykę przemysłową (a nie tylko „obsadzić" ministerstwo przemysłu) i gdyby w ogóle przyjąć, że na rynku, również światowym, utrzymują się nie tylko najlepsi, najwydajniejsi, sami leaderzy, lecz również zwykli przeciętniacy. Pod warunkiem właśnie, już nie że się im pomaga, ale że się ich nie dorzyna w imię rewolucyjnych ideałów, tym razem powszechnej i generalnej prywatyzacji. Na złom idą nie tylko maszyny. Na złom idą ludzie. Oni też są „siłami wytwórczymi". Sprawa jest wprawdzie

* Zwłaszcza w ostatnich miesiącach starano się przekonać opinię, że „właściwie" już wychodzimy z recesji, co miało oczywiście osłabić nacisk na rząd, by coś w tym kierunku istotnego zdziałał. Głównym argumentem jest, jakoby produkcja przemysłowa „zaczęła wzrastać", „przestała spadać" lub „obniżała się już tylko bardzo powoli", przy czym niezdecydowanie propagandystów bierze się stąd, że zauważone od kwietnia drgnięcie wskaźników jest tak nieznaczne, iż nadal nie wiadomo, czy to nowy trend czy zaledwie chwilowa oscylacja. Inny temat, to poprawa notowań Polski i polskiego rządu na Zachodzie. Jest to fakt niewątpliwy i, zwłaszcza po doświadczeniach z gabinetem Olszewskiego, najzupełniej zrozumiały, w jakim stopniu można jednak na tym budować, to zupełnie inna sprawa. Tak np. min. Osiatyński powrócił z sesji MFW w Waszyngtonie „cały w skowronkach": Fundusz jest wręcz nami zachwycony i na pewno złego słowa nie powie na konieczność przekroczenia deficytu budżetowego. Rozumiemy, że ministrowi, który się właśnie szykuje do poinformowania, że deficyt wyniesie nie 5 lecz 8 procent produktu narodowego brutto, są takie skowronki potrzebne. Ale jak wygląda wiarygodność jego własnej koalicji i własnego resortu, które z końcem 1991 zapewniały, że MFW niczego takiego nie zniesie? A już zupełnie niepoważnie wygląda, kiedy sekretarz NATO, Manfred Werner, przyjmuje nas do Paktu. W Brukseli zapewnił on premier Suchocką, że *gdy tylko NATO zacznie przyjmować nowych członków*, Polska będzie kandydatem „jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym". W polskim Radiu zrobił się z tego *news*, że za pięć lat będziemy w NATO. I niech Parysowi zmarzną uszy, kiedy nazywa rząd Suchockiej — „rosyjskim". I tak dalej.

nieco niejasna, bo zarazem właśnie ludzie, ich siła robocza, kwalifikacje, umiejętności czynią ponoć z Polski teren inwestycyjnie opłacalny, o wysokiej efektywności nakładów... Nie mniej, mamy 2,5 miliona bezrobotnych, 13 procent zawodowo czynnych, płace realne spadają nadal, zabezpieczenie społeczne jest coraz szybciej demontowane, choć zarazem jest w coraz głębszym deficycie, bo rosną lawinowo koszty opieki społecznej i maleją wpłaty na ZUS. Ale polemika z egalitaryzmem nie ustaje. I, oczywiście, pochwała nowych szans wg Balcerowicza (wspomniany wykład cytuję za *Rzeczpospolitą* 9. X. 1992) „mamy do czynienia z pewną nową stratyfikacją, na tych, którzy są w stanie lepiej wykorzystywać nowe możliwości, i na tych, którzy są w stanie je wykorzystywać gorzej. Ci drudzy, rzecz normalna, przeżywają coś, co można nazwać koszmarem psychicznym, którego źródłem jest niełądne, ale ludzkie uczucie: zawiść". Można by zwrócić uwagę mistrza na trzecią jeszcze kategorię, tych, którzy w ogóle nie są w stanie „wykorzystywać nowych możliwości", ponieważ ich nie mogą dosięgnąć, i nawet osądzić, że u nich pierwszym ludzkim uczuciem, też niełądnym, jest rozpacz. Ale unikajmy tego tonu. Balcerowicz, podobnie jak uprzednio Kuczyński, też ma swoją rację. Nowe możliwości są i nowa klasa średnia rzeczywiście się rozwija, choć w naszych warunkach bardzo jeszcze niestabilnego i źle zinstytucjonalizowanego rynku, sukces jest częściej dziełem przypadku niż zasługi. (Weberowskie tezy o źródłach kapitalizmu nie znalazłyby u nas potwierdzenia wcale nie dlatego, że Polska jest krajem katolickim). Ale problem politycznie najbardziej istotny tkwi gdzie indziej. Nowe szanse są konstruowane, jako szanse wyłącznie indywidualne. Samorząd robotniczy jest już skazany na zagładę; jeśli przejdzie aktualna koncepcja z „paktu dla przedsiębiorstw", zniknie on w 1994 roku w ogóle. Samorząd terytorialny jest wprawdzie niezagrożony, ale jako ciało społeczne funkcjonuje wyłącznie w gminach bardzo małych; w miastach, zwłaszcza dużych, jest tylko administracją, lepszą lub gorszą. Spółdzielnie są solą w oku szkoły liberalnej: coraz to powtarzają się próby ich „uspółkowienia". Nawet związki zawodowe, łącznie z tym, z którego ta Trzecia Rzeczpospolita dopiero co wyrosła, większość klasy politycznej akceptują tylko, by strawestować Dickensa, w thatcherowskim sensie. (Z tego punktu widzenia należy bacznie śledzić losy paktu dla przedsiębiorstw, bowiem od szczegółowych rozwiązań ostatecznie przyjętych będzie zależał jego sens: albo związki uzyskają rzeczywiście głos w decydowaniu o polityce przemysłowej i strategii przedsiębiorstw w zamian za wsparcie pokoju społecznego albo zostaną po prostu spacyfikowane za cenę posad dla aktywistów i udziału w klasie politycznej. Pewna część krajówki i prezydium NSZZ „Soilidarność" dąży dziś wprost do utworzenia własnej partii politycznej).



Cóż jednak złego w takim indywidualizmie szans w nowej Polsce? We współczesnej cywilizacji zachodniej awans indywiduum jest powszechny, z Kartą Praw Człowieka włącznie. Każdy kowalem swego losu...

Otóż społeczeństwo indywidualistów nie może funkcjonować demokratycznie poniżej pewnego poziomu materialnego, pewnej dość znacznej nadwyżki, która pozwala mu amortyzować konflikty pomiędzy jedynymi wspólnotami, które dopuszcza, tymi mianowicie, które służą obronie indywidualnego wyróżnienia: własności, przywileju, monopolu, godności, statusu... Polska tego warunku nie spełnia i długo jeszcze nie będzie spełniać. Natomiast „dobro zastępcze", które pozwoliło nam przynajmniej demokrację skonstruować — Solidarność jako ruch i jako etos — zniszczyliśmy sami. W aktualnej atmosferze społecznej zostaje z niej, w najlepszym razie, zdolność do współczucia i akcji charytatywnej. I skłonność do żebraniny.

Jak zatem utrzymać w ryzach dopiero co wypromowanych indywidualistów?

Mówi Jan Rokita, minister, dyktator URM-u, jeden z autorów obecnej koalicji rządowej (wywiad dla *Gazety Wyborczej*, 22. IX. 1992):

„Na polskiej scenie politycznej występują dwa podziały. Po pierwsze, podział na zwolenników nowoczesnego liberalnego społeczeństwa oraz zwolenników tradycji narodowej, tradycyjnego katolicyzmu, tradycyjnej obyczajowości, silnych wpływów Kościoła. Po drugie, podział na te ugrupowania, którym zależy na reformie państwa, odbudowie jego struktur organizacyjnych i na ugrupowania ciągle destabilizujące scenę polityczną, odwołujące się do społecznego niezadowolenia, frustracji, biedy. Ugrupowania, które w takiej czy innej postaci próbują „wygrać" hasło 'komuno wróć'.

Dla mnie pytanie o przyszłość Polski to pytanie o to, który z tych dwóch podziałów stanie się osią politycznego sporu. Jeśli ten pierwszy — grozi nam wojna religijna, zahamowanie procesu reform i ostry konflikt społeczny. Chciałbym, żeby osią podziału stali się z jednej strony ci, którzy reprezentują opcję propaństwową, a z drugiej ci, których nazwałbym anarchistami".

W nieco innej terminologii, ale szczerze i bystro, minister Rokita odpowiedział więc na nasze pytanie: indywidualistów z Trzeciej Rzeczypospolitej (liberałów, frustratów, komuno-wróć, anarchistów) utrzyma w ryzach mocne państwo, któremu ideowego spoiwa dostarczy „tradycyjny narodowy katolicyzm". Chciałbym bardzo mocno podkreślić ten właśnie sens deklaracji wpływowego ministra. Sprawę zazwyczaj przedstawia się tak, że to ZChN i inne formacje katolickie wciągają Kościół w grę poli-

tyczną, a hierarchia ulega, tak namawiana, własnym ciągotom do władzy. Mała zaś koalicja ustępuje w imię stabilności państwa. Otóż okazuje się jak na dłoni, że ekipa premier Suchockiej też liczy na polityczną i „państwowotwórczą" rolę Kościoła, sądząc najwyraźniej, że w Polsce AD 1992 państwo mocne i sprawne musi być katolickie. Zapewne, zarówno w Unii Demokratycznej jak i u liberałów są znaczne odłamy oporne wobec takiej strategii, ale też jedni i drudzy są obiektem całkiem zręcznej akcji neutralizującej i eliminacyjnej. Złotą Palmę za umiejętną grę polityczną w r. 1992 powinien otrzymać Aleksander Hall, chyba że Lech Mażewski z Kongresu Liberałów wydrze mu ją przed końcem roku. Hall, znakomicie manewrując, uniemożliwił koalicję z PSL i przyciągnął ZChN, pozwalając na premierostwo Suchockiej, po czym opuścił Unię, świadomy m.in., że jego dalsze przebywanie w partii zantagonizowałoby do reszty unijną większość i spowodowało upadek koalicji. Natomiast jako Konwencja Polska, nowa partia „konserwatywno-liberalna" z chrześcijańskimi wartościami, Hall i jego ludzie mogą zachować kluczową rolę pośredników pomiędzy Unią i ZChN, a zatem pozostają zwornikiem koalicji rządowej. Mażewski z kolei doprowadził już do przewrotu w klubie parlamentarnym liberałów, eliminując „gdańszczan" J.K. Bieleckiego, i teraz podobno szykuje się rozłam w partii, w imię „liberalizmu państwowotwórczego".

Ostatnie tygodnie przyniosły wiele dowodów, że wzmacnianie państwa przy udziale Kościoła będzie oznaczało jego wyznaniowość, bynajmniej nie tylko symboliczną, i także ideologizację. Świadczą o tym poczynania programowe MEN, świadczą nieustające awantury o wpływ na media masowe. Jeszcze nie dopięto w parlamencie ustawy antyaborcyjnej — ale sprawa na tym forum wydaje się przesądzona — a już znalazł się pod ogniem rzecznik praw obywatelskich za wystąpienie przeciw osławionemu Kodeksowi Etyki Lekarskiej. Tchórzliwa postawa większości Trybunału Konstytucyjnego (7:4), który nie ośmielił się unieważnić kodeksu, mimo że stwierdził jego sprzeczność z obowiązującym prawem, wskazuje, że wkrótce trzeba będzie w Polsce znowu walczyć o niezawisłe sądownictwo. Po skrobankach przyjdzie kolej na rozwody: zapowiedziane jest już zgłoszenie wniosku o wprowadzenie instytucji separacji, takiego połowicznego rozwodu bez prawa do powtórnego małżeństwa. Rozwodu nie będzie się udzielać stronie winnej „rozkładu pożycia", jeśli druga strona się temu sprzeciwi, wystarczy separacja, czyli ta trzecia lub ten trzeci mogą liczyć wyłącznie na kocią łapę i dobrze im tak. A w telewizji oglądam tymczasem (8. X) program „Rodzina Rodzinie" w redakcji niejakiego Jana M. Jackowskiego: pary małżeńskie z buziami w ciup wychwalają wstrzemięźliwość jako najlepszą antykoncepcję, nadto zaś, zapewnia Wstrzemięźliwy, nigdy tak nie ceni żony jak po takiej odstawce. Program „Rodzina Rodzinie" powrócił na antenę, kiedy prezes Zaorski przeczytał w *Nowym Świecie* (z 23. IX. 1992) wywiad z jego twórcą i dowiedział się, że w TV nasilają się procesy antyewangelizacyjne. Dowód koronny: „Ojca Świętego pokazuje się znacznie mniej niż w schyłkowym okresie komunizmu".



Upór z jakim Kościół w Polsce posługuje się narzędziami państwowymi, aby ingerować w najbardziej intymne sfery życia obywateli, nie wróży dobrze przedsięwzięciu Jana Rokity kiełznania anarchicznych skłonności Polaków-indywidualistów. Mało kto już pamięta, że odwilż w Polsce zaczęła się w ZMP, kiedy młodzi ludzie odmówili partii prawa zaglądania im do łóżek. Tymczasem niech nam będzie pociechą, że nie tylko o łóżka chodzi. *Gazeta Poznańska* donosi (6. X), że nie będzie stacji benzynowej ESSO przy wylocie na Środę Śląską, bo ponoć zasłaniałaby widok na katedrę, kuria się sprzeciwiła. Mam nadzieję, że Gawronik, wspólnik ESSO, nie za to poszedł siedzieć...

●

Najpierw krzewimy liberalizm. Za każdą cenę. Doprowadzamy ludzi do rozpaczy, tych właśnie i tych najpierw, którzy wynieśli nową władzę. Zdaniem Bronisława Geremka (*Polityka* 10. X. 1992) trudno będzie „uzyskać przyzwolenie dla reform ze strony wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, w środowisku której narastają frustracje wykorzystywane przez politycznych demagogów". Nikt jakoś z rządzącej elity nie umie bądź nie chce zauważyć, jak bardzo rozsądna i spokojna jest ta sfrustrowana klasa, jak uporczywie szuka ratunku dla swoich miejsc pracy, jak bardzo chce się czuć odpowiedzialna za zakład... Rządzący widzą anarchię (poprzednio tylu anarchistów było w Polsce w 1982, w stanie wojennym, w audycjach Jerzego Urbana). Wzmacniają państwo przeciw anarchii. I za to oddadzą liberalizm, od którego zaczęli.

To jest właśnie ów użytek z wolności, który mi się nie podoba.

W-wa, 11. X. 92

*Krzysztof WOLICKI*

# O warszawskim Pałacu Kultury

*Wstęp:*

Jestem architektem-urbanistą*. Mieszkam na innej niż Polska półkuli i nie wiem, czy zauważono i jak przyjęto w Polsce — w Warszawie — nowe projekty urbanistycznego rozwiązania centrum stolicy — wynik niedawno rozstrzygniętego konkursu. Czy się o tym pisze, mówi, chwali, gani?

Sam o konkursie dowiedziałem się zbyt późno, aby wziąć w nim udział. Ale jako „zawodowca" w tej dziedzinie, przywiązanego do Polski i nawet do samej Warszawy korci mnie, aby swoje trzy grosze na ten temat wtrącić. Więcej... boję się tu, jakby, o... Warszawę. Jednocześnie zaś wydaje mi się — znowu może jako zawodowcowi — że to co chcę wtrącić jest tak oczywiste, że prawie zbędne (za tę oczywistość krytycznych kolegów przepraszam), ale jednak „obowiązkowe do poruszenia": czytaj niżej.

●

Zaczynam od cytatu:

Mówi Samuel Beckett o powołaniu pisarza, twórcy, artysty: [dziś] „nie ma [twórca] nic do wyrażenia, nie ma czym wyrażać, nie ma z czego wyrażać, nie ma siły, żeby cokolwiek wypowiadać — wyrażać, nie ma pragnienia, aby wyrażać, a jednak ma obowiązek wyrażania[1]..." Tak, OBOWIĄZEK wyrażania!

To rozpaczliwe wołanie jednego z ostatnich laureatów Nobla stało się też jednym z haseł ortodoksyjnego „post-modernizmu".

A ów obowiązek wypowiadania czegoś, co nie istnieje, krystalizuje się, czyli znowu WYRAŻA się w kulcie absurdu, kpiny, karykatury, zgrzytania nożem po talerzu, wsadzania szpilek w zadki czytelników, słuchaczy, czy widzów. Jedni robią to z perwersyjną świadomością, zawiadamiając słuchacza-czytelnika, że „Godot nie przyjdzie[2]" albo że „pan konsul Ciumciużyński Xawery wszystkich swoją obecnością niezmiernie zaszczyca[3]..."

---

* Jerzy Sołtan jest architektem-urbanistą, emerytowanym profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i Harvard University w Cambridge, USA.
Fragmenty tego artykułu ukazały się w nrze 190-tym *Gazety Wyborczej*.

1. „Samuel Beckett" A. Alvarez, N. York 1973 w: „Three Dialogues with Georges Duthuit" — tłumaczenie J.S.
2. Samuel Beckett: „Czekając na Godota".
3. Witold Gombrowicz: „Transatlantyk".



Inni kultywują ten rodzaj absurdu, bo wydaje im się to bez większego pomyślunku po prostu... MODNE.

Malarz Marcel Duchamp domalowuje z triumfem wąsy i brodę Leonardowskiej Mona Lisie, austriacki architekt Hans Hollein proponuje drapacz chmur w postaci srogiego fallusa.

●

Kiedyś postawili Rosjanie w środku Warszawy na Placu Saskim dowód swojej obecności. Reprezentantem kultury reżimu był wtedy przeogromny, „ichni" kościół, świątynia, sobór.

Pamiętam dobrze Sobór Warszawski i nawet siwe mundury marszałków Focha i... Piłsudskiego na jego tle — w paradę 3-ciomajową.

Polacy, gdy tylko mogli, budynek ten zlikwidowali.

W pół wieku później, czy trochę więcej niż pół, Rosjanie zafundowali Polakom nowy prezent. Kultura ich wyraziła się tym razem jeszcze bardziej bezpośrednio — wyraziła się bowiem w postaci Pałacu... KULTURY.

Mało wiedziano, że prototypu pałaców rosyjsko-sowieckich stawianych tu i tam na „ich terenach", w „sowieckim świecie", należy szukać w Chicago, gdzie taki to drapacz chmur — wzór dla rosyjskich — zbudowała sobie firma Wrigley.

Jeszcze mniej wiedziano, że monument ten zawdzięcza ludzkość wynalezieniu i powodzeniu GUMY DO ŻUCIA. Tak! Tej popularnej dziś gumy „Wrigley Chewing Gum".

Wydaje się, że nowy prezent sowiecki — Warszawski Pałac Kultury — nie ma pójść w ślady swego poprzednika. Nie słyszałem nic o jego zgoleniu. Może to i słuszne. Ale zadziwia myśl, że na konkursie architektoniczno-urbanistycznym zorganizowanym, żeby jakoś te tereny Warszawy dookoła budynków pałacowych zagospodarować — pierwszą nagrodę otrzymuje projekt, który nie tylko budynek ten zachowuje, ale oddaje mu poczesne — nie tylko poczesne — daje wiodące miejsce... Więcej — cały projekt osnuty dookoła tego budynku elokwentnie, czy nawet gadatliwie wyraża — urbanistycznie biorąc, przy pomocy wypróbowanych środków — hołd tworowi, który niejako wszystko w tym kawałku terenu inicjuje — hołd Pałacowi Kultury.

Próbka kultury rosyjsko-carskiej — sobór na Pl. Saskim — zniknęła.

Próbka kultury rosyjsko-sowieckiej ma być gloryfikowana.

Czy to surrealizm? Czy to bolesna odmiana post-modernizmu absurdalnego? Granie na nosie? Owe szpilki w zadki widzów...?

Ale jak naprawdę myślą i czy w ogóle kategoriami tymi myślą i czują autorzy urbanistycznego projektu, a także sędzio-

wie, którzy ten projekt wybrali, nagrodzili?

Czy projekt ten wyraża FILOZOFIĘ, czy też może po prostu tylko MODĘ?

Oto stoi ów palant — Pan Konsul Ciumciużyński Xawery — w środku biednej Warszawy i wszystkich dookoła siebie swoją obecnością niezmiernie... zaszczyca i nawet sobie samemu całe otoczenie podporządkowuje. Ale uwaga! Warto pamiętać, że kpinę napisaną, zagraną, namalowaną, czy nawet wyrzeźbioną można z czasem, po nasyceniu i po przeminięciu mody, schować i zapomnieć. Ale kpinę wybudowaną — urbanistycznie zainwestowaną (ohydne słowo) — trudno zmienić, czy nawet poprawić. Bo w tym nagrodzonym projekcie absurd to nie samo *pozostawienie* Pałacu K. Absurd to podporządkowanie całego dużego prze-cennego szmatu terenu poza samym pałacem prawom kompozycji, wyłącznie wizualnej i do tego kompozycji boleśnie i nieubłaganie wyrażającej kult CZEGOŚ — co przecież na tę czołobitność nie zasługuje. Czy kpiną ma być nieubłagana centralność, symetryczność, osiowość proponowanej kompozycji wobec budynku Pałacu Kultury? Poprzez tysiąclecia zastosowane tu środki kompozycyjne służyły do wyrażenia szacunku dla spraw uznanych za wielkie. Znaleźć je można w kulturach Egiptu, Mezopotamii, Indii, Chin, pre-kolumbijskiej Ameryki, Grecji czy w „naszej" całej kulturze europejskiej: od placu i założenia bazyliki Św. Piotra do założenia Pałacu Wersalskiego. Czy wreszcie w „nowej" Ameryce do całego systemu urbanistycznego dookoła Parlamentu — Kapitolu — stołecznego Waszyngtonu. W warszawskim projekcie rolę Świętego Piotra (Rzym), Ludwika króla-Słońce (*Roi-Soleil*) — (Wersal), czy wreszcie rolę symbolu demokracji — (Waszyngton) — oddano rosyjsko-sowiecko zrozumianemu symbolowi kultury, a właściwie symbolowi rosyjskiej obecności w Warszawie... Bolesław Chrobry „bił w Ossę i Salę żelazne słupy". Czymże jest właściwie rosyjski Pałac Kultury postawiony „nad... Wisłą"?

●

A teraz trochę spraw mniej ezoterycznych — bardziej przyziemnych — praktycznych. Układ proponowany w nagrodzonym projekcie dookoła głównego budynku ustala na długo — na stulecia — sposób traktowania najcodzienniejszych elementów życia ludzkiego w sposób dla tych elementów obcy. Wszystkie instalacje POD-ziemne, NA-ziemne i NAD-ziemne — wszystkie sieci instalacyjne, nawet sam kształt budynków opasujących jak jakiś gigantyczny obwarzanek twór centralny — tę obcość głosi.

W małych drapaczkach dookoła dużego drapacza specjaliści



od mieszkań czy od biur, czy co tam jeszcze może się pojawić, jacyś „specjaliści od higieny życia codziennego" i specjaliści od „higieny miejsca pracy" będą musieli uprawiać projektową karkołomną gimnastykę, aby wcisnąć w nie jakoś niby logicznie niby „funkcjonalnie" tysiące tych nieszczęsnych biur, handelków czy mieszkań. Nawet baron Haussmann dokonując za czasów cesarza Napoleona III bolesnych operacji chirurgiczno-urbanistycznych na ciele Paryża starał się nie narzucać swoim następcom-architektom zbyt trudnych, czy zgoła niemożliwych do rozwiązania łamigłówek w postaci planów w nowo-powstałych blokach ulicznych. Natomiast rosyjski „palant", geometrycznie prosty, względnie łatwy do zagospodarowania, otoczony ma być polskimi labiryntami po to przecież tylko, aby go permanentnie uświetnić.

Tak, po to tylko... bo przecież jeśli chodzi o odczytanie tej architektoniczno-urbanistycznej ironii, goryczy, która mogłaby służyć DZISIAJ za umotywowanie tej a nie innej postawy przy tworzeniu a potem przy wybieraniu tego a nie innego projektu do nagrodzenia — to traci ona zupełnie sens dla JUTRA, bo czyż nie jest ona tylko pewnym chwilowym nasileniem słabości, która przez dzieje całego rodzaju ludzkiego stale się przewija i której to postawy nie ma powodu na długie może wieki zamrażać. Jutro kpiny nikt nie odczyta. A jeśli nawet w przyszłości jakieś społeczeństwo zamieszkujące dawną Warszawę zdecydowałoby się budynek Pałacu Kultury zlikwidować, o jakże trudniej niż z samym budynkiem będzie temu społeczeństwu uporać się z wieżami, które omawiany tu projekt miasta narzuca.

Podsumowuję: — Zarówno od strony „filozoficznej", formalnej, od strony tzw. architektoniczno-urbanistycznej treści wyrazu, jak i od strony ściśle „funkcjonalnej", tzw. realiów miejskiego planowania, a więc „służenia codziennemu ludzkiemu życiu" — projekt omawiany nie powinien być WEDŁUG MEGO (SKROMNEGO) ZDANIA realizowany.

Podejrzewam, że na to aby należycie oprawić warszawski Pałac Kultury powinno się użyć konstrukcji fizycznie większych niż on sam. Nie jest to tak trudne — Pałac Kultury nie jest przecież, na dzisiejsze światowe stosunki, wcale duży. Tym nowym konstrukcjom, czy tej jednej pokaźnej bryle wypadnie nadać może te formy kompozycyjne, hieratyczną symetrię, osiowość... które w nagrodzonym projekcie zostały zastosowane, żeby (może nieświadomie) uczcić coś, co powinno się przecież zignorować, niejako zbagatelizować, czy nawet ośmieszyć.

Cambridge, Massachusetts, lipiec 1992

*Jerzy SOŁTAN*

P.S. Za pomoc w przygotowaniu tego tekstu dziękuję p. Dorocie Rola.

# Z ukosa

We wrześniu znowu polskie nastroje społeczne zsuwają się w dół, o czym mówią badania opinii publicznej. Zapewne jesień? W końcu cały ten obszar Europy zanurza się w jesieni jak wielka łódź podwodna w szerokim oceanie. Zmiany klimatyczne zabrały nam śnieżną zimę, chyba już na zawsze. A brak bieli śniegu zmienia ten czas na czyśćcowy. Badania opinii wskazują, że we wschodniej Europie ludzie mają wszystkiego dosyć, co jest stwierdzeniem nie naukowym, ale przecież wszystkie naukowe określenia i przewidywania zachowań społeczeństw ponoszą klęskę całkowitą. Największa porażka lat ostatnich to pełne zaskoczenie rozpadem sowieckiego imperium dla setek bardzo naukowych instytutów, dla supertajnych wywiadów, specjalistów dwupłciowych i dożywotnich. Ale jako, że nie inaczej zaskoczyły niegdyś wszystkich dwie wojny światowe — czyli jest to żelazna prawidłowość, która gwarantuje podniecający niepokój — co to znowu nam spadnie jutro na głowę? Bez tego życie, chociaż bezpieczniejsze, byłoby bez smaku. Zaś możliwość dokładnego przewidywania to zarazem możliwość równie precyzyjnego manipulowania i sterowania, więc powinniśmy się cieszyć, że świat nam się jednak z rąk nieustannie wymyka. Przecież równie nieustannie jest w nieodpowiednich rękach.

Kiedy patrzę na mapę Europy Wschodniej ogarnia mnie nagle poruszenie. Ależ tam pokruszyła się ta skała tuż obok Polski. Wykruszyła się Ukraina, Białoruś, Litwa, potem coraz mniejsze kamyczki Łotwy i Estonii. I rozsypały się granice.

Wracam do domu, ale nie zastaję swojego syna, tylko kartkę od niego, widać że pisaną w wielkim pośpiechu, bo ostatnie słowa rozciągnęły się jakby biegły za nim. Pisze, że wróci pojutrze o świcie, bo nagle wpadł na pomysł by pojechać z kolegami do Pragi czeskiej, na piwo.

Rośnie nam pod bokiem, i przerasta nas w niejednym wymiarze nowe pokolenie, komputerowo-telewizyjne, może mniej zanurzone w myśli śródziemnomorskiej, ale za to bardziej zdroworozsądkowe, a tego jak się wydaje Polsce brakuje szczególnie. Wielu z tych młodych wyjedzie na zawsze, ale bardzo wielu zostanie, nie z konieczności, z wyboru. Będąc dużo poza granicami Polski nieustannie obserwuję jak wzbiera fala powrotów, również bardzo młodych ludzi, nawet takich co wyjechali będąc małymi dziećmi. Jeśli Polska trochę mocniej osiądzie na kapitalistycznym fundamencie, te powroty przybiorą na sile. Będzie to dla nas potężny zastrzyk Europy. Mój syn spędził dwa lata na Zachodzie i miał dosyć. Wrócił w pośpiechu i niemal w panice. Przypomniał mi Prosiaczka z „Kubusia Puchatka", który umyty złośliwie przez mamę kangurzycę, puszczony wolno toczył się jak kulka w błocie, by odzyskawszy swój kolor i zapach poczuć, że nareszcie znowu jest sobą i u siebie. Ucieszyłem się. Piszę okropne rzeczy o Polsce, ale nigdzie indziej nie chcę mieszkać, i chciałbym aby on też tu żył. Mój gniew w dużej mierze, podejrzewam, z zawiedzionej miłości i pewnie dziur w głowie. Któż ich nie ma na tym obszarze, gdzie kolejne powstania, wojny i zapaści szarpały dusze i twarze. W jednym z listów, który mi syn przysłał po powrocie do ojczyzny, (z której ja z kolei znowu wyjechałem) pisał, nawiązując do tekstu Lema — „generalnie wydaje mi się, że Lem ma rację — ten kraj uratować może jedynie nowe, moje pokolenie. My nie jesteśmy już tak ksenofobiczni, jest większa tolerancja (mówię głównie o miastach) co widać na przykładzie traktowania chorych na AIDS. Faktem jest, że żyjemy już w Europie, nie to co wy. Do Polski docierają zachodnie filmy w ciągu kilku dni, sklepy już się prawie nie różnią. Nie mniejsza jest możliwość wyjazdów, znajomość angielskiego, nie mamy też takich kompleksów jak wy macie. Wciąż pozostaje polska nędza, głupota i chamstwo". Kiedyś to bezczelne wypominanie kompleksów i podział tak brutalny na my-wy, rzuciłby mnie w objęcia rozpaczy, teraz łączę z tym pewne nadzieje.



A dorośli bawią się w politykę. „Samoobrona chłopska" i KPN otwierają u nas nowy rozdział polityczny, używając wobec siebie siły fizycznej. To o tyle ciekawe wydarzenie, że dotychczas mimo nieustannych gwałtów słownych nie dochodziło jeszcze do rękoczynów. Jak na razie piorą się po gębach tylko dwie skrajności.

Rząd, takim cudem zlepiony, cudownie się trzyma. Strajki to gasną, to znowu płoną, czy to od nich zapaliły się prawdziwe lasy na Śląsku? Zwalony w gruzy rząd Olszewskiego tworzy nową formację prawicową „Koalicja dla Rzeczypospolitej". Nad ich głowami powiewają sztandary ze słowami: lustracja, dekomunizacja, prać KORowską lewicę, naród tak, kościół i rodzina tak, a Europa nie!

A prosty człowiek, do którego piersi przykładam ucho, nic z tego nie kapuje i tylko mruczy: „to już komuna była lepsza i wszystko, panie, co jest otwierane, jest święcone".

Prasa nasza jest jednym wielkim lamentem. Oto na jej łamach Aleksander Małachowski szepce: „sporej części naszej klasy politycznej trzeba niestety i z wielką goryczą, wręcz z rozpaczą — powiedzieć, że utraciła rozum. Tak, zwyczajnie utraciła rozum. Przestała się dla tych ludzi liczyć Polska. Ważniej-

sze są ich własne interesy polityczne, ich pycha, ich maniakalne szukanie upiorów przeszłości". Podał mu dwie ręce znany pisarz Andrzej Szczypiorski i tańczą obaj złowróżbnie przytupując, ale Szczypiorski nie szepce, krzyczy. „Nasza klasa polityczna robi wrażenie chorej na umyśle. Ci ludzie zachowują się tak, jakby to nie oni byli dla Polski, ale Polska dla nich. Rzeczywistość już do nich nie dociera..." Potem ton się wzmacnia, chociaż aż trudno uwierzyć, że można to wszystko wyśpiewać na jednym wydechu: „stali się czeredą błaznów, upiorów, pętaków... (...) coś pośredniego między rzeźnią i burdelem, speluną i kapliczką, domem wariatów i kryminałem, to nie jest farsa, to szaleństwo!".

Obaj, Małachowski i Szczypiorski, są posłami, codziennie chodzą korytarzami tego szpitala psychiatrycznego, który nazywa się parlamentem. Chodzą nie jako chorzy, ale lekarze. Ale kto teraz zagwarantuje, że nie udają? Już nigdzie nie ma jasności. Prasa odkryła, że narodziła się u nas formacja histeryczna. Więc już wiadomo, co jest po drodze między socjalizmem a kapitalizmem, jest histeria.

Krytycyzm nas samych wobec samych siebie zaczął jednak przybierać niepokojące rozmiary. Gdzieś na biegunie, jak echo, są też rojenia maniakalno-wielkościowe, ale to tylko chorobliwa rekompensata poczucia niższości. Jako, że często jestem skazany tylko na prasę, nie na dotykanie i wąchanie realnego kraju, to muszę przyznać, że obraz jaki się wyłania z gazet jest przerażający, a rzeczywistość, którą potem zastaję, tylko bardzo niepokojąca. Niestety podobnie przerażający jest potem ton moich tekstów oraz innych tekstów nie tylko w *Kulturze*. A przecież na dużym niepokoju nie musi wyrastać przerażenie. To przerażenie jest jakąś wielką prawdą o dzisiejszej Polsce, ale to nie jedyna prawda. Ja niestety, z powodu dziur w głowie, nie nadaję się, by tę inną głosić. Kto wie, czy nie powinna powstać u nas Akademia Optymistów, jakieś wysokie, dostojnie uśmiechnięte ciało, które by kształciło pragmatycznych optymistów, nie optymistów bęcwałów, bo oni tylko optymizm skompromitują. Tacy optymiści byliby do wynajęcia, jeden do *Kultury*, powiedzmy dziesięciu — co najmniej — do *Gazety Wyborczej*. Bo przecież, do diabła, jesteśmy wolni. Budujemy demokrację. I kapitalizm wedle miar XX wieku! Związek Sowiecki rozpadł się jak stary worek, z którego wysunęły się kartofle. Oprócz bólu Wielkiej Zmiany, nie ma u nas konfliktów narodowościowych, mamy przemysłową i oświatową infrastrukturę, młodzież, która posiada głowy i ramiona otwarte na Europę. Na czele rządu stoi kobieta, wybitny prawnik, do tego z Poznania. Prezydent jest z ludu, kariera jak z baśni amerykańskiej, ma wiele dziwactw i słabości, ale i pewne zalety. Właściwie więc góra symbolicznie i wiernie odbija naszą narodową masę.



Nasz pesymizm jest histeryczny, bo ogromnie niecierpliwy, z wielkimi pretensjami do siebie nawzajem i do świata. Tak, świat też jest odpowiedzialny i powinien nam pomóc. Jest tu gdzieś jakaś wielka figura romantyczna pokracznie podpierana przez nasz sarmatyzm. To wszystko teraz się przepoczwarza, przetapia w coś nowego, w nie wiadomo co.

Ankiety mówią, że we wrześniu aż 80% obywateli RP wyraża zaufanie do wojska, czyli wzrost zaufania następuje właśnie w okresie, gdy wojsko się rozpada. I aż 72% ufa policji, mimo, że to dawna milicja, a przestępczość lawinowo rośnie. Rządowi ufa 39%, a Prezydentowi 35%. Wojsko uosabia bezpieczeństwo zewnętrzne, policja wewnętrzne, te instytucje są pewnym uogólnieniem bez oblicza, gdy rządzący, niestety, kojarzą się ludziom z twarzami. (Zresztą i tak po dramatycznej zmianie rządu jego popularność wzrosła dwukrotnie). Jak się zdaje, nasza społeczność czuje ogromne zagrożenie i bardzo chce zaufać zewnętrznym i wewnętrznym strażnikom. Mimo wszystko. Te wyniki badania opinii publicznej, to jest wołanie o pomoc.

Nasz polski Sfinks? Jakie są społeczne zasoby zdrowego rozsądku, a jakie bęcwalstwa i uprzedzeń? Jedni lamentują nad stanem naszej zbiorowej duszy, inni lamentują nad tym elementem. Rozmawiałem z pewnym bardzo znanym artystą — niezwykle sugestywnie mówi o polskich upiorach, o manii mówienia źle o wszystkich, o kolorach zawiści, o maniakalnym złorzeczeniu. Uzgadniamy bez trudu, że błędem byłoby myśleć, że ci co obnażają owe słabości są wolni od nawiedzenia przez polskie upiory. A obnażają i złorzeczą na chorobę złorzeczenia niepokojąco liczni — uzgadniamy, znowu nadzwyczaj jednomyślnie i spoglądamy na siebie — nie wiem, co zobaczyliśmy w swoich twarzach, ale nasze głowy odskoczyły jak zderzone ze sobą piłki.

I oto z zupełnie niespodziewanej strony odzywają się głosy, że nasze społeczeństwo jak zagryzane przez piszących, że ci piszący zawiedli się na społeczeństwie, a przecież ono się nie umówiło ze swoimi intelektualistami, że jest mądre i tolerancyjne. Moim zdaniem umowy gdańskie były taką umową. A potem nawaliliśmy wszyscy, intelektualiści nie mniej niż inni. Ale czy mimo wszystko nie można teraz czuć rozczarowania i rozpaczy? Ciekawe, że przy okazji tych głosów uczucia narodowe wypływają na wierzch u osób, których bym nigdy w życiu nie podejrzewał, że posiadają ową substancję w stanie stężenia. Oto ci „narzekający na społeczeństwo" są piętnowani, że ich histeria obraża nasz naród, że czynią to ci, co nie rozumieją narodowego ducha, tu w domyśle, bo cierpią na upośledzenie na-

rodowe, albo z powodów genetycznych (tego na głos inteligent nie powie, chyba, że na torturach, albo w łóżku kucharce na ucho), albo z powodu rozwiązłości duchowej. Czy rzeczywiście nie ma się czego bać? Czy to co się dzieje w dawnej Jugosławii, tuż pod naszym bokiem, nie jest wystarczającą lekcją? Że u nas inaczej, bo Hitler i Stalin uczynili nas krajem prawie czystym etnicznie i mamy tolerancji tradycję? Ja bym się za bardzo nie przywiązywał do naszych tradycji, bo one są teraz druzgotane przez sytuację. I nie przeceniałbym naszej luksusowej sytuacji, bo społeczność bywa niezwykle pomysłowa w wynajdywaniu kozłów ofiarnych i zdarza się jej z braku czego innego zjadać tych, co jej właśnie zajadle bronią.

Trawestując Boya można rzec — strzeżcie się „bo paraliż narodowy najzacniejsze trafia głowy".

Rozumiem sam mechanizm, ale jednak zaskakuje mnie, jak bardzo te nasze „szaleństwa na górze" — bo przecież nie jest to wojna — nie obchodzą ludzi (którzy przy okazji w ogóle nie rozumieją decyzji gospodarczych). Nie rozumieją, a jako że nie mają wpływu na stan rzeczy, więc zupełnie się odsuwają. Jedni zanurzają się w obojętności, inni wpadają we wściekłość, bo znajdują tłumaczenie najprostsze — „szarpią się o mięso władzy, robią interesy". To nie jest cała prawda, ale jej część z pewnością tak. Ludzi żywo obchodzą sprawy gardłowe, a gardłowa jest sytuacja ich budżetów domowych. Oczywiście czasami można ugotować jakiegoś kozła ofiarnego, ale to na szczęście zaspokaja nielicznych. Czyli te wszystkie lustracyjne pomysły i dekomunizacje, to nie ogólnonarodowa potrzeba, to polowanie na siebie nawzajem w naszej wielkiej politycznej piaskownicy. Oczywiście jak się zapytać — a komunistów prać? — to sporny procent odpowie — a prać! Ale ci sami ludzie też odpowiedzą — prać nową władzę! Jest wielka potrzeba jakiegoś prania, za to że „jest nam tak okropnie ciężko i bez sensu".

Jestem przeciwny dekomunizacji z kilku powodów. Przede wszystkim nie wierzę w taką wagę, która sprawiedliwie to wszystko zważy, a ważyć niesprawiedliwie, to już lepiej tak zostawić jak jest, niech idzie w ziemię i gnije. Drugi powód jest szalenie praktyczny. Brakuje nam fachowców do tego stopnia, że każdy jest na wagę złota. Cała moralna satysfakcja z usunięcia grzesznika nie przeważy, niestety, strat jakie państwo może ponieść. Zresztą tej satysfakcji nie będzie, bo utonie w błędach i niechlujstwie tego pożal się Boże Sądu Ostatecznego nad komunizmem. Wiedzą coś o tym głównie ci, którzy pracują w konkretnych instytucjach, gdzie spotykają się z materią nową i starą. Znam zagorzałych antykomunistów, sam się do nich zaliczam, którzy będąc na froncie konkretnej pracy, odkrywają, że



wielu z dawnej nomenklatury się sprawdza. Sprawdzają się nie tylko jako fachowcy, ale, o zgrozo, i jako ludzie. Gdy dawni szlachetni nadymają się na stanowiskach jak balony. I nagle, o jeszcze większa Zgrozo, upodobniają się do naszych dawnych wrogów, powtarzają ich chamstwo, arogancję, prywatę i głupotę. Ta zmiana ról jest doświadczeniem wstrząsającym.

No tak, ale to z kolei też jest zbyt proste. Bo jak się wydaje, jednak istnieją sieci różnych związków nomenklaturowych. Czyli odpryski tego, co kiedyś nas zniewalało, dzisiaj jak złowrogi pasożyt oplatają naszą wolność. Cała prowincja się w tym kołysze jak wielka pajęcza sieć poruszana czasami wiatrem. Ale ile w tym materii postkomunistycznej, ile zwykłej ludzkiej małości i podłości, ile nędznych interesików, które korzystały nie tyle z komunizmu, co z jego pęknięć? Tak to teraz przywarło do naszego ciała, również do jego zdrowych części, że walnąć tam siekierą lustracji i dekomunizacji, to zarąbać cały organizm. Tu tylko dadzą radę naturalne mechanizmy i dobrze skonstruowane prawa. A że wielu łajdaków z tego też wyjdzie cało, no cóż, ja niewierzący nie znajdę pociechy, ale przecież w Polsce podobno jest wielka przewaga głęboko wierzących katolików. Więc czym tu się martwić, przecież na Sądzie Ostatecznym są odpowiednie urządzenia, one nie zawiodą, grzesznicy zostaną ukarani. Istna histeria, jaką rozpętały w sprawie lustracji i dekomunizacji właśnie ugrupowania powołujące się co słowo na religię, to bardzo niepokojący znak, czy aby u nich wiara nie jest podmyta niewiarą i zwątpieniem? Jak inaczej zrozumieć tak małą umiejętność wybaczania i tę dziecięcą niecierpliwość, by karę wymierzyć za życia, nawet samemu narażając się na straszny grzech złowrogiej pomyłki i niesprawiedliwej miary?

Przyznaję jednak, że nie zawsze tak myślę. No ale w końcu ja jestem bezbożnik. I czasami jak mnie grzesznego dopadnie widok konkretnej osoby, którą pamiętam osobiście, jak się nurzała po uszy w bagnie przeszłości, a dzisiaj jest pogodnie uśmiechnięta (a zdarza się, że uśmiechnięta triumfująco), to szlag mnie trafia. „Za gardło drania, i poszoł won!" — krzyczy mój gniew, i mam prawie takie rumieńce jak Maciarewicz i Parys gdy gromią lewicę. Wtedy myślę — trzeba pamiętać, trzeba przypomnieć przeszłość, odpomnieć co oni mówili i pisali w wojennym stanie, i w stanach poprzednich, ci dzisiejsi moraliści i pouczacze. Wywlec im to paskudztwo, niech je teraz jedzą. I aż trzęsę się z gniewu. Więc świetnie rozumiem pobudzenie wielu naszych polityków. I strasznie mi ciężko radzić, że jednak trzeba zapomnieć, że jak uczyliśmy się kiedyś sztuki pamiętania, teraz trzeba uczyć się zapominać. Zostanie nam dosyć nienawiści i gniewu dla wrogów dzisiejszych, czyli dawnych przyjaciół i braci. I jak się zdaje, ostrze tych nowych ustaw

ma być w nich właśnie wymierzone — trafnie to w *Kulturze* zauważył Wolicki. To ma być uderzenie nie w duchy przeszłości, ale w tę znienawidzoną solidarnościową lewicę. Ta lewica rośnie w wielu oczach, knuje różne spiski, buduje mafie. Unia Demokratyczna nazywana jest pogardliwie „Udecją" albo „śmietnikiem komunizmu". Były minister obrony Parys, obecnie aktywista „Koalicji dla Rzeczypospolitej", oświadcza, że UD to „wysługująca się Rosji partia kłamstwa i obłudy". Zresztą Prezydent, wedle niego, to też rosyjska agentura. Obiektem szczególnej nienawiści jest *Gazeta Wyborcza*. Istne dzieło diabła, a to nawet potwierdził osobiście sam Prymas. Co gorzej, dzieło doskonałe. Gazety robione przez przeciwników *Gazety* sprawiają przy niej wrażenie uczniowskich gazetek ściennych, jak więc mówić o równej walce, skoro tu maczał palce diabeł, a tam tylko nasze czyste słowiańskie głowy, takie prostolinijne i otwarte.

Ci co wolni są od szarpania za gardła współczesnych, bardzo chętnie dobierają się do upiorów przeszłości. Włażą do piwnic naszej powojennej historii i myszkują, lub raczej szczurują. Większość dawnych stalinowców odeszła z tego świata, ale niektórzy żyją. S. musiał być wtedy doprawdy młody. Dzisiaj jest znanym pisarzem, trochę za bardzo mu się za granicą powiodło, więc nie będzie mu w ojczyźnie lekko. Szczególnie, że ma pewną skłonność do pouczania, co zresztą robi z klasą. Od razu dobrał mu się do ogona młodszy felietonista, któremu stalinizm mógł tylko polizać to i owo w trakcie zmieniania pieluszek. Oczywiście były cytaty. Wniosek? Ci co się kiedyś ubabrali, niech teraz nie pouczają innych. Czyli nikt prawie ze środowiska intelektualnego, mający powyżej 60 lat, nie powinien dzisiaj komentować rzeczywistości. Niepokoi, że tak skorzy do tego wypominania stalinizmu są ci, którzy gdyby wtedy byli przy świadomości i głosie, to by dopiero nagrzeszyli. Skąd to wiem? Bo jest pewien typ osobowości, który w tamtym czasie zawsze dał się skusić diabłu. A bez diabła tych lat 50-tych w Polsce nie wyjaśnisz. Wypominanie starym stalinizmu to doprawdy rozkoszne zajęcie, co się otworzy książkę czy gazetę z tamtego czasu, już są w sieci wszyscy najwięksi. Goli jak ich Pan Bóg stworzył i w przykucu. A ja tak sobie myślę — skoro po 25 latach prawo nie ściga nawet za mord, to może byśmy przestali ścigać upadłych lat temu ponad 40? To byli inni ludzie, dosłownie. Gdyby dzisiejszego S. zamknąć z tamtym S., odbyłaby się walka na śmierć i życie, i jeden musiałby zginąć, a może nawet obaj by się zagryźli.

Jestem głęboko przekonany, że mam rację z tym przedawnieniem, ale oto przypadkiem otwieram pożółkły miesięcznik z



roku 49 i szlag mnie trafia. A więc częścią dzisiejszej terapii powinno być — pod żadnym pozorem nie otwierać zardzewiałych furtek starych gazet.

Zastraszające rozmiary przybiera plotkowanie na temat fortun, jakich się dorobili i dorabiają obecni rządzący. Królową tego złowrogiego balu pomówień zdaje się być Izabela Cywińska, której mieszkanie na Starym Mieście, rzeczywiście chyba uzyskane za kadencji, rozrosło się w społecznej wyobraźni jak baobab, na którego gałęziach stoją meble zawłaszczone w rozmaitych muzeach (pewien bardzo znany reżyser szepce mi — 1,5 miliarda złotych ono kosztowało i sama je wybierała). Nawet poczciwy, i daję głowę kryształowo uczciwy Prezydent Warszawy, Stanisław Wyganowski, dostał się na listę ważnych gości tego balu. Liberałowie już od dawna mają opinię aferzystów. Ja w to wszystko nic a nic nie wierzę, ale czasami nagle otwiera mi się jakaś wątpliwość — a nuż to prawda? I wtedy w całej nagości staje moja własna beznadziejna sytuacja mieszkaniowa, albo jakaś inna moja sytuacja beznadziejna, a przecież przygniatająca większość ludzi w Polsce jest przygnieciona takimi różnymi beznadziejnymi sytuacjami. Wieje od tych plotek jakąś duszną zgnilizną, a tym się można zarazić. Przeraża mnie powszedniość tego gadania i jego pasja, napędzana własnymi brakami i zawiścią. Więc i Wałęsie się dostaje, i coraz bardziej Kościołowi. Wygląda na to, że wszyscy wokół to mafijne dranie, tylko ten co gada jest porządny człowiek. Ja czasami nawet wtedy pytam: kto w takim razie jest uczciwy? Tu zapada kłopotliwe milczenie, bo siebie jednak niewygodnie wymienić. To wszystko łączy się z religijną niemal wiarą, że zarobić można u nas pieniądze tylko na kombinacjach, i te kombinacje oraz roztaczanie finansowych miraży zdają się być wszędzie tematem dominującym. I jak na potwierdzenie, właśnie przed chwilą wiadomość, że aresztowano Aleksandra Gawronika, jednego z najbogatszych ludzi w Polsce. Czyli otwiera swe wrota następna gigantyczna afera, która zdaje się już nie dawać żadnych szans na wątpliwości, że tam, gdzie u nas są duże pieniądze, jest przestępstwo.

Spotkania z Rosjanami. Zawsze to samo ujmujące uczucie bliskości i obcości. Doprawdy, jestem pewien, że to my właśnie możemy być pomostem między wchodem i zachodem. Bo jak most pojmiemy i udźwigniemy ich inność, a nasza odrębność pozwoli jej przejść mimo. I ponownie uderzają mnie oczy wielu kobiet z tamtego rejonu, to nie tylko Rosja, a też Ukraina, Białoruś, bywa w tych oczach takie stężenie światła, jakiego nie widać nigdy w oczach Zachodu. Gdy się ich pyta o sytuację, mówią z trudem, jakby przyduszeni wolnością, jej dłoń jest na

ich gardle. Są bezradni. To chyba rzadki przypadek, gdy tak wielka społeczność przygnieciona jest tak wielką bezradnością, nie na skutek przegranej wojny, a klęski ideologii i ekonomii. Jedną z przyczyn były niezwykłe mechanizmy obronne sowkomunizmu, które pozwalały mu żyć, gdy dawno winien był umrzeć. Więc jak i one już się rozłożyły, to był znak, że proces rozkładu doszedł do głowy. Coś podobnego było u nas. Ktoś trafnie powiedział, że „polskie społeczeństwo się przeczekało", chyba więcej — ono podgniło w tym czekaniu.

*SMECZ*

BIBLIOTEKA «KULTURY»

**TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ**

**ROK MYŚLIWEGO**

**Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.**

**Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego" bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.**

**Str. 288** **Cena F. 145,00**

**TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA**

**ROSJANIE W WARSZAWIE**

**Migawki spod zaboru rosyjskiego w okresie Powstania Styczniowego**

**Str. 128** **Cena F. 70,00**

## *Sąsiedzi*

# List z Berlina

U progu trzeciego roku istnienia zjednoczonych Niemiec, Berlin znajduje się w stanie duchowej rozterki. Nikt z rozsądnie myślących ludzi nie żałuje przeszłości w politycznym sensie. To znaczy, że ostatecznie we wszystkich debatach i przemyśleniach triumfuje lub co najmniej przeważa — argument racji stanu i sprawiedliwości dziejowej w myśl zasady samookreślenia narodowego i prawa do jedności narodu. Nadal istnieje jednak w Berlinie spora grupa ludzi, zwłaszcza wśród intelektualistów, i to nie tylko po wschodniej stronie, którzy wychodzą z założenia, że sposób połączenia obydwu części Niemiec był błędny i w wyniku doprowadził do obecnych konfliktów i podziałów zarówno społecznych jak i moralno-duchowych. Zamiast zmaleć, wzrosła amplituda wzajemnej niechęci, uprzedzeń, oskarżeń. Zdaniem tych kół należało wprowadzić okres równoległej egzystencji dwóch różnych członów państwowych, pozostających względem siebie w formie konfederacji. Również w gospodarce nie należało na łeb na szyję forsować natychmiastowej reprywatyzacji kosztem masowego bezrobocia i likwidacji rynków zbytu dla miejscowego przemysłu w Europie wschodniej.

Autorzy aktu zjednoczenia i wszystkich pochodnych zjawisk odrzucają te tezy, operując głównie argumentem, że należało się śpieszyć ze zrównaniem obydwu części, gdyż w przeciwnym wypadku doszłoby do masowej ucieczki ludności z terenów byłej NRD na zachód, a to doprowadziłoby do ogromnych napięć w gospodarce i w życiu powszednim Niemiec zachodnich. Pośpiech był również konieczny z przyczyn polityki zagranicznej, gdyż nie wiadomo było, jak długo będzie trwała historyczna szansa związana z ustępstwami Gorbaczowa.

Poza sferą polityki, występują w Berlinie zachodnim objawy nostalgii za okresem, kiedy Berlin znajdował się pod pieczą aliantów i był niejako oknem wystawowym Zachodu. „Panowie,

było byczo!" wspominają z łezką starsi panowie grając w skata przy piwku i zapominając o lękach i strachach z powodu otoczenia miasta dywizjami sowieckimi. Wtórują im leciwe damy, w kawiarniach przy ciastku i bitej śmietance perorując, że nie było tej ponurej i szarej gawiedzi ze wschodu, która od zjednoczenia zaludnia nasze bulwary, tak że w ścisku trudno jest spacerować czy pozdrowić znajomych. Niechby to bydło siedziało u siebie na wschodzie.

Inni berlińczycy złorzeczą coraz głośniej, że urzędnicy w Bonn sabotują decyzje o przeniesieniu stolicy znad Renu nad Szprewę. Nie chcą pogodzić się z procesem długiego czekania bez wyraźnego statusu metropolii. Zresztą czterdzieści lat specyficznego bytowania pod władzą aliantów ze stałymi związkami z Waszyngtonem, Londynem i Paryżem, nieomalże permanentnym zmaganiem się mocarstw zachodnich ze wschodnim imperium zła o wartości nie tylko materialne ale i duchowe, wytworzyły zupełnie odmienny typ mentalności berlińskiej, odmiennej od Wschodu ale też i od rodzimego Zachodu, typ raczej kosmopolityczny, który teraz zderzył się w dramatyczny sposób z wybuchem prymitywnego szowinizmu i neohitleryzmu na Wschodzie.

Niektórzy publicyści, którzy latami wsłuchiwali się w podskórne prądy za murem i drutem kolczastym, przewidywali recydywę niewyżytego nacjonalizmu. Złożyło się na to wiele przyczyn, przede wszystkim ciągłość totalitaryzmu od hitlerowskiego do komunistycznego nieomalże bez najmniejszej przerwy i długoletnia izolacja od świata ościennego. Wielki świat to była Kuba Fidela Castro, albo sowiecka Jałta, albo w najlepszym wypadku bułgarskie Złote Piaski. Ale nawet tam ich nie lubiano, a z biegiem czasu — mimo przepisowej ideologicznej nienawiści — hołubiono ich ziomków z Zachodu z twardą walutą.

Podczas kiedy w Niemczech zachodnich wytworzył się nowy typ mentalności, otwartej na świat i bez kompleksów wiecznych wrogów francuskich na zachodzie i polskich na wschodzie, na skrawku ziemi pomiędzy Łabą i Odrą odżył, nigdy właściwie nie pogrzebany, zacofany kołtun i prowincjusz niemiecki. Jedyne co można powiedzieć ku jego obronie to to, że w większości krajów postkomunistycznych występują podobne symptomy nacjonalistycznych Ciemnogrodów.

Zamordowanie Boga ducha winnego szofera niemieckiego przez polskich podrostków w Nowej Hucie nie wywołało na szczęście fali antypolskich nastrojów. Prasa berlińska wyraża się z uznaniem o reakcji polityków polskich na ten akt brutalności. Zaś liberalny *Der Spiegel* proponuje, aby demokraci polscy i niemieccy połączyli wysiłki celem niedopuszczenia do tego, aby zwyciężyło hasło „oko za oko, ząb za ząb". Mimo tych szlachetnych gestów i apelów, niebawem doszło do odwetu: w pogranicznym mieście Cottbus niemieccy nacjonaliści zmaltretowali dwóch Polaków.



W Niemczech na chwilę ustały spory i konflikty. Kraj się pogrążył w żałobie po zgonie Willy Brandta. Zwłaszcza Berlin, dla którego „Willy" był symbolem walki o wolność i przetrwanie. Tutaj zaczęła się powojenna, nietypowa dla jego rówieśników — zarówno zwolenników jak też przeciwników — kariera polityczna. Dawny lewicowy socjalista, który działał nielegalnie jako młody chłopak przeciwko zwycięskiej dyktaturze hitlerowskiej w Berlinie, a potem walczył piórem po stronie republikańskiej Hiszpanii, a przed samą wojną w Norwegii i Szwecji — powrócił do okupowanej ojczyzny w mundurze oficera norweskiego. Zdjął go dopiero w 1948 roku i powrócił do obywatelstwa niemieckiego. Najpierw jako redaktor pisma *Sozialdemokrat*, a potem jako deputowany i przewodniczący Zgromadzenia Miejskiego, został pod koniec lat pięćdziesiątych burmistrzem zachodniego Berlina — twierdzy w zmaganiach z sowieckimi imperialistycznymi zakusami.

Z biegiem czasu — po Konradzie Adenauerze, twórcy zachodnioniemieckiego państwa demokratycznego i dzieła integracji z Zachodem — stał się drugą historyczną postacią nowoczesnych Niemiec. Adenauer dokonał po raz pierwszy w historii Niemiec pojednania z Zachodem, a przede wszystkim z Francją. Willy Brandt przerzucił mosty na Wschód, do Polski i do Rosji. Stał się architektem i wykonawcą zażegnania wiekowego sporu Niemiec z Polską. Z jego wysiłku narodziło się i zwyciężyło historyczne uznanie *status quo* na Wschodzie. W ten sposób po raz pierwszy w dziejach Europy Niemcy zrezygnowały z wielowiekowego wygrywania swoich sojuszników lub sprzymierzeńców przeciwko urojonym wrogom na Wschodzie i na Zachodzie. Niepotrzebna stała się stara karta rosyjska przeciwko Polsce, a Ukraina przestała być w myśleniu niemieckich polityków atutem lub instrumentem w rozgrywkach z Warszawą.

Byłem przez wiele lat w bliskich stosunkach z Brandtem. Obserwowałem jego skomplikowany, zamknięty w sobie i prawie nieprzystępny charakter. Sprawy wschodnie — poza komunizmem — były mu obce. Ale uczył się ich, przysłuchiwał się uważnie i nad Szprewą i nad Renem, już jako minister spraw zagranicznych, kanclerz i przewodniczący starej zasłużonej partii socjaldemokratów. Z drugiej strony z trudem wyzbywał się nawyków i uprzedzeń wyniesionych z doktrynalnych szkółek lewicowego socjalizmu. Szczególnie trudno mu to przychodziło najpierw w odniesieniu do Polski, a zwłaszcza wobec Ukrainy. W tej sprawie nie znalazł obiektywnego wyjścia do końca życia.

Zresztą drogi nasze rozeszły się, kiedy Brandt przed piętna-

stu laty przejął kierownictwo Międzynarodówki Socjalistycznej. Wkrótce potem podjął decyzję wyłączenia przedstawicieli emigracyjnych partii socjalistycznych ze Wschodniej Europy. Zaprotestowałem wówczas ostro, zarzucając mu, że frymarczy wolnością, ubiegając się o sympatie satrapy Breżniewa. Ale nie zrewidował swych błędów. Pod tym względem był niezwykle uparty. Mimo, że dawniej miał fantastyczny wręcz węch polityczny, silnie rozwinięty instynkt w tych sprawach, to w podstawowych problemach egzystencji totalitaryzmu komunistycznego i rosyjsko-sowieckiego imperializmu zawiódł. Był przekonany o długim istnieniu tego systemu i o konieczności trwałej zgody między Zachodem a Wschodem. Był też przeświadczony, że konflikt między biedną półkulą Południa i bogatą Północy jest ważniejszy i aktualniejszy dla ludzkości.

W socjaldemokracji niemieckiej stał się drugą po Auguście Beblu postacią historyczną. Nikt w tym stuleciu nie umiał do tego stopnia co Brandt zjednoczyć rozmaitych prądów i kierunków w SPD i do końca wieku nikt tego chyba już nie powtórzy.

Złożony chorobą Brandt nie przyjechał na kolejny kongres Międzynarodówki Socjalistycznej, której przewodniczył od piętnastu lat. Obrady toczyły się w nudnym biurokratycznym stylu, tak jakby nie było dramatycznego zwrotu w Europie, o który walczyli socjaldemokraci i socjaliści pod butem sowieckiej dyktatury. Nie podjęto wysiłku celem znalezienia własnej odpowiedzi na przyczyny i następstwa klęski komunizmu. Zajęto się tematami zastępczymi z dziedziny polityki społecznej Zachodu. Tylko austriacki kanclerz Vranitzky upomniał się o przemilczane tematy — ale bez skutku. Daremnie ubiegali się socjaliści z krajów post-komunistycznych o odpowiedź Międzynarodówki na palące zagadnienia nowych czasów.

Panowie socjaldemokraci z Zachodu kluczyli wokół grobu komunizmu, tak jak dawniej dreptali dookoła sowieckiej twierdzy. Zignorowali próbę przedstawicieli rozmaitych partii socjaldemokratycznych i socjalistycznych ze Wschodu o przyjęcie ich w poczet członków. Natomiast bez jakichkolwiek oporów zgodzili się na inkorporację włoskich przebierańców z dawnej partii komunistycznej, przemalowanej na socjalistyczną.

W ten sposób zmarnowano pierwszą ważną okazję spotkania socjaldemokratów Zachodu i Wschodu, wprowadzono przybyszów z krajów Europy Wschodniej w stan niepotrzebnej rozterki i osłabiono potencjalnych sojuszników, którzy wbrew oczekiwaniom i nadziejom wrócili do domu z pustymi rękami i kieszeniami. A ponieważ kandydat chorego Brandta na następcę, Hiszpan Gonzales, nie zgodził się na wybór, zgodzono się na kompromisową figurę Francuza Mauroy.



Ledwie socjaliści rozjechali się bez jakiejkolwiek koncepcji na przyszłość, ich miejsce nad Szprewą zajęli także byli przeciwnicy komunizmu, ale innego chowu i kalibru. Z inicjatywy Amerykanina Melvina Lasky'ego, redaktora pism *Der Monat* i *Encounter* i organizatora Kongresu Wolności Kultury, zebrało się grono weteranów zwycięskiej „zimnej wojny" z komunizmem. Niektórzy z łysiną, inni z brzuszkiem, a jeszcze inni o lasce, ale z filuternymi ognikami w oczach. Część owych klerków, którzy na początku lat pięćdziesiątych rozpoczęli batalię wolnego słowa przeciwko „zniewolonemu umysłowi", już odeszła do wieczności, jak James Burnham, Sidney Hook, Raymond Aron, Ignazio Silone, Richard Loewenthal czy Manès Sperber. Nie przyjechali z Paryża Józef Czapski i Jerzy Giedroyc. A ci, którzy trzy dni dyskutowali we wschodnim Berlinie, w tymże Pałacu Pruskim, z którego Sowieci i ich niemieccy wspólnicy zapowiadali zwycięstwo komunizmu — Lasky, François Bondy, Robert Conquest, Richard Pipes, Leopold Łabędź i wielu, wielu innych — nie wygłaszali triumfalnych manifestów. Ograniczyli się do sporządzenia solidnego bilansu „zimnej wojny". Ostrożnie i nie bez obaw o losy demokracji na ruinach komunizmu wybiegali analizą współczesności naprzód w jutrzejszy dzień Wschodu i Zachodu. Nie ukrywali, że trapią ich pokazujące się tu i ówdzie upiory narodowych totalitaryzmów. Nie chwaląc się zbytnio zwycięstwem, z satysfakcją przyjęli oświadczenie byłego sekretarza komunistów w Berlinie, Schabowsky'ego: „Panowie, wyście wygrali".

*BERLIŃCZYK*

# Ukraińska jesień

Odfajkowano pierwszą rocznicę niepodległości, podsumowano plusy i minusy światowego forum Ukraińców ze Wschodu i Zachodu i odparto — raczej z mniejszym niż większym sukcesem — natarcie kół nacjonalistycznych obrażonych z powodu pogróżek rządu, że nie pozwoli emigracyjnym intruzom mieszać się w nieswoje sprawy. Główna sprawczyni awantury, przywódczyni banderowskiej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Sława Stećko, popularnie wśród swoich nazywana Muchą, postanowiła rządowi w Kijowie spłatać figla i nawet jej się to w pewnej mierze udało. Tylko na razie, bo nie wiadomo, co z tego jeszcze wyniknie. Otóż

związany z ową jurną politycznie damą burmistrz Lwowa, niejaki Szpicer, nadał jej obywatelstwo Ukrainy i wręczył podobno odpowiedni paszport. Jaki to jest paszport, nie wiadomo, na pewno nie ukraiński, bo takich jeszcze nie wydrukowano. Musi to być jeszcze stary druk sowiecki, albo czerwony — turystyczny, lub niebieski — służbowy. A propagandowa tuba tych skrajnych nacjonalistów, *Szlah Peremohy* w Monachium, oświadczyła triumfalnie mniej więcej tyle, że Pani Wódz gwiżdże teraz na pogróżki prezydenta Krawczuka, bo te upomnienia jej już nie dotyczą. Przestała być bowiem intruzem emigracyjnym, a nabyła prawa obywatelskie Ukrainy. Ale afera ma, jak często bywa, podwójne dno, gdyż pani Sława ma też status „bezpaństwowego uchodźcy", który zabrania przyjmowania jednocześnie jakiegokolwiek obcego obywatelstwa. W wypadku przyjęcia jakiejś przynależności państwowej następuje automatycznie wykluczenie ze statusu bezpaństwowca. To samo zresztą przewiduje ustawodawstwo Ukrainy. Wpadła więc Pani Wódz w dylemat i nie wie, jak głosi podcerkiewna plotka monachijska, jak z niego wyjść. A z drugiej strony jak każda totalitarna organizacja, tak też i banderowska — pragnąc zachować mafijną siatkę i utrzymując główną kwaterę na Zachodzie — nie bardzo chce, aby Kobieta-Wódz była zależna od widzimisię policji ukraińskiej.

Mimo tych delikatnych kłopotów polityczno-paszportowych nacjonaliści rozwijają nadal ofensywę przeciwko demokracji parlamentarnej. Głównym terenem walki jest Lwów i prowincja galicyjska. Ledwie minęły uroczystości sprowadzenia trumny kardynała Slipego z Rzymu do katedry Świętego Jura we Lwowie, jak w grodzie nad Pełtwią wybuchła rewolucja o rząd dusz — tym razem nie religijnych, ale politycznych. Z Kanady przyjechał dawny dysydent i były więzień polityczny Walerian Moroz i postanowił stać się głównym watażką nacjonalistycznym. Pokłócony ze wszystkimi na emigracji uznał, że teraz wybiła godzina jego talentu. Facet nosi wąsik i ma wąską głowę, ma też, jak jego wielcy poprzednicy faszystowscy, wielki dar demagogii. Wnet też zamącił głowy niezbyt obytym w polityce młodym i starszym ziomkom. W następnej fazie stoczył bój o rozłam, a potem o przywództwo we lwowskim „Ruchu". Główne hasło: „Ukraina dla Ukraińców".

Czornowił, który albo nie był dobrze poinformowany, albo zbagatelizował sprawę, pojął niebezpieczeństwo i wystąpił z ostrym osądzeniem „lwowskiego faszyzmu". Ale Moroz to chorobliwy fanatyk i będzie walczył do upadłego.

Zresztą Wiaczesław Czornowił angażuje się na innym froncie, a mianowicie w akcję o rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów. W tej sprawie nie ma jednak jedności poglądów wśród opozycji. Niektórzy politycy boją się, że z wyborów może wyjść klapa. Ludzie są zniechęceni, apatyczni, przestają wierzyć demokratom. Niewykluczone, że do wyborów poszłaby mniejszość wyborców. Drugie niebezpieczeństwo to szanse krypto-komunistów, zorganizowanych w Partii Socjalistycznej. Razem z częścią Związków Zawodowych i organizacją weteranów mógłby powstać potężny blok lewicy, operujący demagogicznymi hasłami przeciw wyzyskowi klasy robotniczej, drożyźnie i inflacji. Jednak Czornowił się uparł i nie daje sobie ani innym spokoju. Organizuje Komitety Inicjatywy, a te zbierają podpisy, potrzebne do ogłoszenia plebiscytu na rzecz rozwiązania parlamentu. Czy im się uda uzyskać trzy miliony podpisów? Czornowił mówi, że tak, ale sceptycy — wątpią.



Jednak sezon jesienny zaczął się przede wszystkim od przesilenia rządowego. Jeszcze latem prezydent Krawczuk ignorował żądania opozycji w sprawie dymisji premiera Fokina, a sam szef gabinetu, dawniej dość flegmatycznie reagujący na podobne postulaty, przejął się widocznie narastającą falą protestów i rozwinął nagle niezwykłą aktywność. Zaczął jeździć po kraju, zdobywać klientów, obiecywać gruszki na wierzbie. Nic nie wskazywało na to, że premier niebawem złoży urząd. Ale oto gdzieś na początku września Krawczuk zauważył, że potężna klasa dyrektorów najważniejszych koncernów i fabryk dystansuje się od swego dotychczasowego patrona. Gdzieś ktoś dał znak i znowu podniosła się fala nacisków na Fokina. Wreszcie pozbawiony protekcji prezydenta Fokin abdykował.

W Kijowie zaszumiało. Na politycznej giełdzie zaczęto notować akcje kandydatów. Lansowano rzecznika szokowej terapii Łanowego, zwolenników łagodniejszej reformy rynkowej Czernika i Pyłypcuka i umiarkowanego reformistę, profesora Ihora Juchnowskiego ze Lwowa. Ludzie bliscy kancelarii prezydenta kpili z tej listy i twierdzili, że Krawczuk ma tylko jednego adepta, b. burmistrza Odessy, Symonenka.

13 października Krawczuk zaproponował na stanowisko przyszłego premiera Leonida Kuczmę z Dniepropietrowska. Potem poprosił kandydata, aby przedstawił swój program. 52-letni dotychczasowy dyrektor Południowej Fabryki Maszyn, a w istocie największego na świecie przedsiębiorstwa budowy rakiet międzykontynentalnych i średniego zasięgu jak też pojazdów kosmicznych, wygłosił krótkie ale treściwe *exposé* o konieczności dogłębnych reform i innych niepopularnych kroków. Z trybuny przemawiał technokrata z krwi i kości, nie teoretyk, ale pragmatyk. Miernikiem wszystkiego dla Kuczmy jest Francja, jej potencjał, jej wydajność, jej technologie. On nie chce się bawić w politykę, bo to sprawa prezydenta Krawczuka, dla niego wystarczy gospodarka. Kiedy zważyć, że projekt nowej konstytucji bardzo przypomina wzorce francuskie, to wydaje się, że między Krawczukiem i Kuczmą istnieje jakby niepisany pakt o podziale funkcji, żywo przypominający struktury paryskie. Oczywiście, że we współczesnej Ukrainie niepodobna jeszcze stworzyć gabinetu czysto koalicyjnego. Ale coś takiego przyświeca nowemu premierowi, który otrzymał ogromne poparcie posłów. Pragnie on utworzyć gabinet złożony z fachowców przy jednoczesnym poparciu głównych sił politycznych państwa.

*Bohdan OSADCZUK*

# Notatki rosyjskie

Francuski dziennikarz Bernard Guetta — w latach „Solidarności" korespondent *Le Monde* w Warszawie, następnie w latach *pieriestrojki* w Moskwie, a obecnie komentator polityczny w Paryżu — powiedział niedawno w radio, że sytuacja w Polsce poprawia się z dnia na dzień, Polska jako pierwsza wychodzi z post-komunistycznego kryzysu... Z Rosji natomiast nie przychodzi żadna dobra nowina. Jedna jedyna Hélène Carrère d'Encausse przygotowała na otwarcie sezonu książkę, zatytułowaną „Zwycięska Rosja". Jakby w odpowiedzi na to dzieło Jurij Afanasjew, jeden z bohaterów *pieriestrojki*, założyciel Międzyregionalnej Grupy, zarodka opozycji demokratycznej na zjeździe deputowanych ludowych ZSSR, wydał w tymże Paryżu wspomnienia pt. „Fatalna Rosja". Jurij Afanasjew był razem z Andriejem Sacharowem, Borysem Jelcynem i Gawriłą Popowem współprzewodniczącym Międzyregionalnej Grupy. Dziś autor „Fatalnej Rosji" zawiadamia, że zrywa z polityką, że demokraci przegrali, że jego drogi z Jelcynem się rozeszły. Nie podobają mu się ludzie, którymi otacza się prezydent Rosji ani jego nie dość demokratyczna, bojaźliwa polityka. Jurij Afanasjew znowu przechodzi do opozycji, ale niegroźnej, ponieważ zerwał z działalnością polityczną. Istnieje opozycja agresywna, istnieje też opozycja z własnym programem.

Tę ostatnią, którą można nazwać konserwatywną, skupia Związek Obywatelski, który składa się ze Związku Dyrektorów Arkadego Wolskiego (ma wprawdzie oficjalną długą nazwę, ale sens jej jest taki właśnie — dyrektorzy i naczelni inżynierowie fabryk przemysłu wojskowego), partii komunistów-demokratów Aleksandra Ruckiego (wiceprezydenta Rosji) i Demokratycznego Związku Nikołaja Trawkina. O Wolskim wspomniałem po raz pierwszy w 1986 roku, kiedy Gorbaczow posłał go do Górnego Karabachu z zadaniem rozwiązania tamtejszego konfliktu. Konflikt przerodził się w krwawą wojnę, a Wolski, były osobisty sekretarz Andropowa, uchodzi dziś za najlepiej uplasowanego kandydata na następnego premiera Rosji.

Konserwatywna „konstruktywna" opozycja Wolskiego proponuje, aby rozszerzyć reformy rządu Jelcyna na wzór chiński. Na sesji Rady Najwyższej Rosji 7.10.92 p/o premiera Jegor Gajdar powiedział, że program „konstruktywnej" opozycji można zawrzeć w pytaniu: „Dlaczego nie jesteśmy Chinami?" Innymi słowy: dlaczego nie możemy stworzyć dwusektorowego modelu gospodarki, tak aby ostra dyscyplina sektora państwowego zbiegała się z bujnym rozwojem sektora prywatnego? Jegor Gajdar odrzuca chiński model, bo wymaga on — jego zdaniem — bezwzględnego duszenia w zarodku wszelkich prób zdestabilizowania systemu ze strony opozycji. Przypomniał krwawe zajścia na Placu Tien-An-Men, wyraz takiej właśnie strategii politycznej, którą Rosja odrzuciła (*Wieczierniaja Moskwa*, 7.10.92).



Radykalna opozycja coraz wyraźniej daje o sobie znać. Czytając prasę radykałów, odnosi się wrażenie, że z jej łamów roznosi się przenikliwy krzyk, z każdym dniem donośniejszy. Pisma *Dzień, Literaturnaja Rossija, Sowietskaja Rossija, Prawda* i wiele innych, mających mniejsze nakłady, ale niemniej krzykliwych, powtarzają zgodnym chórem: obalić „przejściowy okupacyjny reżym Jelcyna!". W nr 39 tygodnika *Dzień* („piśmie duchowej opozycji", jak wyjaśnia podtytuł) ukazał się (27.9.–3.10.) program radykalnej (w najwyższej mierze i ponad miarę) opozycji, która przedstawia się jako „rosyjski ruch oporu". Program zatytułowany jest „Deklaracja polityczna lewicowo-prawicowej opozycji". Ten tytuł raz jeszcze potwierdza, że słynna formuła Stalina — „prawicowo-lewacki blok" — która tak zdziwiła zdrowo myślących ludzi w 1935 roku, uchodzi dziś wśród byłych sowieckich poddanych za coś zupełnie racjonalnego: przywykli. Sojusz prawicowych lewicowców — to istniejący od dawna, a dziś odżywający na nowo alians komunistów i tzw. patriotów, „prawdziwych Rosjan". Na stronie, na której widnieje „prawicowo-lewicowa" deklaracja, umieszczono osobno — na różowym tle — „Słowo Wodza". Führerem „ruchu oporu" wybrano byłego sekretarza KC komunistycznej partii Rosji, Gennadija Ziuganowa, który objął stanowisko przewodniczącego Rady Narodowo-Patriotycznych Sił Rosji. Wódz oznajmia: nadeszła godzina prawdy. Prawda polega „przede wszystkim na tym, że walka toczy się dziś nie między demokratami i konserwatystami, lecz między patriotami-państwowcami i partią zdrady".

Główne punkty „prawicowo-lewicowego" programu brzmią jak następuje: odbudowa jednolitej, państwowej gospodarki kraju, przede wszystkim zaś „odtworzenie federalnych organów skoordynowanego zarządzania gospodarką", natychmiastowe wstrzymanie prywatyzacji, surowa kontrola nad zagraniczną polityką ekonomiczną, odtworzenie jedności terytorialnej kraju i zjednoczonych sił zbrojnych. „Radykałowie" podkreślają, że działania bojowe trzeba zacząć już i wzywają do obalenia Jelcyna: „Główna odpowiedzialność za rozpad Rosji — powiada deklaracja — spada nie na zmieniające się ekipy rządowe, a na prezydenta Rosji, którego polityczne rozkazy ekipy te wykonują".

Opozycja ma jasny cel: „Naszą ojczyzną — wielkie mocarstwo". Gotowa też jest objąć władzę, obiecując półgębkiem litość ze strony wojska i służb bezpieczeństwa. Jeden z najzacieklejszych publicystów „ekstremy", Edward Limonow, wydał zbiór swoich artykułów w okładce, która może stać się godłem „prawicowo-lewicowych". Na tytułowej stronie widnieje czerwony ekran z portretem autora w żołnierskim szynelu z pagonami SA. Na tylnej okładce — czerwonej — widnieje sierp i młot. Sojusz swastyki z sierpem i młotem towarzyszy rozmyślaniom Limonowa na Arbacie.

Zjechawszy po raz kolejny z Paryża do okupowanej przez Jelcyna Moskwy, Limonow spaceruje po Arbacie, który stał się dla „mocarstwowców" symbolem ohydnego kapitalistycznego rynku. Nienawiść tak rozpiera Limonowa, że nie jest już w stanie wyrazić jej prozą. Tylko poezja może jej sprostać. „Kiedy idę mym Arbatem, chętnie rzuciłbym granatem..." wyznaje (*Sowietskaja Rossija*, 10.9.92). Dodajmy, że w gazecie *Dzień* ukazał się lista „najwybitniejszych pisarzy rosyjskich". Wśród dziesięciu tuzów literatury widnieje Limonow.

Nasuwa się pytanie: jaką siłę reprezentują rzeczywiście „pisarze z granatem"? Odpowiedzi naturalnie nie znam, mogę tylko zebrać niektóre jej elementy. Na przykład nakład tygodnika *Dzień* wynosi 120 tys. egzemplarzy. To dużo, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, że w ubiegłym roku był o połowę mniejszy. Nakład *Prawdy*, znacznie bardziej umiarkowanej w tonie aniżeli *Dzień*, wynosi 1.385 tys. — dziesięć razy więcej. Nakład *Sowietskoj Rossiji*, bardzo bliskiej *Dnia* — 910 tys. *Izwiestia* — organ demokratów — ukazują się w 3.200 tys. egzemplarzy. *Komsomolskaja prawda* i *Argumenty i fakty* — krytyczne wobec „prawicowych lewicowców" — mają zawrotne nakłady 23 i 26 milionów.

Nakłady gazet mogą świadczyć o zainteresowaniu radykalnymi hasłami, co nie jest równoznaczne z poparciem dla nich. Wydarzenia ostatnich lat dowiodły, że właśnie Rosja zachowała w czasie *pieriestrojki* spokój, cierpliwość i dojrzałość. Zamieszki i krwawe konflikty toczyły się i toczą na okrainach imperium. Spokój Rosjan można tłumaczyć dojrzałością narodu, który przeżył straszne wstrząsy i nie pragnie kolejnych kataklizmów, a zatem nie słucha awanturników. Można go też tłumaczyć inaczej: biernością która weszła narodowi w krew przez siedemdziesiąt lat życia w totalitarnym kraju.

Tak było dotychczas. Jednak sytuacja bezustannie się pogarsza, przede wszystkim sytuacja gospodarcza. Obok normalnych, że się tak wyrażę, bied, spada gwałtownie produkcja, szaleje inflacja, zbliża się milowymi krokami katastrofa średnich warstw społeczeństwa. Nauczyciele i lekarze, urzędnicy i oficerowie, którzy zarabiali wprawdzie skromnie, ale dość dla utrzymania średniego poziomu życia, przekształcili się nagle w nędzarzy. Inflacja połknęła ich odkładane na czarną godzinę oszczędności. Czarna godzina wybiła, a na książeczkach oszczędnościowych — zero. Dla emerytów, którzy zawsze zarabiali bardzo mało, cios był jeszcze straszniejszy. Ale ciężar społeczny „emerytowanych nędzarzy" jest niewielki. Inaczej mają się sprawy z „nowymi nędzarzami".

W XX wieku można znaleźć dwie analogie do tego ciosu w klasy średnie: Niemcy lat 20-tych i Stany Zjednoczone lat 30-tych. W Niemczech do władzy doszedł Hitler. W Stanach Zjednoczonych — mało się dziś o tym wspomina — początek lat 30-tych groził radykalną rewolucją społeczną typu bolszewickiego albo faszystowskiego. Amerykańscy żołnierze strzelali do amerykańskich bezrobotnych na placu przed Białym Domem.



Niemcy wybrali Hitlera, Amerykanie wybrali Roosevelta. Kogo wybiorą Rosjanie? Zastanawiając się nad przyszłością, warto wspomnieć słynną uwagę Tocqueville'a na temat Rewolucji Francuskiej: rewolucje wybuchają, kiedy sytuacja zaczyna się polepszać. Jeśli Tocqueville miał rację, to można na razie być spokojnym: w Rosji sytuacja się pogarsza. Francuski historyk dotychczas zawsze miał rację. Na przykład w Niemczech lat 20-tych Wolfgang Kapp, przywódca jednej z prawicowych partii, zapewniwszy sobie poparcie generała Lüdendorffa, zorganizował pucz. Skończył się on równie sromotnie, jak pucz w sierpniu 1991 r. w Moskwie. Sytuacja w Niemczech była wówczas dość ciężka. Trzynaście lat później, kiedy zaczęła się poprawiać, doszedł do władzy Adolf.

Moje rozważania mają charakter teoretyczny, historyczno-porównawczy. W Rosji natomiast mówi się o rosnącym niebezpieczeństwie, o nieuchronnym wybuchu. Tak mówi wódz Ziuganow. Tak też mówi wódz Władimir Żyrynowski, rosyjski Tymiński, który w czerwcu 1991 r. zebrał podczas wyborów prezydenckich 8% głosów. Odwiedziwszy we wrześniu 1992 r. Paryż, Władimir Żyrynowski zorganizował przy pomocy wspomnianego wyżej Limonowa konferencję prasową, na której oświadczył, że Rosja ma dwóch wrogów, wpływy amerykańskie i syjonizm, i że w listopadzie 1992 r. wybuchnie rewolucja, która go wyniesie do władzy (zapewnił, że w wyborach dostanie 52%). O niebezpieczeństwie mówi jednak też były szef Michaił Gorbaczow.

W tym miejscu wypada napisać kilka słów wyjaśnienia. Trybunał Konstytucyjny Rosji, który rozpatruje skargę komunistów na antykonstytucyjny zakaz partii komunistycznej oraz skargę antykomunistów (byłych komunistów), którzy domagają się, aby uznać partię za organizację przestępczą, wezwał Michaiła Gorbaczowa jako świadka. Gorbaczow był przez sześć lat generalnym sekretarzem, któż lepiej niż on mógłby wyjaśnić sądowi punkty, które wydawały mu się niejasne? Gorbaczow oznajmił, że jest to proces polityczny i że nie życzy sobie w nim uczestniczyć. Pomińmy „etykę kapitana". Na świecie wiele się zmienia, ale wciąż jeszcze obowiązuje zasada, że kapitan ostatni schodzi z pokładu tonącego okrętu. Michaił Gorbaczow zeskoczył pierwszy, a potem kazał, aby statek (KC KPZS) sam się zatopił. Dziś, kiedy wszyscy wyżsi przywódcy partyjni stanęli przed sądem, „kapitan" oświadczył, że jego to nie interesuje. Nie warto o tym wiele mówić: każda partia ma takiego przywódcę, na jakiego zasługuje. Rzecz sprowadza się do obowiązku każdego obywatela każdego praworządnego państwa: sąd wzywa, obywatel ma obowiązek się stawić, czy mu się to podoba, czy nie. Gorbaczowowi się nie podoba i stawić się nie zamierza, przekonany, że Zachód się za nim wstawi. Wobec byłego generalnego sekretarza zastosowano sankcje: ukradli mu samochód, zakazali wyjeżdżać za granicę, odebrali lokal, w którym mieści się „Fundacja Gorbaczowa" (3.500 metrów kwadratowych) i pozwolili mu wynająć tylko 1.000 metrów kwadratowych — za gotówkę. Wszystko

to jest rzecz jasna bardzo nieprzyjemne, ale Michaił Siergiejewicz uznał, że sankcje przeciw niemu oznaczają, podobnie jak w 1934 r. po zabójstwie Kirowa, początek wielkiego terroru. Były główny ideolog komunistyczny Aleksander Jakowlew bez żenady oświadczył, że podobnej tragedii (miał na myśli sankcje wobec Gorbaczowa) Rosja nie przeżyła od chwili objęcia władzy przez bolszewików w 1917 roku. Gorbaczow, Jakowlew i inni (bez wyjątku na Zachodzie) przewidują pasmo nieszczęść.

*Show* Gorbaczowa to oczywiście żadne nieszczęście. Prawdziwym zagrożeniem jest nabrzmiała sytuacja na Kaukazie. Rozpalone konflikty narodowe na krańcach byłego imperium są najwdzięczniejszym polem dla działalności „lewicowo-prawicowych" i głównym instrumentem ich wpływu na politykę państwa. Rozwój sytuacji w Gruzji nasuwa wiele pytań, na które udziela się dziś wielu niczego nie wyjaśniających odpowiedzi.

Gruzja, kraj o starej kulturze, zamieszkały przez wesołych, pracowitych ludzi, pijących nie wódkę (choć i wódkę, rzecz jasna!), ale wino, pierwsza wybrała w powszechnym głosowaniu prezydenta. Został nim Zwiad Gamsachurdia, filolog, dysydent, syn najwybitniejszego gruzińskiego pisarza XX wieku, Konstantina Gamsachurdii. Pięknie. Ale szczęście trwało krótko. Prezydent zamienił się w tyrana — ubolewali jego najbliżsi współpracownicy, którzy powstali przeciw niemu. Rozmiłowani w swojej stolicy Gruzini podłożyli pod nią ogień. Zwiad Gamsachurdia został obalony, uciekł, wypowiedział wojnę byłym przyjaciołom. Przeczekawszy kilka miesięcy wrócił do Gruzji były minister spraw wewnętrznych, były pierwszy sekretarz KC Edward Szewardnadze, który wspiął się na szczyty dzięki Gorbaczowowi i padł razem z nim. Szewardnadze stanął na czele Rady Państwowej, a 11 października 1992 został wybrany przez naród (90% głosów przy 70-procentowej frekwencji). Jednym z powodów upadku Gamsachurdii była wojna, którą Gruzja wypowiedziała południowej Osetii w odpowiedzi na jej secesję. Gruzja, to jasne, miała święte prawo opuścić Związek Sowiecki, natomiast Południowa Osetia, to równie jasne, nie miała żadnego prawa opuścić Gruzji. Ponieważ zamierzała zjednoczyć się z Północną Osetią, która należy do Federacji Rosyjskiej, w negocjacjach uczestniczył Jelcyn. Szewardnadze i Jelcyn znaleźli chwilowy kompromis i wojna w Osetii ustała. Za to zaczęła się w Abchazji, która także zapragnęła opuścić Gruzję — i wcielić się do Rosji.

3 września spotkali się w Moskwie Borys Jelcyn, Edward Szewardnadze i przewodniczący Rady Najwyższej Abchazji Władysław Ardzinba. Podpisali rozejm między Gruzją i Abchazją. Kilka dni później, kiedy zbrojne oddziały Gruzinów zaczęły opuszczać miasto Gagry, zaatakowały je jednostki Abchazji i Konfederacji Górskich Narodów Kaukazu (Czeczeńcy, Kabardyńcy, Bałkarzy, Adydzy i in.). Zwraca uwagę fakt, że górskie narody Kaukazu żyją w autonomicznych republikach należących do Rosji. Z drugiej strony są to narody muzułmańskie, które źle znoszą opiekę Moskwy.



Aby jeszcze bardziej skomplikować i zamącić sytuację, „prawicowi lewicowcy" zdecydowanie popierają obalonego prezydenta Gruzji oraz — równocześnie — niezawisłość Abchazji.

Moskwa, która jeszcze za czasów Gorbaczowa przestała prowadzić jasną politykę wobec Kaukazu i zadowalała się intrygami, nagle uznała, że musi się zająć sprawami Kaukazu. Istnieje jednak poważne ryzyko, że na nim ugrzęźnie. Imperium rosyjskie prowadziło wojnę o Kaukaz przez ponad sześćdziesiąt lat i zdobyło go ogromnym wysiłkiem. Rozwiązania na razie nie widać, natomiast mnóstwo podżegaczy wznieca ogień nie szczędząc sił. Każdy marzy tylko o tym, aby upiec przy nim swój kawałek pieczeni.

13.10.1992 *Adam KRUCZEK*

P.S. Wieczorem 13.10. świat dowiedział się, że Jelcyn ustąpił i pozwolił Gorbaczowowi pojechać do Niemiec na pogrzeb Willy Brandta. Jest to niewątpliwie porażka prezydenta Rosji. Gorbaczow naruszył dżentelmeńską umową z Jelcynem i nazwał go „niebezpiecznym człowiekiem", który powinien podać się do dymisji. Ustępstwo Jelcyna jest wynikiem ruchu w obronie Gorbiego, który narasta w zachodniej Europie, głównie we Włoszech i w Niemczech. Ruch ten wyraża rozczarowanie Zachodu wobec porażek Jelcyna w Rosji...

*A.K.*

# Z prasy ukraińskiej

LIPIEC — SIERPIEŃ: Ministerstwo sprawiedliwości Ukrainy zarejestrowało Federację Polskich Organizacji na Ukrainie. Weszli do niej przedstawiciele polskich zbiorowości i organizacji kulturalnych z 13-tu obwodów. Celem Federacji jest narodowe przebudzenie Polaków na Ukrainie, zwłaszcza w jej wschodnich regionach. ■ W czerwcu odbył się pierwszy, a lipcu drugi zjazd Ukraińców-więźniów politycznych okresu stalinowskiego w Polsce. Wzięło w nim udział 159 osób więzionych w polskich obozach, głównie w Jaworznie. Powstał Związek Ukraińców — więźniów politycznych okresu stalinowskiego. ■ Na Wołyniu doszło do znaczącego gestu w sprawie polsko-ukraińskiego pojednania. W miejscowości Ostrówek odbył się w połowie sierpnia powtórny pogrzeb ponad 1.000 Polaków zamordowanych w sierpniu 1943 r. przez ukraińskich nacjonalistów. W mszy pojednania odprawionej w 49-tą rocznicę rzezi uczestniczyło około tysiąca Polaków i Ukraińców. Dzięki pomocy władz ukraińskich i wskazówkom miejscowej ludności zlokalizowano dwa masowe

groby ofiar. Zwłoki ekshumowano i złożono w tymczasowej mogile przy leśnej drodze łączącej Ostrówek i Wolę Ostrowską. Homilię wygłosił ksiądz Marian Chmielowski. W trzech miejscowościach na Wołyniu — Rymaczach, Bielinie i Zasmykach — odrestaurowano cmentarze polskie, na których spoczywają żołnierze AK. 12 września żołnierze 27 dywizji piechoty AK uczestniczyli w mszy św. w Hrubieszowie, a 13 września został poświęcony cmentarz w Zasmykach, na którym spoczywa 80 żołnierzy Wołyńskiej Dywizji Piechoty — ofiar ukraińskiej partyzantki. W uroczystościach uczestniczyli: ambasador Ukrainy w Polsce T. Starak, delegat prezydenta Krawczuka W. Błażeńczuk, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jerzy Milewski, biskup polowy S.L. Głódź, który część homilii wygłosił po ukraińsku. ■ Granica polsko-ukraińska liczy 520 kilometrów i posiada trzy przejścia samochodowe i kilka kolejowych. Zgodnie z podpisanym w maju układem granicznym zostaną otwarte dodatkowe punkty kontrolne. Niewiele jednak zmieni to w krajobrazie polsko-ukraińskich przejść granicznych, których standard jest niezwykle prymitywny. Ale jest nadzieja na zmiany. *Nasze słowo*, pismo Związku Ukraińców w Polsce, podaje, iż politechniczne instytuty Lwowa, Krakowa, Lublina i Rzeszowa ogłosiły międzynarodowy konkurs dla studentów i młodych absolwentów na stworzenie projektu stylistycznego i technicznego sieci przejść. Rozstrzygnięcie w styczniu przyszłego roku. Tymczasem zapobiegliwi polscy wojewodowie z terytoriów przygranicznych planują wynajem i budowę kilku przejść w trybie komercyjnym. Ich tworzeniem, administrowaniem i zyskami miałyby zająć się duże firmy wyspecjalizowane w interesach z Ukrainą, Rosją i innymi państwami na wschód od Polski. ■ 3 sierpnia prezydenci Rosji i Ukrainy podpisali w Jałcie porozumienia dotyczące podziału floty czarnomorskiej. Podział floty czarnomorskiej zostanie zakończony w roku 1995. Do tego czasu armada będzie podlegała dowództwu rosyjsko-ukraińskiemu i nie wejdzie w skład sił zbrojnych Wspólnoty Państw Niepodległych. Dowódców będą mianować po uzgodnieniu prezydenci. Jelcyn zaproponował Krawczukowi od 30% do 40% floty składającej się z 308 okrętów. Strona ukraińska wniosła propozycję, aby wojska rosyjskie płaciły za korzystanie z budynków i urządzeń, w kórych będą stacjonować do roku 1995. W trakcie spotkania nie dyskutowano o problemie Krymu, co strona ukraińska traktuje jako milczące zobowiązanie Kremla, że nie będzie się wtrącać w wewnętrze sprawy Ukrainy. ■ Obchody 50-tej rocznicy powołania UPA rozpoczęły się na Ukrainie 8 sierpnia od uroczystego spotkania weteranów ukraińskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Przybyli żołnierze UPA z Ukrainy, Polski, Słowacji i z emigracji. W uroczystościach wziął udział przedstawiciel prezydenta Krawczuka, delegacja Ministerstwa Obrony, minister kultury Ukrainy, deputowani i wiele innych osobistości politycznych. Ciekawostką była obecność trzech holenderskich generałów, którzy jako oficerowie w latach wojny uciekli z obozu jenieckiego w Stanisławowie przy pomocy jednego z oddziałów UPA. Obchody 50-lecia trwały cały sierpień i wrzesień, odbywając się we wszystkich niemal większych miastach Ukrainy zachodniej i centralnej. ■ W związku z obchodami 50-tej rocznicy powstania Ukraińskiej Powstańczej Armii we Lwowie i innych miastach zachodniej Ukrainy uczestnicy zbrojnego podziemia walczący z okupacją sowiecką i niemiecką zaczynają domagać się odrębnego statusu. W Galicji powstało Bractwo Żołnierzy UPA, które szybko przekształciło się w związek ogólnoukraiński. Wielu deputowanych do Rady Najwyższej wystąpiło z propozycją uznania UPA za stronę walczącą w latach 40-tych–50-tych z okupacją sowiecką. Do sierpnia próby postawienia tej sprawy na forum ukraińskiego parlamentu napotykały na burzliwy sprzeciw większości deputowanych. Obecnie ten zawikłany na Ukrainie problem doczekał się publicznej dyskusji. UPA nie została uznana i zrehabilitowana oficjalnie, ale władze cywilne i wojskowe odniosły się do obchodów życzliwie. *Hołos Ukrainy*, organ Rady Najwyższej, w serii artykułów odnosi się krytycznie do restauracji mitu i legendy UPA w społeczeństwie ukraińskim. W ocenie tej tradycji nie ma wśród Ukraińców jednomyślności. ■ W dniach 21-24 sierpnia pod protektoratem prezydenta Krawczuka odbywało się w Kijowie Ogólnoświatowe Forum Ukraińców. Najliczniejsze skupiska ukraińskiej diaspory znajdują się w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Australii, Polsce, Rosji. W zjeździe wzięli udział delegaci organizacji ukraińskich z 20-tu krajów. Równolegle z Forum organizowano inne emigracyjne zjazdy. Np. na Zaporożu, w Dniepropietrowsku, Czerkasach, Iwano-Frankowsku odbywały się regionalne konferencje rodzin oficerów ukraińskiej diaspory. Powstał Związek Oficerów. Na konferencjach poruszano problem powrotu ukraińskich oficerów z emigracji do kraju. ■ Wśród części ukraińskiej emigracji odzywają się ostrzeżenia przed nazbyt wczesnym i nieuzasadnionym przekazywaniem mandatu przywództwa przez emigracyjny rząd ukraiński władzom w Kijowie. Wskazuje się na wciąż komunistyczny charakter państwa, brak nowej konstytucji i rządy komunistycznej nomenklatury jako zasadnicze przeszkody, uniemożliwiające pełną akceptację republiki ukraińskiej przez wszystkie odłamy politycznej emigracji. Tym niemniej w uchwale podjętej 22 sierpnia podczas Światowego Forum Ukraińców emigracyjne władze na czele z prezydentem Pawljukiem, przewodniczącym Ukraińskiej Rady Narodowej Mychajłem Woskobijnykiem i szefem emigracyjnego rządu Iwanem Samijlenko, uznając suwerenność Ukrainy będącą skutkiem grudniowego referendum z ub. r., przekazały swoje pełnomocnictwa prezydentowi Krawczukowi. Doszło do spotkania obu prezydentów. ■ Związek Ukraińców w Wielkiej Brytanii oddaje Ukrainie dla jej poselstwa swój główny budynek w centrum Londynu — poinformował prezydent ZUWB Wasyl Popadyneć. Budynek przekazano Ukrainie na 99 lat za symboliczną opłatą. Z kolei eparchia Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej w Australii i Nowej Zelandii przekazała nieodpłatnie budynek centrum prawosławnego w Canberze do dyspozycji tworzącego się ukraińskiego poselstwa w Australii. ■ W Kijowie otwarto akademię duchowną kie-

rowaną przez Ukraińską Cerkiew Prawosławną. Na pierwszy rok przyjęto 20 osób, w większości absolwentów kijowskiego i odeskiego seminarium duchownego. Dzięki materialnej pomocy emigracji nastąpi również odrodzenie Kijowsko-Mohylańskiej Akademii, która odziedziczy majątek Mohylańsko-Mazepińskiej Akademii, działającej dotychczas za granicą. ■ Redakcja popularno-naukowego pisma *Zabytki Ukrainy* zwróciła się do kościołów chrześcijańskich na Ukrainie z propozycją kanonizowania kijowskiego księcia Jarosława Mądrego, który w państwie kijowskim wprowadził chrześcijaństwo. Z akcją torpedowania tej inicjatywy wystąpiła cerkiew prawosławna podporządkowana patriarchatowi rosyjskiemu. ■ 27-29 sierpnia odbyła się w Kijowie sesja specjalnej komisji do wykonania oraz inspekcji ustaleń rozbrojeniowych. Wzięły w niej udział delegacje Białorusi, Kazachstanu, Rosji, Ukrainy i USA. Do tej pory posiedzenia tej komisji odbywały się w Genewie. ■ Od 18 sierpnia do 17 września Ukraina zniszczyła część konwencjonalnej broni — poinformowało Ministerstwo Obrony. Przedstawiciel ukraińskiego MSZ powiadomił, że w listopadzie 1995 roku armia Ukrainy będzie posiadać 4.080 czołgów, 5.050 transporterów, 1.090 samolotów wojskowych i 330 helikopterów. We Lwowie, pod kontrolą międzynarodowej komisji, rozpoczęto niszczenie czołgów T-55. ■ Minister obrony Ukrainy gen. pułkownik K. Morozow zwolnił ze służby i z zajmowanych stanowisk dowódcę sił powietrznych dalekiego zasięgu gen. W. Jakunowa, zastępcę szefa sztabu S. Paczyna i kilku innych wyższych rangą oficerów lotnictwa, podejrzanych o korupcję. ■ Ukraina zwróciła się do Rosji o kredyt 100 mld rubli. Kredyt ten zostałby przeznaczony na spłatę długów ukraińskich przedsiębiorstw wobec przedsiębiorstw rosyjskich, co pozwoli zlikwidować wzajemne zatory bankowe i niewypłacalność banków, którym zaczyna brakować gotówki. O tych problemach rozmawiali premierzy J. Gajdar i W. Fokin 10 września w Moskwie. ■ Obecnie 80%, tj. 6,7 tys. przedsiębiorstw przemysłowych Ukrainy należy do państwa. W pierwszym półroczu dały one 86% produkcji. 130 przedsiębiorstw jest własnością komunalną. W przemyśle działa także 18 spółek akcyjnych i 16 mieszanych z udziałem kapitału państwowego i prywatnego. ■ Jeszcze w tym roku w Charkowie, stolicy „rozstrzelanego Odrodzenia", ukaże się pierwsza na Ukrainie antologia represjonowanych poetów lat 1950-1980. Część pierwsza będzie nosiła tytuł „Oczyma serca". Pośród autorów m.in. wiersze Wasyla Stusa, Iwana Switłycznoho, Ihora Kałyncia, Jewhena Swierstiuka — poinformowała *Literaturna Ukraina*. ■ 27 września w Jaworznie Związek Ukraińców w Polsce zorganizował panichidę ku czci 160 ofiar zamordowanych w miejscowym obozie koncentracyjnym. W latach 1947-49 uwięziono tutaj około 4 tys. Ukraińców deportowanych w ramach akcji „Wisła". W panichidzie wzięli udział duchowni prawosławni i greckokatoliccy, przedstawiciele ukraińskich organizacji i polskich władz.

Z prasy ukraińskiej wynotował:
*Bogusław BAKUŁA*

## *Kronika kulturalna*

# Słowa kończące się na -ACJA, czyli coś się dzieje w państwie polskim

> Jeżeli wyda pani w prześpieszonym tempie szereg dźwięków, te samoistnie uczepią się jedne drugich, tworząc tak zgłoski, słowa, ewentualnie zdania, to znaczy bardziej lub mniej ważne związki, czysto irracjonalne związki dźwięków pozbawione całkowicie sensu, ale właśnie dlatego zdolne utrzymać się wysoko w powietrzu. Opadają tylko i wyłącznie słowa, które coś znaczą, słowa obciążone sensem; w końcu rozpadają się one zawsze, rozbijają się [...].
>
> Eugéne Ionesco *Lekcja*

Zacząć wypada od przykładów.

Interesujące mnie słowa przytaczam od razu w związkach frazeologicznych, w jakich występują powszechnie w pewnej odmianie dzisiejszej oficjalnej polszczyzny, tzn. w polszczyźnie używanej przez polityków, komentatorów politycznych, dziennikarzy, działaczy społecznych i związkowych. Te zwroty napotkać można zawsze i wszędzie, wystarczy włączyć telewizor, radio, zakupić dowolną gazetę — zwalnia mnie to od obowiązku nużącego przytaczania źródeł. W zasadzie słowa te, rozpatrywane poza konkretnym frazeologicznym kontekstem, nie mają żadnego sensu. Jest to ich istotnym wyróżnikiem: próby zdefiniowania czy zaledwie sprecyzowania ich sensu kończą się po prostu niepowodzeniem. A jednocześnie ich użytkowników nie zwykło się pytać o sens tych zwrotów — jak gdyby był oczywisty. Wyłącznie gwoli prostoty decyduję się na wyliczanie oparte na alfabecie, chociaż osobiście uważam, że każdy porządek byłby tu zasadny.

A zatem:

— *anarchizacja* procesu reform;
— *agenturyzacja* życia politycznego i gospodarczego;
— *dekomunizacja* społeczeństwa;
— *demokratyzacja* demokracji;
— *denominacja* złotówki na której nikt nie straci;
— *klerykalizacja* życia społecznego (nieprawdą jest, że taki proces ma miejsce w Polsce);
— *kolaboracja* (dramaturgów, poetów, prozaików, publicystów, pisarzy polskich);
— *likwidacja* z udziałem likwidatora i Skarbu Państwa;
— *lustracja* posłów i senatorów;
— *manipulacja* informacyjna ośrodka telewizji gdańskiej;
— *monopolizacja* prawdy;
— *nowelizacja* ustawy o zmianie ustawy;
— *ordynacja* wyborcza wymaga doprecyzowania;
— *prywatyzacja* przedsiębiorstwa i zakładów pracy (wyrażenia pochodne: bony *prywatyzacyjne*, powszechny proces *prywatyzacji*);
— *restrukturyzacja* przedsiębiorstwa jest koniecznością;
— *sowietyzacja* społeczeństwa polskiego (niebezpieczeństwo, które nieustannie nam zagraża — w odróżnieniu od zjawisk takich jak: *amerykanizacja* czy *europeizacja*);
— *thatcheryzacja* i thatcheryzm jako szansa wyjścia z kryzysu;
— *waloryzacja* rent i emerytur tudzież płac pracowników sfery budżetowej;
— *weryfikacja* pracowników administracji państwowej (synonimem może tu być: przewietrzanie);
— *wulgaryzacja* i *populizm*.

Przyjdzie nam chyba na tym poprzestać.

Nie było moją ambicją stworzenie pełnego alfabetycznego wykazu słów zakończonych na -acja, występujących w dzisiejszej polszczyźnie oficjalnej; wykaz ten uzupełniać można *ad libitum* czy *ad nauseam* ze świadomością, że nigdy nie osiągniemy kompletności — każdy nowy dzień przynosi niespodzianki, każdy kongres zjednoczeniowy lub rozłamowy partii czy stronnictwa politycznego, każde wystąpienie polityka czy męża stanu umieszcza w centrum uwagi, wybija tłustym drukiem na pierwszych stronach gazet nowe słowa, kończące się na -acja, inne zaś spycha na plan drugi, trzeci, czwarty, a nawet skazuje na niebyt. Poprzestańmy przeto na powyższych kilkunastu przykładach, idzie o istotę rzeczy, nie zaś o archiwistykę.

Rzeczowniki nazywające czynności zakończone na -acja są w języku polskim bardzo powszechne: archaizacja, bermudyzacja, chemizacja, deklinacja, eksploatacja, futuryzacja, germanizacja, higienizacja, indagacja, jaryzacja, penetracja, regulacja, stratyfikacja, taksacja, unifikacja, wariacja, żakardyzacja, etc., etc., aż po



bifurkację i fiksację. Ten typ konstrukcji słowotwórczej jest charakterystyczny dla polszczyzny; bez wdawania się w niuanse językoznawstwa historycznego dość powiedzieć, że owa -acja to nic innego jak łacińskie -atio dostosowane do polszczyzny, format słowotwórczy, produktywny i zgodny z normami języka. Tutaj właśnie dochodzimy do sedna sprawy.

Współczesna polszczyzna oficjalna, tzn. ta namiastka języka polskiego, którego funkcją jest zrytualizowana MOWA DO LUDU, to twór iście horrendalny; nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, iż biały człowiek może mieć spore trudności ze zrozumieniem tego bełkotu, niekiedy tylko udaje się wyłapać ogólne intencje mówiącego: miłość do ojczyzny, troskę o przyszłość kraju, Europy i świata, nienawiść do komunistów czy trwałe zakorzenienie w kręgu wartości chrześcijańskich. O co w tym chodzi konkretnie — dalipan, nie wiadomo. I nad tym nie należy się zastanawiać, bowiem mówiący nie mówią po to, żeby coś powiedzieć, lecz po to, aby mówić. I tu się zaczyna cały problem: z owego bełkotu, nieskładnego gramatycznie i logicznie, pozostają wymienione (i niewymienione) przeze mnie słowa, zakończone na -acja. Zgodne z normami języka polskiego, swojsko brzmiące, chociaż nie zawsze prawidłowo akcentowane, sprawiają wrażenie, iż to one są nośnikiem sensu całej wypowiedzi. Powtarzane kilkakrotnie pozwalają przypuszczać, że mają sens. Ostatecznie gdyby sensu nie miały, nie powtarzaliby ich z takim upodobaniem ludzie na odpowiedzialnych stanowiskach, osoby publiczne, mężowie stanu. Trudno o bardziej mylące przekonanie: zachowania rytualne mają swój własny sens, swoją własną logikę. Otóż sensem wyrazów zakończonych na -acja we współczesnej polszczyźnie oficjalnej jest właśnie ich powtarzanie. Proces ten nie musi prowadzić do wykrystalizowania jakiegoś tam znaczenia powtarzanego wyrazu, ale za to zaowocować może wymianą jednego wyrazu na zupełnie inny wyraz o identycznym zakończeniu — na tym polega istota tego rytuału. Kwestia sensu nie odgrywa tutaj istotnej roli, miast: „rusyfikacja" mawia się przecież: „sowietyzacja", nie przejmując się zanadto względami chociażby natury historycznej.

Wymienione przeze mnie słowa zakończone na -acja nie mają — powtórzmy — żadnego realnego znaczenia. Trudno je też przypisać do słownictwa określonej partii lub też stronnictwa politycznego. Natomiast jedno o nich można powiedzieć na pewno: są silnie nacechowane emocjonalnie, zgodnie z intencją użytkownika nazywają albo zjawiska bezwzględnie pozytywne, albo absolutnie złe; niekiedy nawet — jak ma to miejsce w przypadku „demokratyzacji demokracji" — służą spotęgowaniu cech pozytywnych ponad ludzkie wyobrażenie. Otóż te słowa niczego nie komunikują, spełniają rolę służebną w rytuale polskich zachowań językowych.

Interesujące mnie (a zainteresowanie to chyba w pełni zrozumiałe) słowa zakończone na -acja to nazwy czynności lub procesów. Owe czynności lub procesy są jednoznacznie pozytywne albo negatywne — i praktycznie tylko tyle o nich wiadomo. Tzw. denominacja złotówki jest zapowiadana od pewnego czasu, ma się ona wiązać z zahamowaniem inflacji, polegać ma na skreśleniu kilku zer i w efekcie doprowadzić powinna do rewaloryzacji złotego. Tzw. prywatyzacja poprzez likwidację przedsiębiorstw ma doprowadzić do ich restrukturyzacji i rekapitalizacji. Tzw. weryfikacja pracowników administracji państwowej jest elementem dekomunizacji społeczeństwa, co je uchroni przed postępującym procesem sowietyzacji i agenturyzacji. Z kolei agenturyzacja doprowadzić może do zahamowania procesu reform poprzez anarchizację, opierającą się na wulgaryzacji praw ekonomicznych. Zaś ekonomizacja naszego myślenia pozostawia jeszcze wiele do życzenia, inaczej nie możemy nawet myśleć o europeizacji. Zaś nie możemy myśleć poważnie o ekonomizacji i europeizacji, jeżeli nie dokonamy doprecyzowania ordynacji wyborczej, kładącej kres agenturyzacji. Nie osiągniemy tego jednak bez dekomunizacji społeczeństwa, poddawanego przez lata procesowi sowietyzacji. Bez dekomunizacji przeto nie sposób myśleć o denominacji złotówki, co stanowi przecież niebagatelny krok na drodze do europeizacji. Albo też słowa zakończone na -acja możemy poprzestawiać zupełnie inaczej, zawsze dojdziemy do jakiegoś wniosku. I o to w tym wszystkim chodzi.

Pora chyba teraz na konstatację, iż WERBALIZACJA to jedyna sfera, w której politycy polscy wykazać się mogą osiągnięciami. I to sporymi. Całe nieszczęście polega na tym, iż konsekwentne używanie nazwy pewnej czynności w mowie i piśmie nie oznacza, że ta czynność dokonuje się w rzeczywistości. Niestety, z tym liczyć się trzeba także wtedy, gdy używamy bardzo niejasnych nazw czynności i procesów. Tum się zawahał. Przecież stwierdziłem wcześniej, że w tym przypadku obowiązują zupełnie inne prawa logiczne, niźli te, do których przywykliśmy. Czyż używanie tych samych nazw czynności i procesów nie oznacza aktywnego udziału w życiu politycznym kraju? Tu nie przystoi zanadto zastanawiać się nad sensem, ostatecznie wszyscy wiedzą, że „lustracja" jest dobra i potrzebna, po cóż jeszcze zgłębiać sens tego słowa, wszak obawa przed lustracją jest świadectwem sowietyzacji, pogłębionej przez agenturyzację życia społecznego, a skoro lustracja jest elementem dekomunizacji, to bez niej nie możemy myśleć o europeizacji i denominacji, które przecież w konsekwencji doprowadzą także do waloryzacji rent i emerytur, etc., etc., etc.

Pora zatem na próbę podsumowania.

Po pierwsze: żaden z używanych w oficjalnej polszczyźnie



wyrazów zakończonych na -acja nie ma realnego znaczenia. Można je tylko spróbować przybliżyć za pomocą innych wyrazów zakończonych na -acja, wplatając je w konstrukcję myślową, niekiedy określaną mianem błędnego koła.

Po wtóre: publiczne używanie wyrazów zakończonych na -acja gwarantuje użytkownikowi jednoznaczne samookreślenie się, a ponadto świadczy o jego niebagatelnym obyciu z problemami trudnymi i skomplikowanymi — wszystkie te wyrazy są wszak zapożyczeniami z samego źródła większości europejskich języków.

Po trzecie: posługiwanie się wyrazami nazywającymi czynności i procesy jest także czynnością, przeto mówiącego niejako automatycznie włącza w proces naprawy Rzeczypospolitej.

Na tym wypadałoby zakończyć. Cały problem w tym jednak, że lingwistycznie figlując, prześmiewając polityków, mężów stanu, komentatorów politycznych, działaczy społecznych i związkowych wdepnęliśmy w ohydne bagno NOWOMOWY, bełkotu jednowartościowego, pragmatyczno-rytualnego, magicznego, arbitralnego. Przypomnijmy słowa Michała Głowińskiego: „Nowomowa nie tylko dąży do zastąpienia klasycznego języka, także na różne sposoby go dewastuje. Dewastuje m.in. przez to, że przejmuje jego elementy, nadając im nowy sens — często jednak w sposób ukryty, tzn. tworzy pozory, że w jej obrębie słowa znaczą to, co normalnie znaczą, kiedy naprawdę znaczą co innego. Dewastuje przede wszystkim te regiony języka, które służą mówieniu o problemach społecznych, historii, ideologii, polityce. Dewastuje także tradycje, np. tradycje języka rewolucjonistów i tradycje języka patriotycznego. Dewastuje, bo wszystko w tej materii sprowadza się do frazesu, do formuł, w których bezpośrednie oceny i rytualność — szczególnie w rzeczach publicznych, rozkłada przez to, że przeinacza bądź — w lepszym wypadku — neutralizuje te formuły i style, za którymi kryły się autentyczne treści i autentyczne postawy. Rozkłada komunikację także za sprawą tego, że oddziaływa na świadomość społeczną, zwłaszcza potoczną, budzi reakcje polegające na nieufności do wszelkiego języka". Otóż te słowa, zakończone na -acja, składające się w ustach ludzi zabierających głos publicznie w nieprzerwane łańcuchy słowne, to właśnie elementy dzisiejszej polskiej nowomowy, pragmatyczno-rytualnej namiastki języka. Zapewne tego typu bełkot jest nierozerwalnie związany ze społeczeństwami nowożytnymi: ideologia bywa zastępowana przez propagandę lub reklamę, powstają nowe frazesy i slogany, równie pozbawione sensu. Aliści obecnie to nie mój problem. Natomiast przeraża mnie to, iż znowu znaleziono słowa-wytrychy do otaczającej mnie rzeczywistości, nabrano przeświadczenia, że samo tokowanie o prywatyzacji jest już tożsame z

tym procesem. Albo z jakimkolwiek innym procesem, o którym można bredzić, posługując się łańcuchami tautologii.

A już zdawało się, że to w zasadzie niemożliwe, by wszystko zostało porwane przez fontanny słów, gejzery kalekich i pokrętnych zdań, trzymających się kupy dlatego tylko, że mówiącemu tak się podoba. Pewne jest jedno: w Polsce trwa intensywny proces dewastacji wszelkiego sensu. Jeszcze trochę i zacznie się nawoływać do podejmowania rozmów jak Polak z Polakiem — a to już było. I na tym przyjdzie nam zakończyć ostatecznie.

*Marek ADAMIEC*

# Nawijaj, nawijaj!...

*Pamięci Zygmunta Hertza*

To zawołanie słyszało się letnimi wieczorami 1952 roku w celach na Gęsiówce. W ten sposób zachęcali złodzieje takiego, który potrafił zajmująco opowiadać.

Żywioł języka mówionego wraz z kilkoma innymi przyczynami stał się moim bodźcem do pisania.

Powiedzenie, celne słowo, jedno nawet, w połączeniu z człowiekiem, jego wyglądem, zachowaniem — działało jak obraz, zostawało w pamięci. Mowa, którą słyszałem, co raz dostarczała mocnych wrażeń. Był to język przedmiejski, warszawski o charakterze zasiedziałym. Moje przedmieście, a właściwie miasteczko, nie zostało zniszczone jak całe lewobrzeżne miasto podczas powstania. W tym „ocalonym języku" między innymi przymiotami akcentowała się duma wynikająca z tożsamości narodowej.

Tak na przykład: ojciec trzech moich kolegów, stary Strzelecki, studniarz znakomity, krzyczał w chwilach gniewu na swoją pokorną, pracowitą i nad wyraz cierpliwą żonę — Ty chamico Kurpianko!

Wziął ją spod Myszyńca czy Kadzidła. Kopał kiedyś studnię u księdza i tak się zaczęło. Żeby było śmieszniej, to takich małżeństw wiejsko-miejskich kojarzyło się na przedmieściach dosyć dużo.



Natomiast mój przyjaciel Benek (korygował mnie Wiech, że po warszawsku powinno być Beniek, ale on był Benek — wyjątek od reguły), bohater opowiadania i tytuł drugiej w życiu książki wydanej w 1961 r. pt. „Benek Kwiaciarz" właśnie, powiadał chętnie w dyskusji dotyczącej pochodzenia — Bo ja mam Syrenkę w dowodzie! A on?... — wskazywał na przeciwnika — Snopek!

Świadczyć to miało o bezpośrednim wywodzeniu się ze środowiska „Placówki" i „Chłopów", nic nie uwłaczając włościanom. Przybysze ze wsi bowiem porzucali natychmiast swoje dotychczasowe dziedzictwo, a miejskiego w głębszym sensie nie mogli nabyć. Benek czuł się heraldycznie mocno osadzony. Od kilku pokoleń co najmniej.

Także i w języku, jak widać, zaznaczał się element trwałości, tradycji i duma z tych korzeni tak bardzo potrzebna w wojennym i powojennym zamieszaniu.

Jeszcze przytoczę praską historię przyjaźni kilku druhów serdecznych; razem podczas okupacji handlowali na dworcu papierosami, mydłem i czym się dało z niemieckimi żołnierzami wysyłanymi na front wschodni, razem rozbrajali pijanych żandarmów i sprzedawali broń ludziom z konspiracji. Ta przyjaźń przetrwała wojnę, stalinizm, Gomułkę, zwieńczona dużą aferą kradzionych samochodów oraz udanymi i nieudanymi ucieczkami do Austrii. Jeden z tych druhów i wspólników nosił przezwisko Cham; na Pragę bowiem przybył z Wołomina lub Tłuszcza. Pseudonim ów, punktujący jego nie warszawskie pochodzenie, przylgnął doń na trwałe i pozostał przy nim nawet w Wiedniu. Pochodzenie i mowa były herbowymi klejnotami. Język mimo pozornego ubóstwa posiadał jędrność, soczystość i bystrą celność w chwytaniu rozmaitych zdarzeń i zjawisk. Trafiał w sam środek tarczy. Jeden z moich znajomych z tamtych lat, węglarz turbowany przez milicję wołał: — Co mi tu łobuzerkę zakładacie w mundurze! Znaczyło to, że będąc na służbie znacznie przekroczyli swoje kompetencje.

A przezwisko tego węglarza, Tygrys, zostało mu dane z powodu porywczego charakteru. Pamiętam starca zwanego Mądrym. Pięknie opowiadał o dawnej Warszawie. Jeszcze jeździł konnymi tramwajami. Dlaczego Mądry? Nigdy nie pracował. Z podziwu, szczerego uznania został tak uhonorowany.

Jeszcze jeden językowy incydent dotyczący relacji z nielubianą władzą.

— W czym okoliczność? — pytał Benek indagowany przez milicjantów o okazanie dowodu osobistego. Zarazem przykład korzystania z poprawnej polszczyzny w nieoczekiwanym zastosowaniu.

W języku przedmieścia mieściła się szeroka skala wyrażania rozlicznych, istotnych spraw.

Nie zapomnę nigdy dramatycznej kłótni dwóch prostytutek tzw. „gruzinek" w zgruzowanym kwartale Żurawiej, Wspólnej, Poznańskiej i Marszałkowskiej.

— Ty bunkier kurwo! Ty arcy kurwo! Dorożkarskim dyszlem na postoju wyp..... Huj ci w czarne serce! Używam pisowni przez samo h, mając szacunek dla sztuki graffito na płotach i murach. Bezbłędnie wychwytywano fałsz, pozory i o gościu, który będąc prostakiem grał rolę wyższą, udawał tego, kim nie był w istocie, mówiono krótko — chamek z polerem! Co znaczyć miało cieniutką tylko warstewkę kultury, ogłady itp.

W czasach obowiązującego już upolitycznienia języka, PPS połączyła się wtedy z PPR, pewien doliniarz tak zwierzył się poetycko — jestem członkiem partii obrotowej, po tramwajach się obracam i kieszenie frajerów macam...

Zdarzały się sentencje wykute jak z kamienia na wzór łacińskich. Choćby: Cham i frajer to istota niezbadana!

Dużo rozwleklej mówiąc, chodziło w tym wypadku o dekalog miejskich przykazań niedostępnych nuworyszom. Dekalog, gdzie charakterystyczność, wspólnictwo i nieprzejednanie wobec kapusiów były cnotami największymi. Co prawda istniało to bardziej w sferze marzeń i pragnień niż w rzeczywistości, bo jak wiemy policja w tym środowisku większość sukcesów uzyskiwała z relacji informatorów. To temat do odrębnych rozważań.

Oprócz silnego umocowania w tradycji i honorze język przedmieścia nacechowany był pełnym szacunku otwarciem dla języka ogólnie stosowanego, powiedzmy, poprawnego. Przenikały zeń rozmaite zwroty, wyrażenia częstokroć zmieniane lub inaczej stosowane. Czy można nazwać inaczej tę zabawną zbitkę słów, którą zastosował mój przyjaciel Benek, dając wyraz oburzenia dla humorów i wyniosłości żony swego pryncypała. — Taka grand dama europejskiej sławy z bontonem za dychę! Lub opowiadając o początkach swej pracy w „jednostce uspołecznionej": Przyjął mnie personalny w mundurowej koszuli i krawatce, porywczy w ruchach, o niecierpliwym spojrzeniu. Nowa rewolucyjna władza po prostu! Elementy mundurowe zaś to strój zetwuemowski lub zetempowski.

Ten język również mimo postępujących zmian długo przechowywał dawne pojęcia, słowa już wyrugowane z obiegu, takie jak: komorne, kamienica (choć już powstawały bloki), panisko (choć tępiono wszelką pańskość), borg czyli kredyt, pobory czyli pensja, magistrat, kasa chorych, parcela, posesja — w tym można upatrywać przywiązanie do własności prywatnej, tak bezpardonowo zawłaszczanej przez komunizm. Nie przyjmował ponadto nowego nazewnictwa. We Włochach ulica Piłsudskiego przeżyła w mowie do późnych lat sześćdziesiętych.

Wracając do Benka Kwiaciarza. Ten swojak po pięciu klasach szkoły podstawowej (uczeń w szkole mego ojca), syn handlarki „na ręczniaku" z placu Kercelego i Wołówki oraz pewnego osobnika też z obszarów handlowych, posiadał niewątpliwy talent literacki, miał słuch na słowo, był bystrym obserwatorem, czytał co nieco, przeważnie gazetę wieczorną, ulubioną jego lekturą były „Tajemnice Nalewek" (lektura jego matki również) Henryka Nagla, powieść o podziemnym światku Warszawy początków wieku. Jego improwizacje i gawędy były wspaniałe. Rodziła się chęć zapisania tego co „nawijał". Później po latach namówiłem go do pisania. Pisał tak jak mówił. Żywo, soczyście, rozsadzając reguły, składnię, zdania krótkie i długie, ortografia nie miała znaczenia. Powstawała opowieść o jego życiu. Pierwsze rozdziały drukowaliśmy dzięki życzliwości mego kolegi, pisarza Mariana Pilota w *Tygodniku Kulturalnym*, a rozdział „Praca przy goździkach i różach" w *Polityce* lat siedemdziesiątych. Napisał jeszcze kilka fragmentów. O wyścigach konnych, swojej wielkiej pasji. O upadającej gastronomii małych knajp i szynków, które lubił najbardziej. O swoich przygodach z „córami Kuryntu". Ale tych rozdziałów nie dokończył. Zarzucił. Nie chwycił bakcyla słowa drukowanego. Może i dobrze. Pozostał wolny, prywatnie dla przyjaciół szafował swym talentem. Z okazji przygód erotycznych postawiony przed zarzutem odpłatnego korzystania z lokalu podejrzanego o przeznaczenie burdelowe, oświadczył godnie: — Proszę wysokiego sądu, przychodziłem wyłącznie w celach towarzyskich, po wódce ja się do amorów absolutnie nie nadaję!

Wielki chłop. Śmiech. Sąd też opuścił głowę i śmiał się dyskretnie.

Pochodził z tak zwanego mieszanego związku (co polska „tolerancja-nietolerancja" skwapliwie zarejestrowała) i w marcu 1968 r., pragnąc poprawić samopoczucie osoby szczególnie dotkniętej atmosferą tego czasu, powiedział wielkodusznie: — Proszę szanownej pani, co tam się przejmować, ja też jestem trochi Żydek... W tym światku przeważnie z szewców i fryzjerów wywodzili się filozofowie, artyści słowa. Rodzaj pracy sprzyjał medytacji i postrzeganiu.

Krawiec Skarbeńko opowiadając o wielkim romansie swego życia powiedział między innymi: — Biedne moje serce oszalało z miłości aż na fioletowo.

Benek był bukieciarzem i siedział w pakamerze lub piwnicy, układając wieńce, bukiety. Zaczynał pracę w tym fachu w słynnej kwiaciarni na rogu Alej i Marszałkowskiej, w nieistniejącej już kamienicy u pani Dziuby, wyzywającej piękności tamtych lat, rysowanej przez karykaturzystów (Julian Żebrowski), podobno z nią i Cyrankiewicz...

W tym wywodzie składającym się przeważnie z obrazków i

anegdot, pragnę złożyć hołd wolności języka przedmieść. Długo trwał suwerennie.

Przedmieścia znajdowały się na uboczu większych spraw. Dłużej się uchowały. Skromne. Nie pchały się na pierwszy plan. A najdłużej niezdobytą twierdzą pozostał język złodziejskiego świata. Pragi, Annopola, Targówka, Zacisza, Marymontu i stacji przymusowych podróży ludzi tej profesji: Strzelec Opolskich, Wołowa, Siedlec, Wiśnicza, Sztumu, Gęsiówki.

Ten język osobliwy, pełen zaklęć, mający wiele słów i zwrotów rodem z jidisz, rosyjskiego, a nawet francuskiego, trwał na przekór postępującej nawałnicy. Bardzo skondensowany, po spartańsku surowy i dosadny. Silny w oparciu o tradycję. Kiedy w szkołach 11-letnich T.P.D. uczniowie nic już nie wiedzieli o Piłsudskim, 20-tym roku i „Cudzie nad Wisłą", II Rzeczypospolitej, to w kręgach urków żywa była pamięć wielu pokoleń, mity dawnych lat, apoteoza dawnych wielkości takich jak kasiarz Cichocki czyli Szpicbródka, Hipek Wariat, Feluś Zdankiewicz, Wiktor Zieliński i inni. Przechowywano pamięć o ganach (od *ganew*) z Nalewek, Dzikiej, Miłej, Gnojnej i Krochmalnej. O tych Kulawych Gitmanach, Cabanach, Joskach Zakapiorach.

A zamiast — idę do pasera — mówiono — idę do Żyda.

Miałem przyjemność znać ostatnich stamtąd, pozostałych w powojennej Warszawie. Celowego z przejściówki na Gęsiówce, farmazonistę Jojnego i doliniarza Miecia Łapkę, który proponował żebym pisał Trylogię. Złodziejstwo przed wojną. W wojnę. Po wojnie. Miał być konsultantem. Niestety. Odkrył jedynego ocalałego krewnego ze swojej rodziny i wyjechał w 1963 roku do Brazylii. Otóż w tym języku paradoksalnie, bo był to światek biednych melin i drobnych, niefartownych złodziejaszków, istniało wiele podnoszącego na duchu kultu odwagi, twardości, rycerskiej niezłomności, co znajdowało wyraz w powiedzeniach:
— To był duży kozak, prawdziwy urke, nie pękał nigdy, nie dał im się złamać, miał prawdziwą złodziejską krew.

Kult honoru tej konfraterni najdobitniej zaznaczał się w pogardzie dla gwałcicieli i sutenerów, którym w celi przydzielano najgorsze miejsce do spania przy kiblu.

Natomiast kult Matki Boskiej, matki w ogóle podnosił to życie do rangi wyższej, przydawał mu sentymentalnej duchowości. „Mateczko moja bądź spokojna o mnie, ja tu w więzieniu jestem silny, zdrów, i tylko listy często pisuj do mnie..."

W tym systemie wartości słownictwo złodziejskie wtrącało w otchłań wieczystego potępienia kapusia, sprzedawczyka, wszelkiego rodzaju zdradę i wiarołomstwo.

— Kapuś czyli kurwa, suka, kabluje, stuka, z językiem lata do naczalstwa, chleba daje na lewo itd.

Złożony bywał stosunek kryminalistów do więźniów politycznych. Przysłuchiwałem się rozmowom, które „pod celą" prowadził włamywacz Franek Kucharz ze śp. „Podkową", kpt. AK Kuncewiczem, legendarnym przywódcą partyzantki na Lubelszczyźnie, więźniem PRL w latach 1947-56. Franek z jednej strony podziwiał go za odwagę i niezłomny charakter. Z drugiej zaś strony walka o jakąkolwiek ideową czy polityczną rację była dla niego niepojętą domeną frajerów.



Dla urków siłą motoryczną życia były marzenia o wielkim skoku i zdobyciu fortuny. Ich język używał kilku elementarnych pojęć, które miały wartość magiczną, określały jasno i zdecydowanie stosunek do życia. Ważna również była funkcja mitu, okraszanie swego marnego życia fantazją wyżynną, czego wyrazem może być ewokacja do kochanki w pieśni złodziejskiej — „Na wolności ja stworzę ci raj..." Nie będę rozważał zastosowania w praktyce. Różnie bywało. Jednak w postępującej nawałnicy języka panującego z radia, gazet (telewizji jeszcze nie było) żargon złodziejski był swoistą wyspą w powodzi. Promieniował na zewnątrz. Młodzież chętnie z niego korzystała. Ile czasu taka wyspa może trwać? Mohikanie musieli się poddać. Świat nasz został zagarnięty przez zwycięskiego samodzierżcę i wszystko zgodne z jego intencjami, ale i niezgodne, zunifikowało się jednak.

Gazety, telewizja — ten potężny walec dewastacji, bełkot zebrań, narad partyjnych tworzyły mowę, której stosowanie stało się koniecznym instrumentem dla egzystencji, zarówno zgodnej z prawem jak niezgodnej. Nie starczało już czasu na zabawę słowem. Bezinteresowność języka, jego igraszki przestały funkcjonować. Skończyło się „nawijanie" dla przyjemności. Obserwowałem jak wysycha język Benka Kwiaciarza. Szary, ubogi i anemiczny. Redukował się do funkcji elementarnych, koniecznych. Zmęczenie niszczyło inwencję. Brakować zaczynało odbiorców bezinteresownej sztuki słowa mówionego.

Oto strzęp dialogu posłyszanego w 1972 r. na wiejskim weselu, gdzie miasto łączyło się ze wsią w mariażu.

— Bo ja to jestem pragmatyk!

— Co to znaczy?

— Nie wiesz? Żeby nie dać się wyruchać.

Ta wulgarna dosłowność trafnie ilustruje drogę, którą przebył język życia w PRL.

Bywałem często na mazowieckiej i podlaskiej wsi, zmagającej się z silnym naporem komunizacji. Pamiętam wróża, który odgadywał przeszłość i przepowiadał przyszłość z eteru. Seans został poświęcony próbie odpowiedzi na pytanie, co stało się z chłopakiem zaginionym po zabawie w remizie strażackiej. Rok trwały poszukiwania i ani śladu zwłok, nic. W wizji wróżbity pojawił się diabeł w kusym stroju niemieckim, który spłoszył ko-

nie, wciągając bryczkę w bagnisko, stary dziedzic z nieistniejącego już dworu, młynarz nazwiskiem Frajzinger, święty Roch patron parafii, chłopski las zwany serwitutem, echa wojennych i powojennych obrachunków. A nic lub prawie nic z elementów PRL-u, kolektywizacji, ubeckich ciśnień, donosów, kołchozowej agitacji, przymusowego skupu zboża. Stary wróż trzymał się w dawnej strukturze życia. Był to rok 1953. Pękły tamy językowej i obyczajowej odporności. Wymierały starsze pokolenia i następne generacje żywiły się już tylko PRL-em. Pomieszało się wszystko. Radio, telewizja, kościół, życie udawane i prawdziwe, pozory i istota rzeczy. W jednym tyglu warzyło się to powszechne pomieszanie. Powstał wspólny język przypominający magmę. Bezbarwną, pełną zdechłych słów — parawanów i kamuflaży. Słów fałszywie określających pojęcia i rzeczy, służących nie do oświetlania zjawisk lecz do ich zaciemniania.

Ten przykry proces trwa nadal. Wkracza skrótowy amerykański z kaset i video i zarobkowych saksów. Łączy się z partyjno-pragmatycznym wciąż żywotnym. Okraszony naskórkową frazeologią, w której obok „Najjaśniejszej Rzplitej" pływają słowa-wytrychy, takie jak: biznes, sponsor, fundacja, promocja, prowizja. A leasing i konsulting tylko z nazwy przypominają utęskniony wolny rynek, będąc nadal wyprawą starego rewizora na połów martwych dusz.

Nie leży to jednak w zakresie niniejszych rozważań.

Położyłem nacisk na tamten umarły już język przedmieść i enklaw złodziejskich. To był mój język. Bez niego i ludzi nie miałbym impulsu do pisania. Oczywiście nieporozumieniem będzie mniemanie, że rejestrowałem ten język niby magnetofon. To jedynie tworzywo. A jeżeli już mówimy o literaturze, to krążyło niegdyś powiedzenie w moim mieście: — Pisać to możesz do składu desek! Oznaczało bezradność słowa pisanego. To smutne. Ale jednocześnie jest w tym jakiś czar. Oznacza również bezinteresowność, którą powinna oddychać prawdziwa literatura.

*Marek NOWAKOWSKI*

## *Ci, co odeszli*

# O Bohdanie Korzeniewskim (1905-1992)

Recenzja teatralna w ostatnim jaki się ukazał, w końcu sierpnia, lecz z datą 3 września 1939, numerze warszawskiego tygodnika *Wiadomości Literackie*, była omówieniem najnowszej premiery Teatru Narodowego. W pierwszych dniach września administracja pisma poprosiła telefonicznie recenzenta Bohdana Korzeniewskiego, by odebrał honorarium w kasie na Kredytowej. Tramwaj z Żoliborza do śródmieścia kursował jeszcze normalnie. W chwili, gdy Korzeniewski wchodził na ulicę Mazowiecką, odezwały się syreny alarmowe. Eleganccy przechodnie z nonszalancją przystawali przy bramach, wystawiając z nich głowy i przypatrując się słonecznemu niebu. Policjant z paskiem pod brodą usiłował nakłonić dorożkarzy stojących wzdłuż ulicy Mazowieckiej, aby zastosowali się do zarządzeń obrony przeciwlotniczej. — Panie władzo — odpowiadali mu woźnice — kobyłka jest młoda, niezwyczajna takich hałasów, wjedzie nie daj Boże derożką w witrynę i potem nie od szkopa tylko ode mnie będziesz pan ściągał mandat. Jednak wyrażając pewien stopień zrozumienia sytuacji, narzucali na konie derki i stawiali budy, zasiadając sami w głębi pojazdów.

Sztuką wystawianą w Teatrze Narodowym w przeddzień wojny była błaha, napisana w wieku dziewiętnastym dla teatrzyków ogródkowych farsa Ruszkowskiego, nosząca tytuł „Wesele Fonsia", a ton recenzji Korzeniewskiego był, jak sam określił po latach, więcej niż nieuprzejmy. W październiku 39, po powrocie do Warszawy, Bohdan Korzeniewski poszedł obejrzeć spalony Teatr Wielki. Z ogromu osmalonych murów, poskręcanych szyn, wiszących w powietrzu ścian biła groza, jakiej nie zdoła oddać żadne celowo zamyślone dzieło sztuki. W górze, pośrodku tych olbrzymich form, które zakrzepły w zmaganiach, stał

nietknięty płomieniem drewniany baraczek z doskonale zachowanymi, różowymi dekoracjami do „Wesela Fonsia". We wrześniu aktorzy Teatru Narodowego, nie hańbiąc się dezercją, trwali na posterunku. Codziennie przedzierali się przez bombardowane ulice i Fonsio w kraciastych spodniach i słomkowym kapeluszu z narażeniem życia zagradzał drogę barbarzyństwu, aż do chwili gdy gmach teatru obrzucony bombami zapalającymi zamienił się w stos ognisty oświetlający całą dzielnicę.

Urodzony w roku 1905, zmarły 5 września 1992 Bohdan Korzeniewski, uczeń profesora Józefa Ujejskiego na warszawskiej polonistyce, kierownik a zarazem twórca działu teatralnego Biblioteki Narodowej, wykładowca Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, pisywał przed wojną recenzje teatralne w tygodniku *Pion*, a potem w *Wiadomościach Literackich*. Podporucznik rezerwy, był w czasie wojny członkiem Biura Informacji i Propagandy Armii Krajowej i z ramienia Delegatury Rządu zajął się organizowaniem ruchu oporu w środowisku teatralnym. W roku 40-tym został zesłany do Oświęcimia, skąd udało się go jednak wyciągnąć. Po wojnie zajął się reżyserią teatralną, będąc twórcą wielu ważnych, wybitnych przedstawień. Przez kilkanaście lat jego spektakle wyznaczały pułap aspiracji i możliwości polskiego teatru. Wywarł także wielki wpływ na rozwój tej dziedziny sztuki jako wrażliwy, surowy lecz przyjazny wychowawca działających dzisiaj twórców, w ciągu osiemnastu lat dziekan wydziału reżyserskiego warszawskiej Wyższej Szkoły Teatralnej. Wreszcie, przez trzydzieści lat, od roku 56-go do końca życia redagował, wspólnie ze zmarłym także w tym roku Zbigniewem Raszewskim *Pamiętnik Teatralny*. Czytając uważnie trzydzieści sześć roczników tego kwartalnika dochodzi się do przekonania, że redakcja, nie zajmując się ostentacyjnym zwalczaniem władzy ludowej, sprowadziła jej wpływy na swoim terenie praktycznie do zera. Redagowane w Paryżu, pismo to nie mogłoby być lepsze, tyle że część nakładu każdego zeszytu byłaby konfiskowana na granicy. Ponieważ wydawano je w Warszawie, jeden tylko jego rocznik padł ofiarą konfiskaty, za to niemal w całości nakładu.

Działalność teatralna Korzeniewskiego należy do historii, stanowiąc ważny jej rozdział. Najtrwalszą częścią jego dorobku wydaje się dziś jego pisarstwo, które za życia uprawiał jakby na marginesie.

Przedwojenne recenzje teatralne zostały zebrane w tomie „Spory o teatr", wydanym przez PIW w roku 66. Ta średnich rozmiarów książka stanowi zajmującą lekturę także dla osób mniej zainteresowanych teatrem, lecz zaciekawionych tym, jak wyglądało życie w przedwojennej Polsce. Dobrze wytrzymuje zestawienie z każdym z tomów felietonów Boya, mając nad nim



przewagę w zrozumieniu odmienności sztuki teatralnej. Antoni Słonimski, który bywał na premierach sąsiadem Boya, opowiadał, że jego starszy kolega wkrótce po rozpoczęciu spektaklu zamykał oczy słuchając dialogów, oceniając potem to, co usłyszał, dodając uwagi o gestykulacji i wyglądzie artystek i artystów dramatycznych. Doskonale wykształcony Korzeniewski, praktykujący historyk teatru, znawca zarówno klasycznych jak najnowszych teorii estetycznych, dostrzegał z widowni nieporównanie więcej. Stawiając teatrowi surowe wymagania, w każdym wypadku szczęśliwie wybierał argumenty stosownego kalibru. Potrafił wyrażać ostre przygany tonem nadzwyczaj łagodnym, co nadawało im szczególną moc perswazji. W recenzji ze sztuki Ferenca Molnara (tego samego, który napisał „Chłopców z Placu Broni") zauważa, że na 14 postaci tej komedii trzy, licząc skrupulatnie, biorą udział w dramatycznym wydarzeniu. Pozostałe markują środowisko jako chodząca dekoracja. Uzupełniają spięty stos przedmiotów: bufetu, stolika, kasy, rzędów butelek na półkach, ciastek w bogatym wyborze. Wszystko to zawala scenę po to, aby wyjednać u widza wiarę w prawdziwość przeżyć owych trojga wybrańców. K. przyznaje, że widz pochodzący z warstw od niedawna zapełniających widownię jest mocno osadzony w świecie rzeczy, odczuwa ich wagę, przydatność czy zawadę. Zadaniem dramatu realistycznego byłoby uchwycenie tego żywego związku człowieka i przedmiotu, ustalenie wzajemnej ich zależności i oddziaływania. Jednak pani P., która oddała Ilonę z prostotą i wyrazistością dojrzałego talentu, biały fartuch nosiła jak płaszcz sportowy na wyścigach. Pan B. był mężem kochającym i poczciwym, ale więcej niż poczciwości miał dystynkcji, nie na cukierniczą miarę — marynarkę wkładał przy pomocy czeladnika i z miną co najmniej początkującego dyplomaty.

Oprócz swoich dawnych recenzji wydał Korzeniewski tom powojennych szkiców noszących tytuł „O wolności dla pioruna... w teatrze", w pewnej mierze uwikłany w walkę z narzucanymi przez władze polityczne ograniczeniami estetycznymi, nie ograniczający się jednak do tej polemiki, dzięki temu, że autor zachował pełną świadomość tego, co jest pozorem, a co stanowi istotę sporu. W r. 50-tym na przygotowane przez Korzeniewskiego przedstawienie molierowskiego „Don Juana" przybyło Biuro Polityczne, niemal w komplecie z Jakubem Bermanem na czele. Minister Kultury, nazwiskiem Sokorski, biegał między dygnitarzami a pokojem reżysera, szepcząc: bawią się dobrze, bardzo dobrze. Nazajutrz zapadła decyzja, że przedstawienie będzie wkrótce zdjęte. Reżyser został wezwany do Bermana, sprawującego równocześnie nadzór nad służbą bezpieczeństwa i kulturą. Berman powiedział, że spektakl jest wielkim osiągnię-

ciem artystycznym, że bardzo ceni to przedstawienie, ale jest ono zupełnie niezgodne z duchem czasu i polityką partii. Jest fideistyczne. Tysięczne tłumy gromadziły się w Lublinie, by patrzeć na cud, a wy — z przyganą mówił Berman — pokazujecie ludziom posąg Komandora, który kiwa głową. Korzeniewski upierał się jednak, że chce znać prawdziwą przyczynę decyzji. Berman spojrzał, zastanowił się chwilę i podziękował obecnemu dotąd przy rozmowie Sokorskiemu. Ten zerwał się posłusznie i wyszedł czerwony jak rak. Wówczas Berman wdał się w rozważania, na ile procent głosów mogliby liczyć komuniści, gdyby doszło do tak zwanych wolnych wyborów, praktykowanych w systemie burżuazyjnym, twierdząc, że nie spodziewa się więcej niż dziesięciu procent. Mówił, że partia nie pozyskała sobie jeszcze wystarczającego poparcia, że często jej podporę stanowią karierowicze. — I teraz pan — ciągnął Berman — wystawia sztukę, która piętnuje z całą wyrazistością, przekonywująco i zaraźliwie, ludzi, którzy budują swoje kariery w poczuciu całkowitej bezkarności. I aktor wygłasza wspaniale tę diatrybę o korzyściach płynących z obłudy, podczas gdy nam chodzi o każdego człowieka, który zgłasza się do partii. Dialog ten został przytoczony w książce „Sława i infamia", długiej rozmowie Małgorzaty Szejnert z Bohdanem Korzeniewskim, o losach polskiego teatru między rokiem 39-tym a końcem stanu wojennego, książce mającej dotąd trzy wydania: w podziemiu w roku 88, wkrótce potem w Londynie, i ostatnio w Wydawnictwie Literackim. Powodzenie „Sławy i infamii" przesłoniło pozycję znacznie ważniejszą, tom wydany przez Nową w r. 89 pod skromnym tytułem „Książki i ludzie", przez chwilę dostępny nawet w księgarniach lecz mający wszelkie cechy materialne wydawnictw podziemnych z ich nabitym, trudno czytelnym drukiem. Jeden z pięciu zamieszczonych tam tekstów stanowi zapisana przez Wacława Borowego relacja Bohdana Korzeniewskiego z pobytu w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego podczas powstania. Korzeniewski mający 1-go sierpnia dyżur w bibliotece, w której był zatrudniony, pozostał na jej terenie do 18-go września, gdy z paroma pozostałymi osobami z personelu był wypędzony przez Niemców z miasta. Na peryferiach Warszawy udało mu się odłączyć od kolumny i uniknąć w ten sposób zamknięcia w obozie w Pruszkowie i wywiezienia. 21-go i 22-go października w Milanówku Borowy zapisał jego opowiadanie. Wkrótce potem obaj uczestniczyli w organizowanych przez Stanisława Lorentza za zgodą Niemców jednodniowych wyprawach do Warszawy, by wywieźć z niej najcenniejsze zbiory. Niemiecka przepustka wręczona profesorowi Borowemu miała ważność do 31 marca 45. Z chwilą ucieczki Niemców z Pruszkowa, Korzeniewski pieszo dotarł do Warszawy, znów do Biblioteki Uniwersyteckiej, mającej wyważone frontowe drzwi i wybite szyby. Przez kilkanaście dni musiał zajmować się odprawianiem gości, rosyjskich żołnierzy poszukujących tu najlepszego papieru do zawinięcia machorki... jeszcze nie skończyła się wojna, gdy wyruszył do Niemiec w zaprojektowanej przez siebie samego misji dla odzyskania wywiezionych tam z Warszawy książek. Zarówno zapis Borowego jak tekst o doświadczeniach z pierwszych miesięcy roku 45-go ukazały się wcześniej w zredagowanym przez Stanisława Lorentza dwutomowym wydawnictwie z roku 70-go „walka o ratowanie dóbr kultury". Cenzura dotkliwie okaleczyła drugi z tych tekstów, choć i tak przeszły wówczas rzeczy przekraczające zwykłą miarę. Tak więc już wtedy mogliśmy czytać o tym, jak w lutym 45 Korzeniewski w towarzystwie Andrzeja Pronaszki i aktora Karbowskiego, zostali zatrzymani na placu Mariackim koło Sukiennic w Krakowie przez uzbrojony patrol trzech wyrostków w mundurach. Według kryteriów Urzędu Bezpieczeństwa trzech obywateli naraz stanowiło zbiegowisko. Obywatelscy milicjanci postanowili zatrzymać K., nakazując jego towarzyszom by się oddalili. Gdy zaś ci stali niezdecydowanie w poczuciu solidarności z aresztowanym rozmówcą, rozległ się ryk: — „*Raus*! No, rozumiecie, *prochodi*! Okazało się jeszcze i tym razem, że brak ciągłości w istnieniu państwa dotkliwie odbija się na naszym słownictwie. Nie posiadamy własnych zawołań na takie okazje i wobec tego przy próbach zaprowadzenia porządku musimy zapożyczać się u sąsiadów". Trzy pozostałe rozdziały, „Pagórek", „Powrót" i „Wyzwolenie", ukazały się po raz pierwszy właśnie w *Kulturze* (nr-y 1-2 i 5 z r. 85 oraz 1/2-86). Dwa pierwsze poświęcone są pobytowi autora w obozie oświęcimskim, trzeci zetknięciom z żołnierzami rosyjskimi na terenie Biblioteki Uniwersyteckiej w styczniu 45. Te ostatnie doświadczenia były nie mniej groźne od obozowych, tyle, że tu autor z własnej woli narażał się na niebezpieczeństwa. „Te wspomnienia — powiada w krótkiej przedmowie Bohdan Korzeniewski — wyrosły z niepokoju, jaki zapewne jeszcze będzie trwał przez długie lata, jeśli nie przez wieki, przy rozważaniu naszych czasów. Budzą one zdumienie, które najlepiej wyrażają ręce przyciśnięte do ust i oczy zapytujące jak do tego mogło dojść. Chciałbym — pisze dalej autor — żeby ludzie przy czytaniu tych stron uczynili w myśli taki gest przerażenia". Ta, w najwyższym stopniu oszczędna proza wydaje mi się jakby wykuta w marmurze. Jest przy tym zadziwiającą historią przygód. Nieuzbrojony bohater za pomocą paru zdań, a władał doskonale językami obu sąsiadów, czasem za pomocą gestu czy spojrzenia wielekroć wydobywał się z opresji, ratując więcej niż tylko własne życie. Jego ciekawość ludzi, która na przykład sprawiła, że mogąc przed wojną być wyrekla-

mowanym od służby wojskowej wolał ją odbyć, nie chcąc być pozbawionym tego doświadczenia, otóż ciekawość i uzyskana dzięki niej wiedza pozwalała zarazem na niekonwencjonalne zachowanie wobec protagonistów jak i na uważny opis ludzi i sytuacji. Ta mała cienka książka zmienia kanon nowszej literatury polskiej, podważając pozycję Tadeusza Borowskiego, którego nowele uchodziły tak długo za sumę doświadczeń obozowych. Fakt, że ranga tej prozy nie została dotąd rozpoznana, wydaje się pozbawiony większego znaczenia. Wobec dzieła tej miary upływ lat nie odgrywa szczególnej roli.

Dziś jednak warto zacząć lektury Bohdana Korzeniewskiego od wspomnień dotyczących przedwojennego dwudziestolecia, zanotowanych przez Rafała Zakrzewskiego i ogłoszonych w miesięczniku *Znak*, w numerach od 402 do 411, datowanych między listopadem 88 a sierpniem 89, noszących tytuł „Było, minęło, nie wróci". Każda z książek Korzeniewskiego reprezentuje inny gatunek literacki: tom recenzji, tom esejów, wywiad o wartkości górskiego strumienia, proza eseisty spokojnie relacjonującego rozmowę z prowadzącym go na przesłuchanie rosyjskim oficerem. Nie wydane dotąd w formie książkowej wspomnienia mówione są przeznaczoną jakby dla wnuków opowieścią o kraju normalnym, czy raczej wybijającym się na normalność, w którym wyrastał młody Bohdan Korzeniewski. Pasjonujący, sprawiający wrażenie krytycznego lecz sprawiedliwego, obraz tamtej Polski przewyższa dziś aktualnością inne tematy podejmowane przez autora.

*Andrzej DOBOSZ*

**WAWEL**

**PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA**
**w Niemczech Zachodnich**

**Wszystko na temat Europy Wschodniej:**
**— Literatura piękna i fachowa,**
**— Albumy, plakaty, pamiątki,**
**— Książki antykwaryczne.**
**Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.**

**Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.**
Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

## *Książki*

# Cenne opracowanie

„Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939-1980[1]" został oddany do druku w marcu 1985 roku, a ukazał się na wiosnę 1992. Cykl wydawniczy niepomiernie długi, usprawiedliwiony zmianami, które w Polsce zachodziły i zachodzą. W pewnym sensie zwłoka wyszła na dobre — zginęło zagadnienie nazwisk, które przed rokiem 1989 mogły być „wątpliwe", dane bio-bibliograficzne doprowadzono do roku 1990, aktualizując pracę. Czekać więc było warto.

Słownik obejmuje wyraźny, zamknięty okres: 1939-1980. Nie ma więc tu pisarzy, którzy opuścili kraj lub pozostali na Zachodzie po ogłoszeniu stanu wojennego. Wyeliminowało to zamęt i kontrowersje cechujące wcześniejsze, spieszne opracowania Dybciaka i Zielińskiego. Natomiast włączona została twórczość tych, którzy w różnych latach powojennych do kraju wrócili, bądź — jak Maria Pawlikowska-Jasnorzewska — mieli proporcjonalnie mały dorobek emigracyjny. „Odzyskaliśmy" więc nie tylko Rostworowskiego, ale i Cata-Mackiewicza, Kuncewiczową, Kossak-Szczucką, Wańkowicza, szereg innych. Nawet tych, którzy bezpośrednio po zakończeniu wojny wybrali powrót (Broniewski, Fiedler) bądź Choromański, który wprawdzie przebywał na Zachodzie do 1957 roku, ale wydał w tym czasie tylko jeden dramat — po francusku.

Pominięto, słusznie, oceny wartościujące, niestety jednak nie zastosowano ich do selekcji nazwisk. Sprawa trudna, drażliwa, ale skoro mały słownik uwzględnia 469 haseł osobowych, strach pomyśleć, kogo znajdziemy w dużym. „W pamięci komputerowej zostały zapisane dane bio-bibliograficzne 1456 autorów". A

1. Bolesław Klimaszewski, Ewa R. Nowakowska, Wojciech Wyskiel, *Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939-1980*. Praca zbiorowa pod redakcją Bolesława Klimaszewskiego. Instytut Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wydawnictwo Interpress, Warszawa 1992. Stron 498.

już w czasie zjazdu pisarzy w Warszawie w 1991 roku nazwisk niektórych uczestników zza granicy nie można było znaleźć w żadnych krajowych źródłach. Powraca zagadnienie, które prześladowało nas przez emigracyjne lata — kto z piszących jest... pisarzem. W szczątkowych „środowiskach" kursują opinie, ale czy miarodajne i bezstronne?

Według wstępu neutralność obowiązywała również wobec „postaw ideologicznych autora". Czemu więc przy kilku nazwiskach spotykamy uwagi typu „odwiedziła kraj w r..." czy „wielokrotnie przyjeżdżał do Polski"? Czemu właśnie te a nie inne osoby zostały „wyróżnione", skoro wyjazdy zdarzały się i innym, nieraz bardzo dbałym o „nieskazitelność"? A samo zagadnienie dziś się kwalifikuje do zamkniętej szuflady.

Nieprzemyślane wydają się uwagi wstępu, ustalające pisarzy — „urodzeni w Polsce, polskiego pochodzenia, urodzeni poza granicami Polski, przebywający poza nią, tworzący w języku polskim"; druga grupa to niewątpliwie Polacy ze Śląska Cieszyńskiego, Ukrainy, Litwy itp. Ale co z twórcami, którzy urodzili się przed Wielką Wojną na rubieżach kraju, w głębi Rosji i innych krajach? Oczywiście są w słowniku, choć niektórzy dotarli do Polski już pełnoletni. Gdyby zabawić się w statystyczną analizę, procent pisarzy urodzonych w granicach Polski (przedwojennej czy obecnej?) byłby chyba zadziwiająco niski — wdzięczny temat dla przyszłego socjologa i historyka kultury.

O socjologię zahacza również zagadnienie zawodów uprawianych przez „pisarzy polskich na obczyźnie". Młody twórca w kraju, nieświadom jeszcze realiów życia na emigracji, może westchnąć z zawiścią — najwyraźniej nawet poeci wyżyć mogli z pióra, prozaikowi wystarczyło widocznie na życie redagowanie stałej rubryki w „Pamiętniku Literackim" (ukazującym się raz na rok...). Zauważyliśmy lekarza, architekta, kilku artystów malarzy. Sporo profesorów, wykładowców uniwersyteckich; tu uwaga do przyszłego wydania: wykładowca w polskim sierocińcu i na uniwersytecie w Berkeley, to jednak nieco różne zawody... Ale nieliczni tylko pisarze przyznają się (a część danych musi pochodzić bezpośrednio od nich) do pracy fizycznej, czy innych nieznaczących emigracyjnych „zawodów" (w podwójnym chyba słowa znaczeniu!). Samocenzura działa — niepotrzebnie, niektóre powieści, opowiadania nie powstałyby, gdyby autor nie wyszedł poza swe środowisko.

Wstęp wyjaśnia, że uwzględniono znaczące wspomnienia osób nie uznawanych za „zawodowych literatów" (czy są — czy byli tacy na emigracji?). Opatrzeni są oni etykietką „wojskowy" bądź „polityk": pierwszej przydałoby się określenie „były", druga — przeraża mnogością. „Wspomnieniowców" różnego autoramentu naliczyliśmy koło 70-u; przeważnie autorzy jednej



książki, rzadko ważkiej; często nieznani nawet osobom zorientowanym w twórczości emigracyjnej; czasem jest to jeden z rodzajów uprawianej twórczości.

Niestety nie pierwszy raz napotykamy nieporozumienia w dziedzinie gatunków literackich. Zadziwiająca ilość pisarzy to „publicysta" lub „krytyk literacki". W warunkach emigracyjnych, przy współpracy z licznymi ongiś pismami, mało kto nie miał na koncie pisarstwa tego czy innego typu. Publicystów było wielu, „ale żaden z nich nie śmiał..." — wirtuozów mieliśmy kilku, adeptów bez liku. Piszę bezstronnie, bo znalazłam publicystyczną etykietkę przy swoim nazwisku — odpisuję na grzechy młodości. Podobnie z krytykami literackimi — ten rodzaj wyjątkowo mizernie przedstawiał się na emigracji; można mówić raczej o recenzjach, rzadko rzetelnych, częściej kurtuazyjnych, czy wręcz „kumoterskich".

Bardzo luźno zostały potraktowane specjalności, wymagające wieloletnich studiów, rozległych wiadomości, pracy badawczej, sięgania do źródeł. Mam na myśli historyków i historyków literatury. Szereg nazwisk co najmniej dziwi. Nie uważałam za celowe wyławianie pisarzy w słowniku pominiętych — braków rażących nie napotkałam, a praca będzie poszerzona. Ale na tle historyków uwzględnionych nie mogę nie upomnieć się o Stanisława Kościałkowskiego, Mariana Kukiela, Oskara Haleckiego i Władysława Pobóg-Malinowskiego.

Interesującym *novum* są zgrupowane osobno hasła pisarzy polskich ze Śląska Cieszyńskiego, Białorusi, Ukrainy, Litwy i Rosji. Ze szczegółów bibliograficznych wynika, że wiele utworów, zwłaszcza pisarzy osiadłych na Śląsku, ukazywało się w latach osiemdziesiątych w Polsce.

Drugim uzupełnieniem pracy jest wykaz emigracyjnych antologii i książek zbiorowych z wyszczególnieniem zawartości.

Praca nad słownikiem oczywiście wykonana została zbiorowo — redakcja dr. Bolesława Klimaszewskiego, znanego nam z pionierskiej i cennej rozprawy habilitacyjnej o Polonii amerykańskiej[2]; poza wymienionymi na stronie tytułowej naukowcami (Ewa R. Nowakowska i Wojciech Wyskiel), którzy wraz z dr. Klimaszewskim opracowali poszczególne hasła osobowe, współpracowało szereg innych osób.

We wstępie wymienione są bibliografie, słowniki i opracowania krajowe i emigracyjne, na których się oparto. Tekst świadczy, że skorzystano z nich rzetelnie.

Praca musiała być żmudna — wiemy, że istnieją poważne za-

2. Bolesław Klimaszewski, *Pod znakiem potu, łez i dolara. Polonia amerykańska w zwierciadle literatury polskiej.* Uniwersytet Jagielloński. Rozprawy habilitacyjne Nr 208. Kraków 1990. Stron 230.

łegłości w krajowych wydawnictwach związanych z bibliografią — są na ogół przedawnione, nie doprowadzone do ostatnich lat. Na emigracji pozostały luki nie do wypełnienia.

Tym więcej cieszyć się należy, że wydana została praca informująca o twórczości polskiej na obczyźnie.

*Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA*

# Brak zmysłu formy

Tematem „Chwil pewności"* Mariana Stali, laureata Nagrody Kościelskich przyznanej mu właśnie za ten zbiór szkiców, jest „oddalanie się od awangardy i kształtowanie nowego ładu w poezji". Punktem wyjścia rozważań autora jest znany szkic Jana Błońskiego, który w polskiej poezji współczesnej wyodrębnił dwa „bieguny poezji": stronę Miłosza i stronę Przybosia. Konstatując zapaść tej drugiej, Stala stwierdza: „W miejsce dawnego biegunowego ładu zjawił się w nowej poezji kształtujący się przez lat kilkanaście — centralny nurt". Pisząc o „nowej poezji" podkreśla, że nie jest ona dziełem debiutantów: „O jej kształcie i istotności zadecydowały przede wszystkim (...) nowe dzieła mistrzów, poetów uformowanych dużo wcześniej, ale: bądź pokazujących wyraźnie inną stronę własnego dzieła, bądź dochodzących do swych najważniejszych kreacji". Ta „nowa poezja" — odnotowuje krytyk — ma też wyraźny wpływ na postawy debiutantów. Zauważa też, że liryka ta odrzuca pojęcie „nowoczesności", w tym jego rozumieniu, jakie określiła twórczość Przybosia i awangardy. Wyróżnikami „nowej poezji" są następujące zjawiska: 1. „koncepcja języka poetyckiego nie jest w myśleniu tych poetów ujawniana jako sprawa bezwzględnie najistotniejsza, najmocniej ich określająca i wzajemnie różnicująca", 2. „przesunięcie akcentów z języka poetyckiego na problematykę przekraczającą granice poetyki i estetyki", 3. „przekonanie, iż słowo (także słowo poety) nie jest samoistne, że zawsze istnieje w świecie i wobec świata, który może je umocnić lub unicestwić". Przedstawiciele „nowej poezji": „pokazują (...) od różnych stron świat, w którym wartości są bezustannie kwestionowane, zagrożone, niszczone".

Nie bez racji wskazuje też Stala, że „bezustannym przeciwnikiem wskazywanych postaw jest chyba Tadeusz Różewicz, najkonsekwentniej pokazujący świat odarty z wartości i powątpiewający, by można było do nich powrócić". Że Różewicz jest przeciwnikiem zarysowanej przez Stalę czułostkowej, sentymentalnej koncepcji poezji, to nie ulega wątpliwości. Nie rozumiem jednak, jak można interpretować świat poezji Różewicza jako „odarty z wartości", skoro w jego centrum znajduje się coś, co nazwać by trzeba wartością wartości — osoba ludzka. Ale cóż, Różewicz nie ma na ogół szczęścia do interpretatorów — niezależnie od tego, czy będą to krytycy, czy chwalcy.

Tom Stali zbudowany jest z czterech segmentów. Na pierwszy składają się trzy szkice: odnalezienie korzeni współczesnej poezji polskiej w wydobytych z rękopisu lirykach lozańskich Mickiewicza; esej o granicy milczenia, do której dociera współczesna poezja medytacyjna (przykłady: Miłosz, Krynicki, Moczulski), wreszcie tekst poświęcony metaforze „czarnego słońca", dla której dojście widzi autor w tomie Wata „Ciemne świecidło". W tym ostatnim wypadku charakterystyczne dla redukcyjnego i zubożającego pejzaż polskiej poezji myślenia Stali jest pominięcie zwrotnego w rozwoju poetyki awangardowej, fundamentalnego poematu Tymoteusza Karpowicza „Odwrócone światło".

Segment drugi to hołd złożony poezji Czesława Miłosza. W inteligentnych analizach — najciekawszą stanowi szkic „Brzegi Lemanu" — nie dociera jednak autor do tych pytań, które w twórczości laureata Nagrody Nobla wydają się szczególnie ważne. Nie dociera jednak do nich dlatego, iż musiałby zaprzeczyć swej wcześniejszej tezie mówiącej o tym, że koncepcja języka poetyckiego nie stanowi w „nowej poezji" sprawy najistotniejszej. A wystarczy przecież sięgnąć po tom „Nieobjęta ziemia", by się przekonać, że sprawa wcale taka prosta nie jest. Sięgnijmy więc. Oto trzy poetyckie notatki, które sprawę języka stawiają w centrum uwagi:

„Bluszczowatość polskiego języka. W przeciwieństwie do samowystarczalnej, bliskiej ludowym korzeniom, krzepy rosyjskiego. Ale bluszcze nie muszą być uznane za podrzędne. Muszą mieć jednak na czym się oplatać i dlatego tak ważny dla piszących po polsku był rytm łaciny". (Tu uwaga: Miłosz w ostatnim zdaniu używa — nie bez racji — czasu przeszłego!).

Dalej czytamy:

„Trudność ustawienia głosu. Czy też, inaczej, trudność zakreślenia granicy w zdaniu, które w polskim ma skłonność do rozlewania się kapryśnie na boki, aż po zupełne gadulstwo. Niepokojący jest nieraz brak zmysłu formy u staropolskich autorów, i to nawet tych ze Złotego Wieku".

I wreszcie:

Czy brak zmysłu formy, dostrzegalny w języku, w piśmiennictwie, może być przyczyną upadku jakiegoś kraju? Nie że następstwem upadku jest brak zmysłu formy, bo to byłoby za proste, ale odwrotnie. Wtedy dopiero pytanie nabiera jadowitości".

* Marian Stala: *Chwile pewności. 20 szkiców o poezji i krytyce*, Wyd. Znak, Kraków 1991, s. 284, ISBN 83-7006-103-6.

Oczywiście — z tymi uwagami Miłosza można i chyba nawet należy się spierać. (Choć dzisiejsze popisy oratorskie naszych „polityków" zdają się mieć, niestety, swe źródła w owych wadach polszczyzny poetyckiej opisywanych przez autora „Nieobjętej ziemi"). Nie chodzi tu jednak o spór — chodzi o to, że Stala, podobnie jak wielu wielbicieli Miłosza, wielbi go pozornie, nie starając się nawet podjąć dyskusji na temat pytań dla poety zasadniczych.

Zakładając, że twórczość Miłosza wyznacza centrum „nowej poezji", która na zacny margines usunęła awangardę, ulega młody krytyk sugestiom Błońskiego, który Miłosza przeciwstawiał Przybosiowi i nurtowi awangardowemu. Rzecz w tym, że Miłosz sam dość często z osiągnięć awangardy korzysta, choć przecież — jak choćby w cyklu — „zapisane wczesnym rankiem mową niezwiązaną" (sam termin „mowy niezwiązanej" aż się prosi o czułą analizę) — ich nie eksponuje. Niemniej pytania o język poezji z pewnością należą do najważniejszych stawianych w tej twórczości, co też niewątpliwie stanowi dziedzictwo awangardy.

Tezą książki Stali jest przekonanie, że „nową poezję" tworzą poeci doświadczeni, którzy w ostatnim czasie zmienili tonację. Nie sądzę, by Miłosza lub Szymborską ta teza mogła rzeczywiście objąć. I myślę, że nie bez znaczenia będzie dziś odwołanie się zarówno do słynnego aforyzmu o Przybosiu z „Traktatu poetyckiego" i do wiersza „Do Tadeusza Różewicza, poety", w którym czytamy m.in.:

*Tylko retorzy nie lubią poety,*
*Siedząc na szklanych krzesłach rozwijają*
*Długie rulony, metry szlachetności.*
*A naokoło huczy śmiech poety*
*I jego życie nie mające kresu.*

Ta strofa godna jest przypomnienia zwłaszcza w świetle ogłoszonego przez Miłosza w latach osiemdziesiątych szkicu „Szlachetność, niestety...".

Odwołuję się do tego cytatu w związku z analizą, jakiej poddał Stala wiersz Juliana Kornhausera „Forma". Wchodzi ona w skład trzeciego segmentu jego książki, w którym odnajdujemy teksty poświęcone Szymborskiej, Herbertowi, Krynickiemu, Barańczakowi, Kornhauserowi, Polkowskiemu i Majowi. Ta analiza wydaje się być zasadnicza dla odtworzenia atmosfery całego tomu krakowskiego krytyka. Poddając wiersz Kornhausera miażdżącej krytyce, dokonuje jego niebywałej redukcji. Pisze m.in. „Może dlatego, gdy Krynicki i Zagajewski znaleźli się po stronie Herberta (a więc: poszukiwania świata nasyconego wartościami i obrony tych wartości, dlatego właśnie, iż są zagrożone) — on sam naśladuje aż do znudzenia gest Różewicza, powtarzający bez końca, że nic nie ma sensu i że wszyscy i tak siedzimy w błocie. Może siedzimy. Może jednak — nie...".

Szlachetność, niestety... Przy czym szlachetność z tendencjami



do redukcji sztuki poetyckiej. Powtarzający się w książce Stali liczman „świata nasyconego wartościami" przestaje w tej sytuacji cokolwiek oznaczać. Zaś wmawianie sobie i innym, że Różewicz przekonuje o braku sensu oraz iż sadza nas wszystkich w błocie (skąd ja znam te oskarżenia?) — te zarzuty zresztą pojawiają się znów coraz częściej, jak choćby w recenzji z „Płaskorzeźby" Różewicza na łamach krakowskiej *Arki* — w zasadzie uniemożliwiając jakąkolwiek sensowną rozmowę o poezji. Radziłbym młodemu krytykowi przeczytać prowadzoną w bodaj 1954 roku dyskusję, w trakcie której Błoński podjął wysiłek odratowania Różewicza przed oskarżeniami o „ahumanizm". Czy naprawdę musimy w kółko międlić te same głupstwa? Warto raz jeszcze zastanowić się nad funkcją ironii i autoironii w twórczości Różewicza: może wreszcie stanie się bardziej zrozumiały. Ale — rzecz jasna — nie dla tych, którzy sprawy języka poetyckiego uważają za marginalne.

Zasadzona na takim rozumieniu poezji krytyka wiersza Kornhausera i towarzyszące jej pochwalne pienia na temat innych autorów omawianych w tej części książki są w istocie jedynie deklaracjami ideowymi Stali, powtarzającego do znudzenia, iż poezja służy ratowaniu zagrożonego świata wartości. W tym kontekście zrozumiałe jest też zredukowanie świata polskiej poezji wyłącznie do autorów uzasadniających wiarę Stali. Książka poszukująca tytułowych „chwil pewności" musi świat poetycki redukować: zarówno świat przedstawiony w twórczości omawianych w niej autorów, jak i świat całej polskiej twórczości poetyckiej. Można, oczywiście, pisać w ten właśnie sposób — tym bardziej, iż Stala pisze inteligentnie. Szkoda jednak, że autor doprowadza w ten sposób myślenie o poezji do poziomu, jaki reprezentują nudni belfrzy w szkole podstawowej. Ale jeżeli rzeczywiście ma nam zagrażać taka „nowa poezja", jaką chce w swej książce wykreować krytyk, należałoby przestać ją czytać. Na szczęście ani taka poezja nam nie zagraża, ani omawiani tu autorzy nie są tak nieskomplikowani, jak by z lektury „Chwil pewności" mogło wynikać.

Tom zamykają cztery szkice poświęcone dwóm krakowskim krytykom starszej generacji: Kazimierzowi Wyce oraz Jerzemu Kwiatkowskiemu, bodaj najbardziej interesujące w całej książce. I tu jednak zdumiewa dążenie do przykrawania cudzej myśli do własnej wizji świata.

*Leszek SZARUGA*

# Nadesłane nowości wydawnicze

REJMAN (Zofia). *Jan Paweł Woronicz, poeta i kapłan.* Str. 204. (Wyd. Verba, Chotomów 1992).

HERBERT (Zbigniew). *Rovigo.* Str. 59 i 5 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1992).

STABRO (Stanisław). *Chwila bez imienia. O poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.* Str. 349 i 3 nlb. (Wyd. Verba, Chotomów 1992).

BUKOWSKI (Waldemar), GŁUSZEK (Stanisław), SOLAK (Zbigniew). *Bibliografia historii polskiej za rok 1988.* Str. 366. (Wyd. PAN, Instytut Historii, Ossolineum Wrocław-Warszawa-Kraków, 1991).

BEREŚ (Stanisław). *Uwięziony w śmierci. O twórczości Tadeusza Gajcego.* Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. PEN, Warszawa 1992).

MORAWSKI (Jerzy). *Ślad kuli.* Str. 149 i 3 nlb. (Wyd. Unicorn, Warszawa-Londyn 1992).

DULIAN (Renata). *Forsycja zaprasza.* Wiersze. Str. 40. (Wyd. Krakowski Klub Artystyczno-Literacki, Kraków 1992).

WIRSKI (Kazimierz). *Biją dzwony.* Wiersze. Str. nlb. (Wyd. FIMAS, Haninge, Szwecja 1992).

PIESZCZACHOWICZ (Jan). *Walka z niebytem (O poezji Haliny Poświatowskiej).* Str. 64. (Wyd. Prowincjonalna Oficyna Wydawnicza Exartim, Bochnia 1992).

WINCZAKIEWICZ (Jan). *Wiersze przesiane.* Str. 112 i 4 nlb. (Wyd. ZK, Kalisz 1992).

CIENIAWA (Stanisław). *Świat bez ateistów, miłość bez kłamstwa.* Str. 114. (Wyd. Uniwersytet im. A. Mickiewicza, Instytut Filozofii, Poznań 1992).

ŁUKASIEWICZ (Stanisław). *Na polach i w lasach. Opowieść o roku 1863.* Str. 154 i ilustracje. (Wyd. „Colgraf", Warszawa 1992).

HERWARTH (von, Hans). *Między Hitlerem a Stalinem. Wspomnienia dyplomaty i oficera niemieckiego 1931-1945.* Przeł. E. C. Król. Str. 520 i fotografie. (Wyd. Rytm, Warszawa 1992).

WEYDENTHAL (de, Jan B.), PORTER (Bruce D.), DEVLIN (Kevin). *Polski dramat 1980-1982.* Przeł. J. Radożycki i M. Radożycka-Paoletti. Str. 512. (Wyd. Rytm, Warszawa 1992).

NOWAKOWSKI (Krzysztof). *Tajemnica polskiego złota.* Str. 400. (Wyd. Rytm, Warszawa 1992).

WINKLOWA (Barbara). *Boy we Lwowie 1939-1941.* Str. 264 i fotografie. Wyd. Rytm, Warszawa 1992).

SWIĘCICKI (Marek). *Z mikrofonem przez USA. Audycje „Głosu Ameryki".* Str. 248. (Wyd. Rytm, Warszawa 1992).

OKUDŻAWA (Bułat). *Jeszcze pożyjesz...* Przeł. Z. Fedecki. Str. 112. (Wyd. Rytm, Warszawa 1992).

FREDRO-BONIECKI (Tadeusz). *Wychodzenie z piekła. Dalszy ciąg zwycięstwa ks. Jerzego.* Str. 224. (Wyd. Rytm, Warszawa 1992).

FLAWIUSZ (Józef). *Wojna żydowska.* Z greckiego przeł. Jan Radożycki. Str. 562 i 6 nlb. (Wyd. Rytm, Warszawa 1992).

ŁUKASIEWICZ (Piotr, red.), ZABOROWSKI (Wojciech). *Szanse i zagrożenia polskich przemian.* Str. 100. (Wyd. PAN Instytut Filozofii i Socjologii, Warszawa 1991).

OSTROWSKA (Antonina). *Śmierć w doświadczeniu jednostki i społeczeństwa.* Str. 227 i 5 nlb. (Wyd. PAN Inst. Filozofii i Socjologii, Warszawa 1991).

WODZIŃSKI (Cezary). *Wiedza a zbawienie. Studium myśli Lwa Szestowa.* Str. 260. (Wyd. PAN, Inst. Filozofii i Socjologii, Warszawa 1991).



TARKOWSKA (Elżbieta). *Czas w życiu Polaków.* Str. 168. (Wyd. PAN, Inst. Filozofii i Socjologii, Warszawa 1992).

GROSS (Feliks). *Tolerancja i pluralizm.* Przeł. Ewa Balcerek. Str. 72. (Wyd. PAN, Inst. Filozofii i Socjologii, Warszawa 1992).

DOKTÓR (Jan). *Jakub Frank i jego nauka na tle kryzysu religijnej tradycji osiemnastowiecznego żydowstwa polskiego.* Str. 124. (Wyd. PAN, Inst. Filozofii i Socjologii, Warszawa 1991).

ŻÓŁTOWSKA-LIBISZOWSKA (Maria). *Postawy inteligencji wobec religii. Studium religijne.* Str. 232. (Wyd. PAN, Inst. Filozofii i Socjologii, Warszawa 1991).

TOMASZEWSKI (Longin). *Kronika wileńska 1941-1945. Z dziejów polskiego państwa podziemnego.* Str. 306 i 6 nlb. (Wyd. Pomost, Warszawa 1992).

ORYSZYN (Zyta). *Historia choroby, historia żałoby.* Str. 256. (Wyd. Pomost, Warszawa 1992).

BARAŃCZAK (Stanisław). *Ocalone w tłumaczeniu. Szkice o warsztacie tłumacza poezji z dołączeniem małej antologii przekładów.* Str. 442. (Wyd. Wydawnictwo a5, Poznań 1992).

WEJTKO (Władysław, gen.). *Samoobrona Litwy i Białorusi. Szkic historyczny.* Str. 104. (Wyd. Gryf, Warszawa 1992).

DZICZKANIEC (Józef). *Samoobrona Ziemi Lidzkiej.* Str. 176. (Wyd. Gryf, Warszawa 1992).

SALOMONOWICZ (Stanisław). *Ludwik Muzyczka 1900-1977, polityk i żołnierz.* Str. 104. (Wyd. Gryf, Warszawa 1992).

TURONEK (Jerzy). *Wacław Iwanowski i odrodzenie Białorusi.* Str. 148 i fotografie. (Wyd. Gryf, Warszawa 1992).

MORŻOŁ (Iwona), OGÓREK (Michał). *Polska między wierszami. Życie codzienne w PRL.* Str. 212. (Wyd. PETIT, Warszawa 1991).

OGÓREK (Michał). *Przewodnik po Polsce.* Str. 130. (Wyd. PETIT, Warszawa 1991).

TERLECKI (Władysław). *Zabij cara.* Str. 244. (Wyd. Cieślak i Szwajcer, Warszawa 1992).

RAKOWSKA (Ludwika). *Moi przyjaciele.* Str. 116. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1992).

STEFAŃSKI (Lech Emfazy). *Lewitujący z Oćmawy.* Str. 144. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1992).

SIMIC (Charles). *Madonny z dorysowaną szpicbródką oraz inne wiersze, prozy poetyckie i eseje.* Wybór i przekład Stanisław Barańczak. Str. 252. (Wyd. Wydawnictwo a5, Poznań 1992).

FILIPOWICZ (Kornel). *Powiedz to słowo.* Str. 88. (Wyd. a5, Poznań 1992).

BRASSENS (Georges). *Bulwar, którym odszedł czas.* Przeł. Jerzy Menel. Str. 72. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1992).

SOSNKOWSKI (Andrzej). *Życie na Korei.* Str. 48. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1992).

KURYLAK (Józef). *Jasno ciemno jasno ciemno.* Str. 72. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1991).

MIKOŁAJEWSKI (Jarosław). *A świadkiem śnieg.* Str. 40. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1991).

TKACZYSZYN-DYCKI (Eugeniusz). *Peregrynarz.* Str. 48. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1992).

SKVORECKY (Josef). *Powrót porucznika Borówki. Reakcyjna powieść kryminalna.* Przeł. Andrzej Czcibor-Piotrowski. Str. 184. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1992).

VIAN (Boris). *Opowiastki do pociągu.* Przeł. M. Puszczewicz. Str. 104. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1990).

SUKENICK (Ronald). *Rozgadany o kiepskim życiu blues.* Przeł. J. Semrau. Str. 126. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1992).

MIROSŁAWSKI (Zbigniew). *Czasu bramy.* Str. 40. (Wyd. nie podane, Tarnów 1992).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

**31. 8. 92**
Prezydent Wałęsa mianował Wacława Jędrzejewicza, ostatniego żyjącego ministra II Rzeczypospolitej Polskiej, generałem brygady. Minister Jędrzejewicz właśnie ukończył 99 lat.

**1. 9. 92**
Wnioski o odszkodowania dla osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległości Państwa Polskiego i o unieważnienie wyroków z lat 1944-1956 złożyło 14 tys. osób, z czego załatwiono już ponad 8,5 tys. spraw. Łącznie zasądzono ponad 210 mld złotych — przeciętne odszkodowanie wynosi 127 mln zł. W sprawach podlegających obecnie sądom wojskowym odszkodowania płaci MON. Wniosków o odszkodowanie było 582, z czego już rozstrzygnięto sprawy 337 osób, którym zasądzono odszkodowania. Ogółem wypłacono z budżetu wojska 47.399.000.000 — średnie odszkodowanie wynosi 140 mln zł.

**5. 9. 92**
*Gazeta Wyborcza* podaje, że w latach 1981-91 10 % uczonych wyjechało z Polski, a 15 % zdecydowało się na pracę pozanaukową w kraju. W ciągu ostatnich 10-ciu lat np. Sekcja Teologii Fundamentalnej KUL-u straciła 80 % uczonych, katedra Regulatorów Wzrostu Roślin na Uniwersytecie Łódzkim 150 %, Wrocławski Instytut Komputerowych Systemów Automatyki i Pomiarów 400 %.

**18. 9. 92**
W najbliższych miesiącach mają powstać konsulaty RP w Grodnie (Konsulat Generalny), w Brześciu, w Ałma Acie i w Kotczetawie, oraz Wydział Konsularny przy Ambasadzie RP w Tbilisi. Ilość konsulatów honorowych (obecnie istnieje 29) ma wzrosnąć o 17 nowych. Wśród kadr konsularnych (533 pracowników) 60 % stanowią ludzie nowi, nie zatrudnieni przed 1989 r. w MSZ. Najwięcej skarg na działalność konsulatów dotyczy konsulów wywodzących się spośród miejscowej polonijnej emigracji.

**19. 9. 92**
Ma powstać ogólnopolski, wielonakładowy dziennik katolicki. jego ukazanie się ulega opóźnieniu z powodu trudności znalezienia odpowiednich funduszy. Redaktorem naczelnym ma być Jacek Bartyzel. Na razie gazeta ma roboczy tytuł *Dziennik Katolicki.*

**20. 9. 92**
Zmarł w Warszawie w wieku 90 lat Jan Wyka, pisarz i poeta, żołnierz Brygady im. Dąbrowskiego w Hiszpanii.

**15. 9. 92**
Do kraju wróciły prochy generała broni Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, który zmarł w 1964 r. w Casablance, a pochowany został w Londynie. Prochy zostały złożone w kwaterze dowódców AK na warszawskich Powązkach.



**1. 10. 92**
Miesięcznik *Orientacja na Prawo* zawiesił swoją działalność ze względu na ciężką sytuację finansową. Celem wznowienia pisma i zapewnienia mu egzystencji została powołana fundacja „Orientacja". Konto tej Fundacji : PBK IX O/Wa 370031-799076-132-3. ■ W Krakowie powstało Muzeum Historii Armii Krajowej. ■ P. Leon Ter-Oganian (02-032 WARSZAWA, ul. Filtrowa 79 m. 29) wydał „księgę adresową — stan osobowy polskich korporacji akademickich w roku akademickim 1991/92". Autor apeluje do żyjących jeszcze korporantów o przysyłanie mu informacji.

**2. 10. 92**
Zmarł w Konstancinie w wieku 89 lat prof. Bogdan Suchodolski, pedagog, filozof, historyk kultury.

**14. 10. 92**
Nowym prezesem „Czytelnika" został Marek Bogucki, bankowiec i były pracownik Urzędu Postępu Naukowego, Technicznego i Wdrożeń.

**15. 10. 92**
Jak oświadczył minister sporaw zagranicznych Ukrainy Złenko, na początku października w wywiadzie dla radia „Swoboda" na ambasadora w Warszawie został naznaczony Hennadij Udowenko. Ma on zamienić dotychczasowego pełnomocnika Ukrainy w Polsce, Teodozjusza Staraka. Udowenko jest zawodowym dyplomatą. Przez wiele lat reprezentował Ukrainę w siedzibie ONZ w Nowym Jorku. ■ Ambasadorem Ukrainy we Francji został mianowany dotychczasowy przedstawiciel Kijowa przy delegaturze ONZ w Genewie, Koczubej. Jest on fachowcem od zagadnień międzynarodowych. Pochodzi prawdopodobnie ze starej szlachty kozackiej. Nie jest jednak spokrewniony ze zrusyfikowanym księciem Koczubejem, zamieszkałym od dawna w Zurychu.

**6. 11. 92**
W Muzeum Narodowym w Krakowie odbyło się otwarcie retrospektywy twórczości Jana Lebensteina. Wystawa będzie trwała do końca grudnia br.

**10. 11. 92**
Na skutek zabiegów syna, prochy generała Kazimierza Sosnkowskiego, który był pochowany na cmentarzu Montmorency pod Paryżem, wróciły do kraju. Urna z prochami zostanie złożona w bazylice archikatedralnej pod wezwaniem św. Jana w Warszawie.

**16. 11. 92**
W Poznaniu miała miejsce konferencja poświęcona twórczości dramatycznej polskich pisarzy-emigrantów (1939-1989). Konferencja ta została zorganizowana przez Pracownię Teatru i Filmu Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**15. 8. 92**
Zmarła w Paryżu w wieku 81 lat Zofia Lurczyńska z domu Poznańska, wieloletnia pracowniczka Radia Polskiego w Paryżu, żona Mieczysława Lurczyńskiego.

**21. 8. 92**
Zmarła w Roquebrune we Francji w wieku 84 lat Aniela z Micińskich Ulatowska, romanistka, poetka, tłumaczka.

**6. 9. 92**
Zmarł w Waszyngtonie w wieku 90 lat Tadeusz Strzelecki, współpracownik dziennika *Nowy Świat* w Nowym Jorku, wieloletni redaktor Głosu Ameryki.

**28. 9. 92**
Odbyło się w Londynie kwartalne posiedzenie Rady Powierników *The Polonia Aid Foundation Trust (PAFT)*. Rada przyjęła sprawozdanie Komitetu Wykonawczego z postępu prac, dotyczących sprzedaży budynku przy 43 Eaton Place i ustaliła dalsze wytyczne w tej sprawie. Rada Powierników rozpatrzyła 42 prośby o subwencje, z których, na wniosek Komitetu Wykonawczego, następujących 12 uzyskało poparcie : Prace archiwalne Instytutu im. Gen. Sikorskiego w Londynie — £ 5.000; Prace archiwalne Instytutu J. Piłsudskiego w Londynie — £ 1.000; Książka A. Suchcitza o polskich grobach w Brompton (Londyn) — £ 400; „Historia dyplomacji polskiej 1939-45" (PISM w Warszawie) — £ 800; Stypendium dla kustosza Zamku Królewskiego w Warszawie — £ 500; Książka W. Lasockiego „Przez lądy i morza" (zapis historyczny) — £ 500; „Studia z dziejów polityki i dyplomacji polskiej" (zbiorowa praca PAN dla uczczenia stulecia prez. Raczyńskiego) — £ 1.000; „Z kresów Wschodnich Rzeczypospolitej" (zbiorowa praca Ogniska Rodzin Osadników Kresowych w Londynie) — £ 500; „Bibliografia Emigracyjna — Tom V" (Wydawnictwo z okazji 50-lecia Biblioteki Polskiej w Londynie) — £ 7.000; Komputeryzacja katalogu Biblioteki Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu — £ 5. 000; Prace archiwalne Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie — £ 600; Działalność kulturalna Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii — £ 5.000 (podpisali : Jerzy Ostoja-Koźniewski — Hon. Sekretarz PAFT; Edward Szczepanik — Przewodniczący PAFT). W komunikacie nie podano, jak obecnie przedstawia się sprawa sprzedaży „zamku" oraz czy Polonia Aid Foundation Trust zamierza pokryć koszty likwidacji Biblioteki na Pont Street i rozbudowy Biblioteki Polskiej POSK na przyjęcie zbiorów zlikwidowanej biblioteki.

**29. 9. 92**
Zmarł w Paryżu w wieku 84 Mieczysław Lurczyński — malarz, poeta, pisarz.

**1. 10. 92**
Ambasador RP w Niemczech, p. Janusz Reiter, wręczył w imieniu Prezydenta RP komandorię Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej Zygmuntowi Michałowskiemu, który był jednym z dyrektorów Rozgłośni Polskiej RWE.

**6. 10. 92**
W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt prof. UW Barbary Grochulskiej pt. „Kościuszko a Europa : śladami Micheleta". 29 października Zofia Trojanowiczowa, profesor Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu, wygłosi w Bibliotece odczyt „Polacy w Irkucku : wczoraj i dziś". ■ W teatrze *Espace Acteur* w Paryżu odbyło się przedstawienie sztuki Witolda Gombrowicza (w języku francuskim) w reżyserii Bogdana Hussakowskiego z teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. Sztuka ta będzie wystawiana do 15 listopada br. ■ W galerii Yves Fay w Paryżu miał miejsce wernisaż prac Janiny Jasińskiej-Luterek.



**8. 10. 92**
W Instytucie Polskim w Paryżu miał miejsce wieczór Jacka Kaczmarskiego, a 9 października odbędzie się odczyt Aleksandra Halla, posła, b. ministra, na temat „Zmiany na polskiej scenie politycznej — jesień 92". ■ Zmarł w Lille w wieku 66 lat Janusz Władysław Deryng, architekt, b. prezes Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich we Francji, b. prezes Związku Kombatantów Polskich, sekcja Północ.

**9. 10. 92**
Zmarł w Londynie w wieku 90 lat Jędrzej Giertych, autor szeregu publikacji i książek, prezes Towarzystwa im. Romana Dmowskiego oraz wydawca prac historiograficznych Feliksa Koniecznego.

**14. 10. 92**
W stacji Polskiej Akademii Nauk w Paryżu odbyło się zebranie dyskusyjne na temat „Sztuka Rewolucji Francuskiej", któremu przewodniczył Krzysztof Pomian przy udziale prof. Bronisława Baczko z Genewy, Jean-Marie Goulemont (profesora na Uniwersytecie w Tours), Oliviera Chevrillon (b. dyrektora Muzeów Francji) i Eduarda Pommier (honorowego naczelnego inspektora Muzeów Francji).

**16. 10. 92**
W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt prof. Zofii Trojanowiczowej z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, pt. „Sybir romantyków — mity i rzeczywistość". Ponadto Centre du Dialogue organizuje tradycyjne Zaduszki w Montmorency. ■ Zmarł w Londynie w wieku 69 lat Vladek Sheybal, znany aktor i reżyser.

**17. 10. 92**
Pod patronatem ambasadora Francji, Jerzego Łukaszewskiego, odbyła się uroczysta inauguracja pomnika ks. Jerzego Popiełuszki w parku l'Abbé Derry w Issy-les-Moulineaux pod Paryżem.

**22. 10. 92**
W domu Heinricha Heine (Cité Universitaire Internationale) w Paryżu odbył się odczyt Karla Dedeciusa na temat „Deutsche und Polen in Europa" (Niemcy i Polacy w Europie).

**23. 10. 92**
Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało spotkanie z Aleksandrem Małachowskim, posłem na Sejm RP, przewodniczącym koła parlamentarnego Unii Pracy. P. Małachowski mówił o swoich refleksjach na temat „Co się właściwie wydarzyło w Polsce", jak również w związku z pracami dla Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu na temat wschodniej polityki Polski. ■ Staraniem stałej delegacji Polski przy UNESCO i stacji naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt Krzysztofa Pawłowskiego „La naissance de l'urbanisme européen — Circulades languedociennes de l'an mille".

**25. 10. 92**
W listopadzie br. przypada setna rocznica powstania Polskiej Partii Socjalistycznej. W grudniowym numerze *Kultury* p. Lidia Ciołkoszowa zamieści esej na ten temat.

## KRONIKA KANADYJSKA

Urząd Statystyczny Kanady ogłosił pierwsze dane spisu powszechnego ludności z czerwca 1991 r. dotyczącego m.in. języka ojczystego 27.296.860 mieszkańców Kanady. Język ojczysty jest bowiem jedną z trzech rubryk, służących do dokładnego, liczbowego, określenia grup etnicznych. Podstawowa i ogólna rubryka to pochodzenie jednorodne lub wielorodne, a następna: język używany w domu. Otrzymaliśmy chwilowo tylko dane odnośnie języka ojczystego.

Poniżej spis najliczniejszych 10 grup:

język angielski 16.516.180; francuski 6.505.565; włoski 449.660; chiński 444.945; niemiecki 424.640; portugalski 186.990; polski 171.975; ukraiński 166.830; hiszpański 124.535.

Stała i znaczna imigracja z wszystkich krajów — a szczególnie azjatyckich i afrykańskich — powoduje dalsze zróżnicowanie struktury demograficznej. Gdy chodzi o język grupa polska znacznie wzrosła w porównaniu z danymi spisu 1986 r., co bardzo wyraźnie wynika z poniższego zestawienia Ontario, prowincji z największą liczbą Polaków zgrupowanych w Metropolii Toronto:

ludność — 3.900.000: język angielski 2.600.000; włoski 189.265; chiński 175.075; portugalski 95.305; polski 58.540; ukraiński 24.605.

W spisie z czerwca 1986 r. jęz. ojczysty polski: 37.965, ukraiński — 29.130. Ogółem 32% ludności Met. Toronto rejestrowało inne języki ojczyste aniżeli oficjalny, tj. angielski lub francuski.

Fundusz kanadyjskiego Instytutu Ukrainoznawstwa ogłosił listę donacji, otrzymanych w 1991 r. na różne prace i wydawnictwa własne oraz popierane. Szesnaście osób zapisało Instytutowi łącznie $20.310. Do założonej w maju ub.r. fundacji dla finansowania prac badawczych naukowców z Ukrainy i Kanady wpłynęło $127.000. Pierwsze stypendium wysokości $3.000 otrzymała dr Wiktoria Jegorowa z Ukraińskiej Akademii Nauk — ma ono umożliwić jej trzymiesięczny pobyt naukowy na Univ. of Alberta, Edmonton.

Instytut Ukrainoznawstwa zarządza dotacjami i zapisami testamentowymi zgodnie z wolą ofiarodawców. Fundusze są głównie przeznaczone na badania zarówno w Kanadzie jak i na Ukrainie, na zagadnienia kanadyjsko-ukraińskie, na szkolnictwo ukraińskie oraz na publikacje. Ukazało się ostatnio kilka ważnych prac: w języku angielskim: Orest Martynowych: *Ukrainians in Canada*, Stella Hryniuk: *Peasants with Promise*, w języku ukr. *Bibliografia ukraińskiej prasy w Polsce 1918-39 i Zach. Ukr. Rep. Ludowej 1918-1919 r.* opracowana przez J. Misyła.

Fundacja im. Piotra Jacyka (największa i najbogatsza) przyznała w roku akademickim stypendia m.in. naukowcom w Polsce: Władysław Kozubel, Instytut Pedagogiczny, Olsztyn — na pracę *Oświata i szkolnictwo ukr. w Polsce w okresie 1944-89*; Antoni Mironowicz, Białystok, filia Uniw. Warsz.: *Podlanie i Białystok — regiony w XVI i XVII w.*, Jarosław Mokła, Uniw. Jagielloński: *Ukraiński ruch narodowy i rusofilizm na Łemkowszczyźnie w latach 1918-39*; Piotr Rudnicki, Uniw. Warsz.: *Wyprawa kijowska Janusza Radziwiłła*. Ostatnie stypendium przeznaczone jest na przeprowadzenie badań na Litwie. Bernadette Wojtowicz-Pecuszok, Uniw. Jagielloński: *Formowanie świadomości wśród Łemków 1848-1945 r.*. Wśród publikacji ośrodka znajduje się praca prof. Władysława Serczyka w jęz. angielskim *Ruch hajdamacki na Ukrainie w XVIII w.*

W programie prelekcji naukowych roku akademickiego 1990/91 były odczyty zaproszonych z Polski: prof. A. Mączak — Uniw. Warsz., dr A. Reczyńska — Uniw. Jagiel., prof. J. Rieger — KUL.

*B. H.*



## KRONIKA NORWESKA

Tradycyjnie, jesienią, już po raz trzeci, odbył się *The 1992 Ibsen Stage Festival in Norway* (28.8.–12.9.). W festiwalu uczestniczyła także Polska — Teatr Wybrzeże z Gdańska z „Kobietą z morza" (przekład: Jan Śliwoń) dał dziewięć przedstawień, które cieszyły się dużym sukcesem.

Jan Kott w swoim eseju „Ibsen na nowo odczytany", napisanym w 1978 roku w 150-lecie urodzin Ibsena, norweski tytuł *„Fruen fra havet* tłumaczy: „Pani z morza". Uważam, że jest to najbardziej prawidłowe tłumaczenie i takiego należy używać — dotyczy to też Teatru Wybrzeże.

•

Dr Ciesielski przy współpracy January Sikorskiej opracował ostatnio „Słownik pisarzy skandynawskich". Poprzednim jego dziełem była „Historia kultury skandynawskiej" w dwóch tomach.

*Janina JANUSZEWSKA-SKREIBERG*

# STYPENDIA STANISŁAWA LAMA
oraz
# JANA I SUSANNE BRZĘKOWSKICH

**Komisja Funduszów Stypendialnych im. Stanisława Lama oraz Jana i Susanne Brzękowskich z siedzibą w Bibliotece Polskiej w Paryżu powiadamia uprzejmie o możliwości ubiegania się o stypendium na r. 1993. Celem tych stypendiów jest pomoc dla osób prowadzących badania w dziedzinie historii literatury polskiej, krytyki literackiej, historii Polski. O stypendium ubiegać się mogą osoby mieszkające poza Paryżem, dla których niezbędny jest, dla kontynuowania pracy, pobyt w Paryżu, korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, a szczególnie ze zbiorów Biblioteki Polskiej i Towarzystwa Historyczno-Literackiego.**

**Wysokość każdego stypendium pozwala na skromne przeżycie kilku tygodni w Paryżu. Fundacje ani Towarzystwo Historyczno-Literackie nie pokrywają kosztów podróży stypendysty, ani nie zapewniają mu mieszkania.**

**W podaniu sprecyzować należy temat pracy, a także określić publikacje i dokumenty, z których kandydat zamierza korzystać.**

**Podania kandydatów posiadających mały dorobek w postaci publikacji, winny być poparte opinią profesora lub osoby będącej uznanym autorytetem w dziedzinie prowadzonych przez kandydata badań.**

**Do podania dołączyć należy życiorys. Można dołączyć również opublikowane przez kandydata prace.**

**Podania powinny wpłynąć do dnia 1 marca 1993 na adres Towarzystwa Historyczno-Literackiego: Société Historique et Littéraire Polonaise, 6, Quai d'Orleans, 75004 Paris, France.**

**Przewodniczący Komisji Stypendialnej**
***Tadeusz DOMAŃSKI***

Polnische Buchhandlung
**KSIĘGARNIA POLSKA**
**Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria**
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
**Tel. i fax: (1) 52 63 114**
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

# *Listy do Redakcji*

**Fromont, 14 X 92**

**Szanowni Państwo,**

**Pozwalam sobie pogratulować wydania „Listów Zygmunta Hertza do Czesława Miłosza". Egzemplarz kupiłem w Warszawie i z podnieceniem, pewnym trudem i niemałym pożytkiem przeczytałem. Dziękuję wydawcy i redaktorce — stąd mój wspólny adresat — zwłaszcza, że w dziejach *Kultury* wydanie to wydaje się szczególnie wielkoduszne, jak i poniekąd smutne, gdyż — w moich oczach — stanowi podzwonne (mimo trzynastoletniego rozziewu w datach pomiędzy śmiercią Pana Zygmunta a śmiercią wpływu inteligencji polskiej, zagranicznej, czy krajowej, na polskie życie w kraju) dla idei i wysiłków klasy intelektualnej, tu i tam tak rozmaicie, ale trwale reprezentowanej.**

**Wydanie wydaje mi się szczególnie wielkoduszne, i świadczące raz jeszcze o poziomie cywilizacyjnej przyzwoitości *Kultury*, gdyż Pan Zygmunt był jak i nie był *Kulturą* właśnie, stanowił w niej naturalny — jakby organiczny — przeciwważnik dla geopolitycznych „wzniosłości", bez których, z kolei, prócz listopisarza byłby prawdopodobnie małowiele znaczącym „trzmielem buczącym".**

**Jeśli pozwalam sobie pisać do Państwa, to nie tyle, by wspólnie się cieszyć z tej arcyciekawej i swobodnej książki, ale by zastrzec, że w miarę lekkoduszna i byle jaka oprawa w przypisy — mające wyjaśnić co kto i kiedy — każe nabrać nieufności nawet co do dokonywanych wyborów w samych listach, jako że jest w wielkiej części mało poważnie i kapryśnie przez jedną i tę samą panią Gorczyńską wykonana.**

**Bez wdawania się w metodyczne rozsiekanie słabej, lub przynajmniej dowolnej znajomości przypisywanych życiorysów osób wymienianych w książce, lub przynajmniej frywolnemu stosunkowi Redakcji do nich, pozwolą mi Państwo przynajmniej na protest — i sprostowanie — danych dotyczących najbliższych członków mojej rodziny, jak też paru bliskich wybranych przyjaciół.**

Otóż: strona 107, przypisek 1. Wawrzyniec Żuławski, brat Juliusza:

a) niestety nigdy nie był mężem przemiłej Wandy Wertenstein, nad czym cała rodzina po dziś dzień boleje. Ich zdolny syn, Jerzy, przyszedł do nazwiska dzięki rozsądnemu Markowi Żuławskiemu już po śmierci Wawrzyńca.

b) Wawrzyniec Żuławski był nie tylko, jak obcesowo podaje Pani Gorczyńska — alpinistą (jeśli już, to był raczej taternikiem, członkiem władz GOPR-u). Ale nie kłóćmy się o to (Wawa był też prezesem sekcji alpinistycznej PTTK, jeśli o to chodzi), ale kłóćmy się raczej o to, że, *en passant*, był żołnierzem AK, uczestnikiem Powstania Warszawskiego, a przede wszystkim kompozytorem, pedagogiem muzycznym i muzykologiem. To był jego zawód.

Mirosław Żuławski, mój ojciec (przypis 4 na stronie 91) nigdy w życiu nie był ambasadorem PRL w Paryżu. Dodatkowe podanie przez Panią Gorczyńską lat 1957-63 jest nie tylko bzdurą, ale i dezinformacją. Mój ojciec, pisarz, piastował funkcję radcy kulturalnego i reprezentanta przy UNESCO, a to nie całkiem to samo. Zwłaszcza, gdy książka wychodzi w wydawnictwie napiętym na linie kraj-emigracja w sposób szczególnie czuły.

Przypis 4 na stronie 260. Pan Jerzy Bossak, kierownik artystyczny zespołu filmowego „Kamera", nie został w 68-ym roku usunięty z Naczelnego Zarządu Kinematografii, tylko z Zespołu, jakim kierował. Równolegle z nim usunięty został z Zespołu Pan Józef Krakowski, komunista, partyzant, były szef służby ochrony rządu, który — jako ciekawostka — osobiście aresztował Gomułkę po pierwszym okresie sekretarzowania w partii. (Ci „byli" szli często na odstawkę do redagowania Wielkiej Encyklopedii, lub do Kinematografii).

Piszę o Panu Jerzym dlatego, że byłem w owym czasie szeregowym członkiem tego Zespołu filmowego.

Strona 305, przypis 1. Wojciech Frykowski nigdy nie studiował razem z Romanem Polańskim w Szkole Filmowej w Łodzi. Znali się, owszem, od dawna. Jednak Wojtek studiował jakieś dziesięć lat po Romanie, będąc już mężem pani Agnieszki Osieckiej (to żeby się wpasować w generalnie plotkarskie tony). Cały przypis nie miałby sensu, gdyby przypisy nie miały być po to właśnie, aby nadawać sensu.

Zatrzymam się, za pozwoleniem, na tym, aczkolwiek w tak wielkiej ilości miejsc z przypisami brała mnie po prostu złość. Co znaczy: Rita Gombrowicz, (żona) — Kanadyjka? Kanadyjka to ubranie wierzchnie, a pani R.G. to i owo jeszcze przed — i po — poznaniu Pana Gombrowicza zrobiła. Co znaczy „dziennik intelektualny"? A jaki? I co znaczy po polsku „wydany w edycji" (tenże dziennik)? Wydany w wydaniu? A jakżeż inaczej?

I co znaczy Rebluchon „dobry ser" w ustach Pana Ważyka, strona 122? Pan Ważyk nie znał się na serach, czy Pan Zygmunt? A może Panowie zecerowie? A może, jak z wszystkiego powyższego wynika, pani Gorczyńska zna się równie mało na Reblochonie, jak i na Żuławskich?

Ponieważ zaniosło mnie w lżejszą nutę, muszę powrócić do rozważniejszego tonu, jakże silnie pobrzękującego poprzez pana Zygmunta buczenia.

Otóż, jeśli piszę o podzwonnym, to dlatego, że fatalny i tragiczny apel Pana Giedroycia w czasie kampanii wyborczej, podpisany przez nieszczęsną grupę naszych intelektualistów, wyrysował linię końcową pod aktem zgonu formacji, o którą się Pan Zygmunt tak bał. (Bał się, że za to, i że za tamto). Formacja pomogła likwidacji przez nacjonal-populizm, gdy ogłosiła w szlachetnie irrealnych wymiarach, list intencyjny w sprawie ostatnich wyborów prezydenckich w Polsce, w którym się wydęła na owe. Jej w ogóle nie odpowiadały. Formacja nie widziała, że dom już podpalony, formacja chciała innego pożaru. Albo innego domu. Albo innego mieszkańca. Do dziś noszę w sercu, jak niezagojoną zadrę, nieodpowiedzialną frywolność tych słów sianych na brudnym wulkanie.



Nie, nie apel *Kultury* przeważył szale. Oczywiście, że nie. Ale czoła podniesionego już nie widzę. Politycznodurna omyłka była wtedy, kiedy do prawdy nie należało. To się okrutnie mści. I cóż z tego, że cieszą mnie jeszcze pohukiwania niestrudzonego pana Giedroycia na to, co się dzieje, rządy, partie, prezydenturę. Jakby ubranie z tego też ciała spadło, i korona z tejże sędziwej głowy. Mogą być jubileusze, muzea, koktajle. Salon skurczył się — już nie jest dwoma salonami — jednym ubogim a cnotliwym, a drugim próżnym i łasym. Jest tym samym, gdzieś pomiędzy niebytem a nieważnością. Ogromnie zatrważające to stwierdzenie.

Dlatego przeczytałem książkę listów Pana Hertza jako podzwonne właśnie.

Nie wiem, czy mogę liczyć na kolejną wielkoduszność Instytutu Literackiego, i nie wiem (ale mam nadzieję) czy zobaczę ten list wydrukowany w *Kulturze* bez skrótów, o co proszę. Chociażby ze względu na moją rodzinę.

Kreślę się z nostalgią i pewnym stałym podziwem

*Andrzej ŻUŁAWSKI*

Jest nam bardzo przykro, że tyle nieścisłości znalazło się w przypisach. Nie jest to tylko winą p. Gorczyńskiej — jest to niedopatrzenie Redakcji. Poprawimy to w drugim wydaniu „Listów".

Natomiast nie mogę się zgodzić z negatywną oceną naszego wystąpienia w czasie wyborów prezydenckich. Wręcz przeciwnie uważam, że rozwój wypadków całkowicie potwierdził nasze obawy. Nie jesteśmy żadnym „cnotliwym salonem". W „Obserwatorium" w październikowym nrze *Kultury* znajdzie Pan wyjaśnienie czym jesteśmy i chcemy być.

A czy znajdujemy się „między niebytem a nieważnością" to te osądy zostawmy historii.

*REDAKTOR*

# ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.*

*M. B., USA; A. B., Kanada; L. S., USA* — Z wierszy nie skorzystamy.

*A. T. B., Francja* — Wybraliśmy dwa wiersze: *Uczeń* i *Mgły*.

*A. B., Polska* — Prawdopodobnie wydrukujemy Pana recenzję z *Wielkiej choroby* Walca z nieznacznymi skrótami, chociaż naszym zdaniem skłania się Pan zanadto do „taryfy ulgowej".

*W. K., Niemcy* — Serdeczne życzenia z okazji 85 lat. Tekst nie wydaje nam się tak oryginalny jak Panu.

***R. L., Polska*** — Nie podzielamy Pani zachwytów. Poza tym nie drukujemy tekstów już drukowanych.

***A. M., Polska*** — Artykuł Pana drukowany już był, jakkolwiek w skróconej wersji, w znanym tygodniku warszawskim. W *Kulturze* unikamy przedruków.

***J. S., Polska*** — Tekst *Polska, jaka jest* zawiera sporo uwag słusznych, ale trochę się zdezaktualizował. Nie wydrukujemy.

***J. O., USA*** — Artykuł Pana *Prawo do aborcji w świetle praw człowieka* b. ciekawy, ale chwilowo nie zamierzamy poruszać tego tematu.

***S. Ł., Polska*** — Opowiadanie Pana *Wielki pisarz Brawko* wydaje nam się bardzo sztuczne i banalne.

***St. P.-Z., Toruń*** — Dziękuję za słowa uznania. Niestety nie podzielam Pana zdania o konieczności sprowadzenia zwłok gen. Sikorskiego do kraju. W moim przekonaniu, któremu szereg razy dawałem wyraz, gen. Sikorski jak i gen. Anders powinni zostać z grobami swoich żołnierzy. Jest to już największy tytuł do sławy.

***J. T., Warszawa*** — Pana listu nie zamieścimy, gdyż dyskusję nad książką p. Pronobisa uważamy za zamkniętą.


# LIBELLA

**12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.**
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
**KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.**
**KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.**
**WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ GALERIE LAMBERT**

**Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.**



Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

*Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.*
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4e trimestre 1992.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 821-1992



# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52


| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata 1/2-roczna | Prenumerata roczna |
|---|---|---|---|
| | Ceny na rok 1993 | | |
| **AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza,** 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **ARGENTYNA: «Libreria Polaca»,** Serrano 2076, 1425 Buenos Aires | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA,** King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 | $A. 15,00 | $A. 90,00 | $A. 160,00 |
| **AUSTRIA: Księgarnia Polska,** 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **BELGIA:** prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **BRAZYLIA:** prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **DANIA: O.T. Zalewski,** Postboks 41, 2880 Bagsvaerd | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **FRANCJA:** do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz,** Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 | Fl h 20,00 | Fl h 110,00 | Fl h 210,00 |
| **IZRAEL: Księgarnia Polska,** E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **KANADA: Krystyna Krakowska,** 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63 | $can. 13,00 | $can. 75,00 | $can. 140,00 |
| **NIEMCY: Kubon & Sagner,** Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60 | DM 17,00 | DM 100,00 | DM 185,00 |
| **NORWEGIA: Zb. Tyszko,** Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **SZWAJCARIA: Krystyna Wasung,** 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84 | F.S. 15,00 | F.S. 90,00 | F.S. 160,00 |
| **SZWECJA: Norbert Żaba,** Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6 | K.S. 60,00 | K.S. 330,00 | K.S. 650,00 |
| **U.S.A.: Alma Shipping Co., Inc., Christina Szala** 9 East 48th Str., Bayonne, N.J. 07002; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 | $US 11,00 | $US 60,00 | $US 116,00 |
| **WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd.,** 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |
| **WŁOCHY: Elżbieta Zahorska,** 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 | F. 55,00 | F. 320,00 | F. 600,00 |

**W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.**
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

**Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.**
**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,**
**par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)**
**lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).**

## *Nowości wydawnicze*

**BIBLIOTEKA «KULTURY»**

**TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ**

# LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

**WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA**

**Indeks nazwisk**

•

**Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY" mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...**

**Str. 520** **Cena F. 160,00**

•

**TOM 475 — ZESZYTY HISTORYCZNE**

# ZESZYT STO PIERWSZY

**zawiera prace: Tomasz Kizny: *Martwa Droga;* Z.S. Siemaszko: *Problemy podziemia pod okupacją sowiecką (1939-1941);* Tadeusz Wyrwa: *Stosunki rządu generała Sikorskiego z rządem Pétaina;* Hanna Świderska: *Z dziejów polskiej prasy opozycyjnej w Londynie 1941-45;* Władysław Kijuć: *Rzeczywistość i mity polsko-litewskie;* Andrzej M. Kobos (opr.): *Gen. Fieldorf „Nil" (wspomnienia żony);* Rudolf M. Falkowski: *Polacy w Armii Czerwonej (1940-1945);* Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia (dok.);* Teresa Torańska: *Rozmowa z Wiktorem Kulerskim; Mowa króla JMCI Jana Kazimierza ostatnia przy abdykacji;* Władysław Bartoszewski: *Mowa dziękczynna po otrzymaniu obywatelstwa honorowego Izraela* oraz DZIAŁY: d.c. OKRUCHÓW HISTORII, RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.**

**Str. 240** **Cena F. 90,00**

I.N. 93400 St-Ouen - 821-1992

**Cena 50 F**